

John McGaher

Między niewiastami

Amongst women

Przekład Hanna Pustuła-Lewicka

Dla Madeline

Kiedy Moran opadł z sił, zaczął się bać swoich córek. Ten potężny niegdyś mężczyzna tak mocno wrósł w ich życie, że mimo własnych posad, małżeństw, dzieci i domów w Dublinie i Londynie, w istocie nigdy nie opuściły Great Meadow. A teraz jemu nie chciały pozwolić odejść.

– Będzie musiał tatuś wrócić do formy. Tak dalej być nie może. Wcale nam tatuś nie pomaga. Nie możemy wyzdrowieć za tatusia.

– Kogo to obchodzi? Kogo to w ogóle obchodzi?

– Nas obchodzi. Bardzo.

Przyjechały wszystkie na święta Bożego Narodzenia. Po świętach Mona, jedyna, która nie wyszła za mąż, przyjeżdżała z Dublina na każdy weekend. Czasem Sheila zostawiała rodzinę i towarzyszyła siostrze albo wsiadała do samochodu i po kilku godzinach jazdy zjawiała się w domu w środku tygodnia. Loty z Londynu były zbyt drogie, żeby Maggie mogła pozwolić sobie na regularne wizyty. Michael, młodszy brat dziewcząt, obiecał przylecieć z Londynu na Wielkanoc, ale Luke, najstarszy, wciąż nie chciał odwiedzić ojca. Umówiły się, że przyjadą wskrzesić Dzień Świętego Manchana. Musiały wytłumaczyć swojej macosze, Rose, co to takiego, ten Dzień Świętego Manchana. Przez

wszystkie lata spędzone w ich domu nigdy o nim nie słyszała.

Targ w Mohill w końcu lutego to właśnie Dzień Świętego Manchana. Dzień dorocznej wizyty McQuaida. McQuaid walczył z Moranem na wojnie w tej samej kolumnie latającej. U nich w domu McQuaid zawsze wypijał butelkę whiskey.

– Gdybyśmy wskrzesiły dla tatusia Dzień Świętego Manchana, może znowu stałyby się sobą. Kiedyś Dzień Świętego Manchana wiele dla niego znaczył.

– Tatuś nie był chyba zachwycony, widząc, jak w domu pije się whiskey. – Rose miała wątpliwości.

– Nie przeszkadzało mu, kiedy McQuaid pił whiskey. McQuaida wołami nie zaciągnąłbyś do domu, w którym nie ma whiskey.

Uczepiły się tego pomysłu i nie chciały ustąpić, Rose uznała więc, że nie może im wchodzić w paradę. Moran miał o niczym nie wiedzieć. Chciały, żeby to była niespodzianka – wstrząs. Wbrew rozsądkowi wierzyły, że niczym cud w Lourdes, wskrzeszenie Dnia Świętego Manchana cofnie proces powolnego opadania z sił. W niepamięć poszła koszmarne nerwówka, jaką ten dzień oznaczał dla wszystkich domowników; upływ czasu sprawił, że ten dzień

wydawał się czymś wielkim, heroicznym, przesyconym mistyką krwi, zdolnym spowodować, że niemożliwe stanie się faktem.

Maggie przybyła z Londynu porannym lotem. Mona i Sheila odebrały ją z lotniska i we trzy wyruszyły do Great Meadow samochodem Mony. Nie spieszyły się. Z biegiem lat zbliżyły się do siebie. Każda z osobna potrafiła nie pozostawić suchej nitki na swoich siostrach, ale gdy były razem, ich osobowości wzmacniały się wzajemnie, tworząc coś bardzo podobnego do pojedynczego istnienia.

Na wzburzonych wodach Dublina czy Londynu były najwyżej punkcikami piany, ale razem stawały się arystokratycznymi Moranównami z Great Meadow, światem samym w sobie, córkami Morana. Każdy drobiazg dotyczący którejkolwiek z nich lub jej najbliższej rodziny – dziecka, męża, psa, kota, zmywarki Bendix, nowej sukienki czy pary pantofli, ceny każdej kupionej rzeczy – fascynował jej siostry jakby dotyczył ich samych; a wszystko, co pochodziło z Great Meadow, zacieśniało tę więź. We trzy stanowiły przeciwieństwo kobiet, które kiwają głowami, udając, że słuchają, gdy w gruncie rzeczy z rosnącym zniecierpliwieniem czekają tylko okazji, by wepchnąć się z radościami i smutkami własnego domu. Minęły

już Mullingar, ale wydawało im się, że jeszcze nic sobie nie powiedziały. Zatrzymały się w hotelu w Longford na herbatę i kanapki i dopiero o zimowym zmierzchu wjechały w otwartą bramę pod trującym cisem.

Mimo że chciały zrobić Moranowi niespodziankę, Rose uprzedziła go, że przyjadą.

– Pewnie myślą, że jestem na wylocie.

– Przeciwnie – zapewniła go. – Ale uważają, że powinieneś być w o wiele lepszej formie.

– Jak im się udało wyrwać wszystkim naraz?

– Pewnie po prostu tak wyszło. Czy z tej okazji nie warto by się ubrać?

– A kogo to jeszcze obchodzi? – odpowiedział automatycznie, ale włożył brązowy garnitur. Kiedy przyjechały, jego twarz pałała podnieceniem.

Ze zdenerwowania od razu wręczyły wszystkie prezenty, które przywiozły: herbatę, owoce, wolnoctową whiskey („przyda się w domu, nawet jeśli nikt nie będzie jej pił, zresztą może same wychylimy szklaneczkę”), chustkę na głowę w drukowane wzory, grube futrzane rękawice.

– Co was naszło, żeby mi cokolwiek przywozić? – Nigdy nie lubił przyjmować prezentów.

– W święta tatuś narzekał, że marzną mu

dłonie.

Jakby chcąc odwrócić uwagę od faktu, że stale zimno mu w ręce, naciągnął komicznym gestem rękawice i zaczął okrążyć pokój, udając, że szuka po omacku drogi, jak ślepiec.

– Rękawice są tylko do wkładania na dwór. Boję się, że to całe podniecenie uderzyło ci do głowy, tatusiu. – Rose odebrała mu ze śmiechem rękawiczki, chociaż udawał, że potrzebuje ich w domu.

– Ciągle jeszcze nie wiem, co tu ściągnęło hufce – powiedział, kiedy ucichł wreszcie śmiech.

– Tatuś nie pamięta, co to za dzień? Dzień Świętego Manchana! Dzień, kiedy McQuaid przyjeżdżał z targu w Mohill i musiałyśmy szykować uroczystą kolację.

– A co to ma do rzeczy? – Nie znosił wywlekania przeszłości tak samo, jak nie lubił dostawać prezentów. Uważał, że jego życie powinno być nieustającą terażniejszością, i nie zgadzał się, by cokolwiek ją zaćmiewało lub podawało w wątpliwość.

– Uznałyśmy, że to równie dobry pretekst, co każdy inny, no i mogłyśmy przyjechać w tym samym czasie. Więc jesteście.

– Kiepski pretekst. McQuaid był moczymordą i szubrawcem, razem z którym

walczyłem na wojnie. Litowałem się nad nim. Gdybym w Dzień Świętego Manchana nie dał mu porządnie zjeść, zalałby się w pestkę w Mohill.

– Zrobiły taki kawał drogi, żeby cię zobaczyć, a ty jak je witasz? – zbeształa go Rose. – Kogo obchodzi ten nieszczęsny McQuaid? Niech mu ziemia lekką będzie, dawno już opuścił ten padół.

– Kogo w ogóle cokolwiek obchodzi? – zapytał.

– Nas obchodzi. I to bardzo. Kochamy cię.

– Chyba wam rozum odebrało. Nie zwracajcie na mnie uwagi. Napisałem do waszego starszego brata: „Jestem już całkiem do niczego”, ale przypuszczam, że równie dobrze mógłbym pisać sam do siebie, zważywszy, jakie mam szanse otrzymać odpowiedź.

Umilkł, spochmurniał i wycofał się w siebie. Siedział w samochodowym fotelu przy kominku, kręcąc młynka kciukami. Wystarczyło jedno spojrzenie na Rose, by dziewczęta zrozumiały, że lepiej nie wspominać o starszym bracie. Zajęły się przygotowaniami do posiłku, raz po raz któraś z nich próbowała zainteresować Morana jakimś drobiazgiem, aż w końcu, dzięki ich nadzwyczajnemu taktowi, udzieliła mu się ogólna wesołość. Kiedy zasiedli do stołu, Moran sam wrócił do tematu McQuaida.

– McQuaid nie był złym facetem, tylko miał pecha z tym swoim pijaństwem. Co ciekawe, należał do tych, którzy czegokolwiek się tkną, we wszystkim im się szczęści. Zaczął kupować, nie mając pojęcia o bydle. A mimo to zbił majątek. Takim zawsze lepiej się wiedzie niż uczciwym ludziom.

– Miał swoją wielką chwilę, kiedy w łachach gazeciarza wyszedł na pociąg – wtrąciła niepewnie Sheila. Słuchała tego rok po roku w każdy Dzień Świętego Manchana, ale nie wiedziała, czy Moran zechce rozmawiać o wojnie. Zazwyczaj każda wzmianka o niej powodowała, że pogrążał się w kamiennym milczeniu.

– Wtedy też mu się poszczęściło. No i miał żelazne nerwy.

– Zawsze powtarzał, że tatuś był mózgiem kolumny. Ze to tatuś planował wszystkie akcje, i to do najdrobniejszego szczegółu – ośmieliła się dodać Mona.

– Chodziłem do szkoły dłużej niż reszta. Do łacińskiej szkoły w Moyne. Umiałem czytać mapy, obliczać odległości. Nigdy byście nie pomyślały, ale McQuaid, zresztą nie on jeden, był praktycznie analfabetą, chociaż potrafił całkiem nieźle rachować, kiedy chodziło o jego własną kieszeń. W tamtych czasach nietrudno

było zostać mózgiem.

Jakby nagle zapragnął odwdzięczyć się córkom za Dzień Świętego Manchana, po raz pierwszy w życiu mówił z nimi otwarcie o wojnie.

– Anglicy nie wiedzieli, co czynią. Myślę, że powtarzali bezmyślnie to, co sprawdziło się wcześniej. Spójrzcie na tę historię z pociągiem. Wyobrażacie sobie, postawić orkiestrę dętą w zapadłej dziurze, żeby witała jakiegoś pułkownika, kiedy cała okolica stoi pod bronią? Dziecko miałoby więcej rozumu. Nie dajcie się zwieść. To była brudna wojna. Nie strzelaliśmy do kobiet i dzieci, jak Brązowi, [Blacks and Tans – Czarno-Brązowi, specjalne paramilitarne oddziały, złożone z byłych żołnierzy i policjantów, wysłane w 1919 roku przez rząd brytyjski do Irlandii do walki z „żałosną bandą terrorystów”, jak określił IRA Winston Churchill (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).] ale byliśmy bandą morderców. Niezgorzej nam szło, tylko że nie było tygodnia, żeby któryś z nas nie zginął. Z dwudziestu trzech ludzi, którzy byli w kolumnie od samego początku, tylko siedmiu dożyło rozejmu". [Zawartego z Anglikami 11 lipca 1921 roku.] Nigdy nie wiedzieliśmy, czy dotrwamy jutra. Nie dajcie sobie zamydlić oczu. Wojna to był ziąb, wilgoć, stanie przez całą noc po szyję w wodzie w jakimś rowie, żeby zmylić pościg. Człowiek nie wiedział, skąd weźmie siły na następny krok, a co dopiero na cały długi marsz. To jest wojna, a nie kiedy jakiś cholerny polityk przy dźwiękach

orkiestry składa kwiaty.

I co z tego mamy? Państwo, jeśli im wierzyć. Naszych własnych cwaniaczków u złobu zamiast Anglików. Więcej niż połowa mojej rodziny pracuje w Anglii. I po to wszystko to było? Daliśmy się nabić w butelkę.

– Mówią, że po wojnie tatuś powinien był zrobić karierę w armii, tylko że tatusiowi nie dali. McQuaid zawsze powtarzał, że nie dali tatusiowi – ze sztucznym uniesieniem powiedziała Sheila.

– Owszem, nie dali mi, ale to nie było takie proste, jak się wydawało nieszczęsnemu McQuaidowi. Żeby w armii piąć się w górę w czasie pokoju, trzeba umieć wchodzić w dupę i znać, kogo trzeba. Nigdy nie dogadywałem się z ludźmi. Kto jak kto, ale wy powinnyście to wiedzieć – zakończył półżartem.

Dziewczęta spróbowały się uśmiechnąć, choć w oczach miały łzy. Rose milczała czujnie.

– Dla mnie i McQuaida wojna to najlepszy okres w życiu. Potem wszystko straciło klarowność. Myślę, że nigdy nie udało nam się do końca połapać co i jak. Zmęczyłem się. Jesteście cudowne, że chciało wam się jechać taki kawał drogi dla schorowanego starca.

Wyjął z woreczka różaniec. Paciorki zwiły luźno z jego dłoni.

– To i tak już nie ma żadnego znaczenia ani dla mnie, ani dla was, ale ten, kto będzie się tu śmiał ostatni, będzie miał naprawdę kupę śmiechu. Nam zaś pozostaje praca i modlitwa.

Sprawiał wrażenie wyczerpanego, zaproponowały więc, że odmówią różaniec w jego sypialni, ale zbył tę sugestię machnięciem ręki. Ukląkł obok stołu, jak zawsze, wyprostowany jak struna.

– „Panie, otworzysz wargi moje!” – zawołał. Kiedy doszedł do intencji, przerwał, jakby czegoś szukał. A potem, w nagłym przebłysku, jakie mu się niekiedy zdarzały, nagroził niewzruszone poświęcenie i miłość swoich córek, miłość, do której odwzajemnienia zwykle wydawał się z natury niezdolny. – Dziś wieczorem ofiarujemy przenajświętszą modlitwę różańcową za odpoczynek duszy Jamesa McQuaida.

Po skończonej modlitwie dziewczęta kolejno pocałowały ojca na dobranoc i Rose odprowadziła go do sypialni. Zabrały się za zmywanie i sprzątanie; wkrótce po wieczornym nieporządku nie zostało śladu, a stół był nakryty do śniadania.

Kiedy Rose to zobaczyła, powiedziała:

– Jeśli za długo tu zostanieie, rozpuszczę się jak dziadowski bicz. Nie wiem jak wy, ale ja mam ochotę na papierosa i gorącą whiskey. A co

tam! Sprawiliście, że tatuś przeszedł sam siebie. To naprawdę wiele dla niego znaczy, że udało się wam wszystkim przyjechać.

Nazajutrz rano rozkoszowały się luksusem długiego śniadania, gawędząc przyjemnie w ciepłe domu, kępki trawy na białej łące za oknem sztywne od mrozu, tylko pod cyprysami duże kręgi ciemnej zieleni, gdy nagle z frontowego pokoju dobiegł huk pojedynczego wystrzału. Wymieniwszy przestraszone spojrzenia, równocześnie, jakby były jedną osobą, rzuciły się do drzwi. Stał przy otwartym oknie, w piżamie, ze śrutówką w dłoni, i patrzył na łąkę przed domem, gdzie biel pod jesionem plamiła czerń martwej kawki.

– Nic się tatusiowi nie stało? – zawołały.

Kiedy okazało się, że nie, Rose krzyknęła:

– Wystraszyłeś nas na śmierć, tatusiu!

– Cholerne ptaszysko od dawna działało mi na nerwy.

– Tatuś się przeziębi i umrze, jak będzie tak stał w przeciągu – powiedziała z wyrzutem Maggie.

Rose opuściła okno.

– W każdym razie nie spudłowałeś. – Postanowiła pokryć śmiechem niedorzeczność sytuacji.

– Tatuś chyba nigdy nie spudłował.

– Nigdy nie podszedłem do człowieka bliżej niż na odległość strzału i ani razu nie chybiłem.
– Zmęczenie i obojętność w tonie jego głosu osłabiły przygnębiającą wymowę tych słów.

Pozwolił, żeby Rose odebrała mu strzelbę, ale najpierw wyjął pustą łuskę. Ubrał się i razem ze wszystkimi zasiadł do śniadania. Strzelba wróciła na swoje miejsce w kącie i nikt więcej nie wspominał o martwej kawce.

– Zmęczyłem się – powiedział z prostotą godzinę później i odszedł do swojej sypialni.

Wieczorem Maggie odlatywała do Londynu. Sheila i Mona odwiozły ją na lotnisko. Dopiero w następny weekend przyjadą obie do Great Meadow. Moran stanął w drzwiach obok Rose i patrzył, jak odjeżdżają. Z wysiłkiem pomachał ręką za oddalającym się samochodem, ale kiedy Rose zamknęła drzwi i wrócili do domu, nie odezwał się ani słowem.

Dzień Świętego Manchana nie wskrzesił niczego poza bladym, kapryśnym duchem przeszłości. Po Wielkanocy i wielu innych fałszywych alarmach, gdy żadna z dziewcząt nie mogła przyjechać do Great Meadow, Rose poprosiła swoją siostrę, żeby kupiła w mieście brązowy franciszkański habit. Choć w domu panowała cisza i pustka, kobiety przemyciły habit jak złodziejki i wieczorem Rose ukryła go

pośród najintymniejszej garderoby, w części szafy, do której Moran nigdy nie zaglądał.

Próba wskrzeszenia Dnia Świętego Manchana była gestem równie mizernym, co wzięcie ślubu w celu ożywienia wystygłego związku, myślowym przetworzeniem twardego faktu w pocieszającą iluzję.

W ten Dzień Świętego Manchana, kiedy McQuaid po raz ostatni był w ich domu, Moran czekał na niego w tym samym stanie skrajnego napięcia, co w każdy inny Dzień Świętego Manchana, jedyny dzień w roku, kiedy McQuaid przyjeżdżał do Great Meadow. Od samego rana raz po raz zaglądał do kuchni, gdzie Maggie i Mona krzątały się, pucując, porządkując i szykując wystawny posiłek. Mimo swoich osiemnastu lat, Maggie, wysoka, atrakcyjna dziewczyna, nadal czuła przed Moranem dziecięcy respekt. O dwa lata młodsza od niej Mona częściej wchodziła w konflikty z ojcem, jednak tamtego dnia podporządkowała się uległej naturze Maggie. Sheila, młodsza o rok od Mony, zbyt skupiona na sobie i inteligentna, by pochopnie występować przeciwko sile, udawała chorobę, chcąc uniknąć napięć tego dnia. Pozostawione same sobie, dziewczęta pracowały w swawolnym, czasem psotnym, a nawet

ostrożnie rozbrykanym nastroju; ale kiedy w kuchni zjawiał się ojciec, natychmiast wycofywały się w błagalną posepność, kuląc się w sobie, jakby chciały wtopić się w tło.

– To mają być kotlety jagnięce? – zapytał po raz kolejny. – Nie mogłyście dostać lepszych? Ile razy mówiłem wam, żebyście nigdy, przenigdy nie kupowały kotletów gdzie indziej niż u Kavanagha? Czy wszystko trzeba wam wbijać do głowy? Boże, dlaczego w tym domu nigdy nic nie jest zrobione jak należy? Z każdego trzeba wszystko wyciskać na siłę.

– Kavanagh powiedział, że steki nie są nadzwyczajne, ale ma dobrą baraninę – wtrąciła Maggie, lecz Moran wyszedł już z kuchni, mamrocząc pod nosem, że nawet najprostszej rzeczy nie umieją zrobić jak należy, a jeśli nawet najprostszej rzeczy nie umieją zrobić jak należy, to jak zamierzają poradzić sobie w życiu?

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, dziewczęta długo pracowały w milczeniu, aż naraz, ni stąd, ni zowąd, zaczęły przepychać się, hałaśliwie przedrzeźniając Morana: „Boże, o Boże, czym sobie zasłużyłem na tę zgraję? Boże, o Boziu, niczego nie zrobią jak należy”, by wreszcie paść ze śmiechem na krzesła.

Kres zabawie położyło głośnie, władcze stukanie w łączone na wpust i pióro deski sufitu.

Kiedy ucichły, nasłuchując, stukanie ustało.

– Jest taka chora jak mój duży palec u nogi. Niech no tylko zapachnie kłopotami, zaraz kładzie się do łóżka z astmą. Zachomikowała sobie na górze książki i słodycze – powiedziała Mona. Czekają w ciszy, dopóki stukanie nie rozległo się znowu, natarczywe i gniewne.

– Buuuu! – zawyły w odpowiedzi. – Buuuu! Buuuu! Buuuu! – Deski sufitu drżały od uderzeń. Musiała użyć buta albo pantofla. – Buuuu! – ryczały. – Buuuu! Buuuu!

Skrzypnęły schody. Po chwili w drzwiach ukazała się zagniewana Sheila.

– Stukam i stukam, a wy robicie sobie ze mnie śmichy-chichy.

– Nie słyszałyśmy. Nie śmiałyśmy się z ciebie.

– Słyszałyście aż za dobrze. Poskarżę się na was tatusiowi.

– Buuuu! – powtórzyły.

– Myślicie, że żartuję? Będziecie jeszcze żałować, zobaczycie.

– Czego chciałaś?

– Jestem chora, a wy mi nawet nie przeniesiecie nic do picia.

Dały jej dzbanek napoju jęczmiennego i czystą szklanę.

– Wiesz, co to za dzień, McQuaid przyjeżdża

z targu. Nie możesz oczekiwać, że będziemy jeszcze biegać po schodach, żeby cię obsłużyć. Tatuś bez przerwy tu zagląda. Będziesz miała się z pyszna, jeśli cię tu zobaczy – powiedziała Maggie, ale zanim zdążyła dokończyć zdanie, Sheila wymknęła się z powrotem na górę.

Nakryły paradny stół białym, wykrochmalonym obrusem. W pokoju panowało cudowne ciepło, płytka do podgrzewania potraw lśniła bladopomarańczowym blaskiem. Zaczęły rozstawiać nakrycia, napawając się odświeżającym wyglądem pokoju, coraz bardziej odprężone i swobodne, kiedy Moran znów wrócił z pola. Tym razem stanął pośrodku kuchni i wyraźnie niepewny, co go tutaj przywiodło, rozglądał się za czymś, na czym mógłby zaczepić wzrok, jak ktoś, kto w połowie zdania zapomniał, o czym mówił.

- Wszystko w porządku?
- Wszystko w porządku, tatusiu.
- Dopilnujcie, żeby kotlety były dobrze wysmażone – powiedział i wyszedł.

Ledwie zamknęły się za nim drzwi, Mona, uwolniona od spowodowanego jego obecnością stresu, wypuściła z rąk talerz. Przez chwilę stały jak wryte, nie mogąc oderwać wzroku od skorup. W końcu zmiotły je pospiesznie i schowały, zastanawiając się, jak wymienić talerz na nowy,

zanim się wyda.

– Nie przejmuj się – pocieszała Maggie pobladłą Monę.

– Znajdziemy jakiś sposób.

Były zbyt przygnębione, by poprawić sobie nastrój kpinami czy przedrzeźnianiem. Za każdym razem, kiedy coś się stłukło, musiały to ukrywać, dopóki naczynie nie zostało wymienione na nowe lub zapomniane.

Na dworze panował ziąb, ale nie padało. Zawsze było zimno w Dniu Świętego Manchana, kiedy odbywał się tradycyjny targ, na którym ubodzy farmerzy sprzedawali bogatym hodowcom inwentarz, którego sami nie mieli już czym tuczyć. Moran nie był ani bogaty, ani biedny, ale bał się i nienawidził biedy tak samo zaciekle, jak bał się i nienawidził choroby, i w efekcie on sam i jego najbliżsi wiedli żywot nędzarzy. Skończył już pracę w polu, ale wciąż stał w zimnie na dworze, oglądając żywopłot, sprawdzając murki, licząc bydło. Był zbyt podekscytowany, by usiedzieć w domu. Kiedy zaczęło się zmierzchać, wycofał się do szkółki jodłowej, by z ukrycia wypatrywać samochodu McQuaida. Jeśli McQuaid miał duże zamówienie, mógł przyjechać dobrze po zmroku.

Było już prawie ciemno, kiedy drogą powoli nadjechał biały mercedes i skręcił w otwartą

bramę pod cisem. Moran nie ruszył się z miejsca nawet wtedy, gdy wóz się zatrzymał. Kiedy otworzyły się drzwiczki, instynktownie cofnął się w głąb szkółki. Stojąc bez ruchu, obserwował, jak McQuaid gramoli się zza kierownicy, a potem stoi oparty o drzwiczki, jakby czekał, aż ktoś wyjdzie mu na powitanie. Moran mógł go zawołać stamtąd, gdzie stał, ale tego nie zrobił. W końcu McQuaid zatrzasnął drzwiczki i ruszył w stronę domu. Odczekawszy jeszcze kilka minut, Moran wyszedł spomiędzy jodeł. Powoli, nie spiesząc się, poszedł przez pola do tylnego wejścia. Chociaż od wielu tygodni żył oczekiwaniem na tę chwilę, wchodząc do domu, poczuł przypływ gwałtownej niechęci do McQuaida.

McQuaid siedział w fotelu przed kominkiem. Potężny tułów i wielki brzuch szczelnie wypełniały mebel, grube łydki opinały żółte sznurowane buty hodowcy bydła. Nie podniósł się z fotela ani w żaden inny sposób nie zareagował na wejście Morana, tyle tylko, że zalotne żarciki, którymi bawił dziewczęta, skierował teraz bezpośrednio do niego.

– Twoje panny rozkwitły Lepiej dobrze ogródź sad, bo w październiku nie będzie śladu po jabłkach.

Słowa te zostały wypowiedziane z taką

wesołością i agresywną pewnością siebie, że nie można się było obrazić. Moran chyba ich nie usłyszał; niechęć opuściła go równie szybko, jak nasza: przyjechał McQuaid i był Dzień Świętego Manchana.

– Michaelu – McQuaid wychylił się z fotela i mocno uściśnął dłoń Morana.

– Jimmy – Moran odpowiedział z tą samą prostotą. – Długo tu jesteś?

– Niedługo. Pogawędziłem sobie z dziewczętami. Masz wspaniałe córki.

Moran podszedł do szafki w ścianie, gdzie za zasłonką trzymał lekarstwa, i wyjął stamtąd szklanek i pełną butelkę whiskey Redbreast. Nalawszy sporą porcję, podał szklanek McQuaidowi. Maggie postawiła na stole dzbanek źródlanej wody.

– Mów kiedy. – Moran zaczął wlewać wodę. McQuaid zabrał szklanek, gdy była w trzech czwartych pełna.

– Przyda ci się po licytacji – powiedział Moran.

– Przyda, nie przyda, ale na pewno będzie smakować. Za wasze szczęście.

– Jak poszło? – zapytał Moran z serdecznością, która zupełnie do niego nie pasowała.

– Tak samo, jak co roku – odparł McQuaid.

– Dobrze czy źle? – drażył dalej Moran.

– Ani dobrze, ani źle. To tylko pieniądze. Każdy farmer myśli, że jego bydło jest wyjątkowe, ale ja widzę tylko pieniądze. Jeśli bydło kosztuje koło pewnej sumy, kupuję. Jeśli więcej, odpadam.

– Nieraz obserwowałem, jak licytujesz, i ciekaw jestem, jak ty to robisz, że zawsze wiesz, kiedy wejść, a kiedy się wycofać – skomplementował go Moran.

Biegłość, z jaką McQuaid poruszał się w swoim świecie, budziła w nim dziecięcą fascynację. On sam nie potrafił obcować z ludźmi. Obcował tylko ze sobą i z tym przedłużeniem siebie, jakim była rodzina, stworzona drogą małżeństw i przypadku; nie potrafił wyjść ze swojej skorupy.

– Nie wiem, jak to robię – powiedział McQuaid. – Wiem tylko, że nauczenie się tego kosztowało mnie kupę pieniędzy.

Dziewczęta postawiły na stole świeżo pokrojony chleb, masło i mleko. Zaskwierczały baranie kotlety wrzucone do dużego rondla. Po chwili, z brzegu rondla, dołączyły do nich kiełbaski, krwawa kiszka, bekon i połówki pomidorów. Na mniejszej patelni smażyły się jajka. Mona przepłukała wrzątkiem imbryk i zaparzyła herbatę. Dziewczęta krzątały się w

milczeniu, a kiedy musiały się do siebie odezwać, robiły to szybko i szeptem.

– Królewskie jadło. Aż chce się zakasać rękawy – pochwalił McQuaid, gdy zaczęły rozstawiać talerze, wyraźnie ucieszony perspektywą czekającej go uczyły Teatralnym gestem podniósł szklanę do ust, dopił whiskey i wstał z fotela.

Mężczyźni jedli w milczeniu, ze smakiem, obsługiwani przez dziewczęta. Dopiero odsuwając z zadowoleniem pusty talerz, McQuaid zapytał:

– To świetne dziewczyny, ale gdzie reszta wojska?

– Sheila choruje na górze – Maggie wskazała sufit. – A Michael pojechał na tydzień do cioci, która mieszka w górach.

– A gdzie Luke?

Dziewczęta powiodły wzrokiem od McQuaida do Morana i z powrotem, ale nie odpowiedziały.

– Nie wiemy, gdzie on jest – wyznał niechętnie Moran. Nie lubił dzielić się żadnymi informacjami, a już szczególnie na temat rodziny. – Nim wyjechał, nie można się było odezwać, żeby nie skoczył do gardła.

– Gdybym cię nie znał, mógłbym pomyśleć, że nie odpłacałeś mu pięknym za nadobne. –

McQuaid zaśmiał się łagodnie, a kiedy Moran nie odpowiedział, gość dodał: – Młodzi muszą stawiać na swoim, Michaelu. Tak czy inaczej, zawsze lubiłem Luke'a. To uczciwy, dzielny chłopak.

– Wszystkie moje dzieci szanuję jednakowo – oświadczył Moran. – A co u twoich zuchów?

– Wiesz, że już się pożenili. Nieczęsto ich widuję, chyba że czegoś ode mnie chcą. I oni też nieczęsto mnie widują. Ale to dobre chłopaki. Robotne.

– A twoja miła pani?

– Och, w porządku. Trzeba na nią ciągle krzyczeć, inaczej zasypia na stojąco.

Pobrali się młodo, ich trzech synowie również wcześniej pozakładali rodziny. Mieszkali we dwoje w otoczonym białym płotem obszernym domu handlarza bydłem, stojącym samotnie pośród pól. Rzadko bywał w domu, przychodził tylko jeść i spać, a kiedy tam był, przez cały czas wrzeszczał: „Zrób herbatę! Wypastuj buty! Wywal tego cholernego kota! Daj moją spinkę! Gdzie ten pieprzony kołnierzyk?!”. „Za minutkę, Jimmy! Robi się! Biegnę! Już ci niosę!” – wołała jego żona, miotając się na wszystkie strony. A potem zniknął na wiele dni. Rozpieszczała koty, czytała książki z biblioteki, pielęgnowała ogród i trudny do okiełznania skalniak pod południową

ścianą domu, który jego zdaniem nadawał się tylko do tego, żeby zezarły go krowy. Mijały dni i w końcu brama otwierała się z hukiem, obwieszczając koniec spokoju: „Mam tu sześciu chłopów z ciężarówkami. Nastaw wodę na herbatę! Podawaj do stołu! Zwawo, kobieto! W podskokach! Umieramy, kurwa, z głodu!”. Nigdy się na nią nie zamierzył. Niezmiennie ten sam język spowszedniał jak każde dziwactwo i ich synowie niemal go już nie zauważali, jakby był jednym z wielu intymnych języków miłości.

Naczynia zostały umyte i odstawione na miejsce. Mona poszła na górę do Sheili. Maggie wybierała się z wizytą. Innego wieczoru Moran wypytałby ją dokładnie, dokąd idzie, ale nie dzisiaj.

Przed laty Moran pożyczył McQuaidowi pieniądze na rozkręcenie handlu bydłem, ale teraz to McQuaid był bogatszy i ważniejszy z nich dwóch i rzadko się widywali. Raz w roku spotykali się powspominać czasy, które McQuaid nazywał ich dniami chwały. Moran był zbyt skomplikowanym człowiekiem, by zdradzić komukolwiek, co myśli. W czasie wojny dowodził kolumną. McQuaid służył u niego w randze porucznika. Co roku cofali się w przeszłość, schodząc po tych samych szczeblach: podniesienie koła od wozu na rozstaju dróg,

ćwiczenie musztry nad rzeką, pierwsza zasadzka, nocne marsze od kryjówki do kryjówki, ludzie, którzy ich ukrywali, jedzenie, dziewczęta... Przesłuchanie szpiega Williama Taylora i egzekucja wykonana przy lampie naftowej w jego własnej oborze. Kiedy go rozstrzelali, Brązowi przetrzasnęli całą okolicę, próbując ich wytropić. Przez jakiś czas ukrywali się w norach na torfowisku. Teren znajdował się pod ciągłą obserwacją. Raz Mary Duignan wpadła na brytyjski patrol, niosąc im herbatę i kanapki. Wszyscy Duignanowie byli z natury bladzi, po Mary nie było więc znać, że się zdenerwowała. Nie zatrzymując się, zaniosiła herbatę i kanapki robotnikom wycinającym torf na sąsiednim torfowisku. Widząc brytyjskich żołnierzy, zaskoczeni mężczyźni usiedli, żeby zjeść, chociaż dopiero co wstali od obiadu.

– Kapitalna dziewczyna – oświadczył z żarem McQuaid.

– Uratowała nam wtedy skórę. To był cholernie genialny pomysł, żeby zanieść żarcie ludziom wycinającym torf. Wyszła za stolarza z Dublina. Urodziła mu gromadkę dzieciaków.

Moran nalał mu następną porcję whiskey.

– Jesteś pewien, że nie zaryzykujesz kropelki? – McQuaid uniósł szklanke. – To żadna przyjemność pić samemu.

– Nie służy mi – powiedział Moran. – Wiesz o tym. Musiałem rzucić. A teraz już nawet patrzeć na nią nie mogę.

– W takim razie nie powinienem był ciebie pytać.

– Nie szkodzi. Naprawdę nie szkodzi.

Wspominali dalej: śmierć przyjaciół, maszerowanie w pojedynkę po nocy, straszliwy mózół, jakim dla niektórych było umieranie, wędrówka od kryjówki do kryjówki, deszcz, wilgoć, marznięcie podczas wielogodzinnego czekania w bezruchu, aż Brytyjczycy wpadną w zastawioną zasadzkę.

– Napędziliśmy im stracha. W końcu przemieszczali się już tylko w konwojach.

– Ludzie, którzy trzy lata wcześniej napluliby ci w twarz, teraz klepali cię po plecach. Mało nóg nie połamali, tak się spieszyli, żeby przejść na stronę zwycięzcy.

– Wielu z tych, co podostawali emerytury, medale i posady, nie wiedziało nawet, za który koniec trzyma się strzelbę. A ci, co naprawdę walczyli, zostali z niczym. Wczesna śmierć albo emigracja. Czasem robi mi się niedobrze, kiedy widzę, o co walczyłem – rzekł Moran.

– To bez sensu, że nie bierzesz emerytury IRA. Zapracowałeś na nią. Nadal wystarczy, żebyś tylko palcem kiwnął.

– Niech się udławiają. – Moran na przemian zaciskał i rozwierał pięści.

– Nigdy nie pytam, jakiego koloru są czyjeś pieniądze. Dają, to biorę. – Moran był zbyt przygnębiony, by odpowiedzieć, McQuaid wrócił więc do przerwanych wspomnień. – Potem zrobiło się źlej. Nie musieliśmy się już ukrywać. Pamiętam, jak kiedyś, w gorąc, zostawiliśmy strzelby i łachy na brzegu i wykąпалиśmy się na nagusa w rzece. Albo jak w niedzielę łowiliśmy ryby na błyszczkę i przyczepiła się do nas wydra. Cały czas płynęła za łódką. A potem przysłali tego generała.

– To nie był generał, tylko szemrany pułkownik.

– Pułkownik czy generał, załatwiliśmy go na cacy – oświadczył z dumą McQuaid. – Miałeś tęgą głowę, żeby od początku do końca wymyślić taki plan. Marnujesz się.

– Bez ciebie nigdy by to nie wypaliło. Zachowywałeś się, jakbyś wyszedł na spacer – powiedział Moran.

– Umiałeś wszystko zaplanować. To ty przygotowałeś całą hecę, od początku do końca. Żaden z nas nie miał takiej głowy jak ty.

– Mieliśmy szpiegów. Mieliśmy w mieście swoich ludzi. Facet przyjeżdżał pociągiem o trzeciej. Chcieli urządzić pokazówkę. Postawili

przed stacją straż honorową, plecami do domków kolejarzy. Nawet ich nie sprawdzili.

– I tak by nas nie znaleźli.

– Nibs McGovern codziennie przychodził z wózkiem po gazety i bochenki chleba z piekarni Bolanda, które sklepy zamawiały czasem dla ważnych klientów. Ludzie tak się do niego przyzwyczaili, że już go w ogóle nie zauważali. A nam w to graj.

– Plan był dziecinnie prosty, ale i tak powtarzaliśmy go ze czterdzieści razy. Wśliznęliśmy się do miasta, kiedy już było ciemno. Tylko Tommy Flood, kancelista od notariusza, wlaź nam w drogę.

– Dorwaliśmy Nibsa – zaśmiał się McQuaid.

– Akurat wybierał się na miasto. Znowu dopisało nam szczęście. Nibs nie chodził do żadnego konkretnego pubu. Nie było z nim najmniejszego kłopotu. Kiedy trzeba było, potrafił szybko myśleć. Daliśmy mu whiskey i dopiero rano zwiąaliśmy go, dla jego własnego dobra.

– A potem zaczęło się czekanie – powiedział ostro Moran.

– Nie zapomnę tego do śmierci. Włożyłem łańcuchy Nibsa – ciągnął McQuaid. – Były tak sztywne od brudu i tłuszczu, że same stały. Czekanie było okropne. Jakbyś się starzał. Nic się nie dzieje, a potem nagle wszystko wydarza

się naraz. Angole wmaszerowują na stację. Orkiestra. Usłyszałem nadjeżdżający pociąg i zanim się zorientowałem, szedłem po ulicy, pchając przed sobą wózek. Miał obłuzowane kółka, bałem się, że odpadną. Nie przyszło nam do głowy, żeby sprawdzić kółka. Pod zapiętym płaszczem schowałem karabin i granat. Nibs nosił płaszcz nawet w środku lata.

– Pilnowałem cię ze stoperem w rękę przez jedno z okien. Obserwowałem każdy twój krok. Bałem się, że zbyt szybko dojdiesz do nasypu. Bałem się, że jeśli wejdiesz za wysoko, znajdziesz się na linii naszego ognia.

– Opadł szlaban. Pociąg, sapiąc, wtoczył się na stację. Pieprzona orkiestra walnęła *Boże, chroń królową*. Obok peronu rosły trzy jodły. Mówią, że to przez dym i parę urosły takie koślawe. Starszy sierżant darł mordę. Żołnierze stanęli na baczność. Pułkownik, generał, czy kto to tam był, wysiadł na peron. Był z nim jakiś drugi oficer, trzymał przed sobą szablę. Pchałem wózek, modląc się, żeby te cholerne kółka nie odpadły. Ale nikt nawet nie spojrzał w moją stronę. Oficer z szablą był młody. A pułkownik wielki i tęgi i miał rude brwi. Pamiętam, że miałem tylko jedną myśl w głowie, kiedy pchałem wózek, patrząc na tę czerwoną gębę i wąsy: Przyjacielu, zaraz wyruszysz w najdłuższą

podróż w swym życiu. Dostał jak się patrzy. Ten drugi upadł, nie wypuszczając szabli. Wyciągnąłem zawleczkę. Przedarłem się przez szereg, a oni dalej stali na baczność. Nie musiałem nawet wyciągać rewolweru. Rzuciłem się na ziemię i potoczyłem z nasypu.

– Tylko na to czekałem. Jak zobaczyłem, że się staczasz, rozkazałem otworzyć ogień – powiedział Moran.

– Niektórzy padali, stojąc na baczność. Nie mogli pojąć, skąd lecą kule. Żołnierze w sklepie z towarami przemysłowymi strzelali do swoich własnych ludzi.

– Kiedy dotoczyłem się na dół, strzelanina szła już na całego. Poczekąłem, aż złapię oddech, i śmignąłem przez drogę. Chyba nikt nawet nie próbował do mnie strzelać. Jak tylko znalazłem się za domem, od razu ściągnąłem z siebie łachy Nibsa.

– W końcu zaczęli strzelać do nas z budynku stacji. Michael Sweeney dostał w ramię. Dałem rozkaz odmarszu. Myles Reilly i McDermott zostali, żeby osłaniać odwrót. To byli nasi najlepsi strzelcy Przy Donoghue's Cross drogę blokowały zwalone drzewa. Zaczekaliśmy na Reilly'ego i McDermotta. Potem rozdzieliliśmy się, połowa poszła do kryjówek nad jeziorami, a reszta w góry. Mogliśmy to sobie darować.

– Bali się wystawić głowę, a jeśli już, to całym konwojem, strzelając do kobiet i dzieci.

– Nie pozbierali się już po tym ciosie – powiedział Moran. – Wkrótce cały kraj wiedział, co się stało.

– Miałeś głowę nie od parady, Michaelu.

– Gdyby nie ty nic by z tego nie wyszło.

– Pamiętam jego brwi, jakby to było wczoraj.

Nieczęsto się widzi Anglika z rudymi brwiami. Miałem mnóstwo czasu, żeby mu się przyjrzeć, kiedy pchałem ten wózek i sterczałem tam w łąkach Nibs'a. Rozpiąłem płaszcz i myślałem, patrząc na niego: Zaraz wyruszysz w najdłuższą podróż w swym życiu i nawet nie masz o tym pierdolonego pojęcia. A potem strzeliłem.

– Pilnowałem cię ze stoperem w ręku.

– Nie musieliśmy się rozdzielać. Robili w gacie na samą myśl, że mieliby wyściubić nos z miasta. Kraj znowu należał do nas. A potem był rozejm. I zaczęliśmy tłuc się między sobą.

– Zobacz, do czego to doprowadziło. Spójrz na ten kraj. Rządzi nim banda pazernych gangsterów, którzy myślą tylko o tym, żeby nabić własną kabzę. Lepiej by było, żeby do tego w ogóle nie doszło.

– Nie mogę się z tym zgodzić – powiedział McQuaid.

Odzyskaliśmy swój kraj. Może następna

ekipa będzie lepsza od tej bandy druidów i oszustów, która dzisiaj nami rządzi.

– Zostaw księży w spokoju – zaprotestował ostro Moran.

– Nie będę nikogo zostawiał w spokoju. Doją nas równo.

Moran nie odpowiedział. Pokój wypełniła gniewna, złowroga cisza. McQuaid odnalazł w sobie autorytet, który budował latami i który przerósł autorytet Morana. Nie zamierzał ustąpić. Moran wstał i wyszedł. Kiedy wrócił, McQuaid najmniejszym gestem nie dał poznać, że to zauważył.

Maggie zastała ich zwartych w pełnym napięcia milczeniu. Przed wejściem do domu przyczesła włosy przy świetle kieszonkowej latarki, wygładziła i poprawiła ubranie, ale gdyby tego nie zrobiła, Moran i tak niczego by nie zauważył. Od razu, w milczeniu, zaczęła szykować herbatę i kanapki. Z piętra zeszła Mona. Poszeptała chwilę z Maggie i wróciła na górę z niedużym dzbankiem mleka i kilkoma kanapkami. W końcu Moran dostrzegł pustą szklankę McQuaida i spróbował dolać mu whiskey.

– Starczy – powiedział McQuaid, przykrywając szklankę dłonią.

– Przed laty potrafiłeś opróżnić prawie całą

flaszkę.

– Te czasy dawno minęły. Napijemy się herbaty, którą zaparzyła Maggie.

Moran niechętnie zakręcił butelkę i odstawił ją z powrotem za zasłonkę, do szafki z lekarstwami. Ton, którym zostało wypowiedziane starczy, zostawił po sobie piekący ból.

– Pamiętasz Eddiego McIniffa na nocnej warcie w ogrodzie Maguire'a? – zapytał McQuaid. – Z ogrodu Maguire'a widział wszystkie drogi. Wystawialiśmy warty na wypadek, gdyby Brązowi chcieli przeniknąć nad jeziora pod osłoną nocy. Eddie świetnie strzelał do kaczek i potrafił stać nieruchomo jak głaz. Jedna z córek Maguire'a – Ellie czy Molly, chyba raczej Molly, to wszystko były ładne, rosłe dziewczęta – wyszła rano za potrzebą i ukucnęła pod jabłonką, kilka stóp od Eddiego. Odczekał chwilkę i przyłożył lufę do jej gołego pośladka. Szkoda, że nie widziałem jej miny, kiedy podskoczyła! – McQuaid wybuchnął gromkim śmiechem. – Nie ma nic zimniejszego na gołą dupę niż lufa strzelby po całej nocy na dworze.

Moran się nie śmiał. Przytłoczył go ciężar własnej dezaprobaty. Kręcił młynka kciukami, jak zawsze, gdy był poruszony i szukał sposobu, by się odgryźć.

– McIniff postąpił po drańsku, ale ty powinieneś mieć dość wstydu, by tego nie rozpowiadać.

– To był tylko żart – zbył jego przyganę McQuaid. – Czy ty aby nie kombinowałeś z którąś Maguire'ówną? My musieliśmy zebrać i skomleć, żeby dziewczyny zechciały choć na nas spojrzeć, ale do ciebie lgnęły jak pszczoły do miodu.

– Głupie gadanie – uciał Moran, wściekły jak zawsze, kiedy ktoś próbował uchylić rąbka tajemnicy, którą instynktownie otaczał swoje życie.

– Z waszego ojca był kiedyś pies na kobiety.

– McQuaid skierował tę uwagę do dziewcząt.

– Uważam, że pan McQuaid nie przynosi sobie zaszczytu takim gadaniem – oświadczył z godnością Moran.

– Chodzą nawet słuchy, że znowu uderzyłeś w konkury. Masz poważne zamiary, Michaelu?

Moran zachował wymowne milczenie. Dziewczęta podały herbatę i kanapki.

– Twoje panny uszczęśliwią kiedyś jakiegoś mężczyznę – zauważył McQuaid. – Odważny z ciebie facet, Michaelu. Gdyby mojej pani coś się stało, obawiam się, że przeżyłbym resztę życia w ciszy i spokoju.

Dziewczęta wreszcie mogły się bezpiecznie

roześmiać. Wizja starego, grubego hodowcy bydła w roli romantycznego kochanka była tak niedorzeczna, że nawet Moran się uśmiechnął.

– Na twoim miejscu przyjąłbym tę emeryturę, Michaelu. Zpracowałeś na nią. Nigdy nie pytaj o kolor pieniędzy. – Przy herbacie rozmowa wypłynęła na spokojniejsze wody.

– Jakoś dawałem sobie bez niej radę. Dlaczego miałbym teraz ją brać? – Chępliwy ton, jakim zostało to powiedziane, sugerował, że Moran wcale nie był taki pewien.

– Mnie tam nie zaszkodziła. Kiedy zaczynałem handlować bydłem, nie raz i nie dwa uchroniła mnie przed bankructwem. Teraz to już bez różnicy, ale pod koniec każdego miesiąca znajduję gorsze rzeczy w skrzynce na listy.

– Myślałem o tym – przyznał Moran.

– Mógłbyś coś kupić dziewczętom albo zapłacić za szkołę, jeśli nie chcesz tych pieniędzy dla siebie. Dawno już powinieneś je wziąć. Na tym świecie nie można istnieć bez pieniędzy. A innego może już nie być. – McQuaid nie mógł się powstrzymać od prztyczka w religijność Morana.

– Człowiek strzela... – powiedział ponuro Moran.

– A Pan Bóg ma to w nosie – zadrwił z przysłowia McQuaid.

Dziewczęta skończyły zmywać naczynia i odstawiły na miejsce filiżanki i talerze. Nakryły wilgotną ścierką kwadraciki niedojedzonych kanapek.

– Pokój pana McQuaida jest gotowy – powiedziała Maggie, zanim poszły do siebie. – Przewietrzyłam pościel.

– Och, zapomniałem – wtrącił pospiesznie McQuaid.

– Muszę się zaraz zbierać w drogę. Powinienem był wcześniej uprzedzić, ale wyleciało mi z głowy.

Moran nie zaprotestował. Odchylony na oparcie fotela, obserwował McQuaida spod przymkniętych powiek. Przez te wszystkie lata w Dniu Świętego Manchana McQuaid zawsze nocował w jego domu.

– Obiecałem staruszce, że wrócę na noc – skłamał McQuaid, podnosząc się z fotela. – Inaczej pojechałaby do któregoś z chłopaków. Zaczęła się bać zostawać sama w domu.

Odczekawszy dłuższą chwilę, by się upewnić, czy nie będą jeszcze potrzebne, dziewczęta podeszły do Morana i pocałowały go, jak co wieczór, w usta.

– Dobranoc, panie McQuaid – powiedziały, podając mu rękę.

– Przeszykowałyście wyśmienity

poczęstunek. Wspaniałe z was dziewczęta. Jeśli kiedykolwiek będziecie w naszych stronach, zajrzyjcie do nas. Moja pani się ucieszy. – Przytrzymał ich dłonie w swoich.

– Dobranoc, panie McQuaid – powtórzyły z zakłopotaniem i zostawiły ich samych.

McQuaid usiadł, ale zaraz wstał znowu. Jak we wszystkie wcześniejsze Dni Świętego Manchana przyjechał z zamiarem pozostania na noc. Tamtego wieczora jednak narastająca irytacja, jaką wywoływało w nim kompulsywne dążenie Morana do dominowania, do bezwzględnego narzucenia własnych warunków, stwardniała w nagłe postanowienie zerwania z wieloletnią tradycją i natychmiastowego opuszczenia jego domu. Kiedy Moran zobaczył, że McQuaid stoi, zrozumiał od razu, że to koniec wieczoru, koniec wszystkich wieczorów, i wycofał się w swoją skorupę. Nie zamierzał ani go błagać, by został, ani odprowadzać do drzwi.

Postawiwszy tamę dominacji Morana, McQuaid zapragnął pojednania.

– Wielkie dzięki za wieczór i poczęstunek, Michaelu. To był wspaniały wieczór.

Przez chwilę wydawało się, że Moran nie wstanie, zmuszając McQuaida, by sam trafił do wyjścia. Jednak wstał, wolno i z wyraźną niechęcią, i odprowadził McQuaida do

kamiennej sieni, ociężale, jakby miał trudności z poruszaniem się. W ciemnej sieni oparł dłoń o krawędź drzwi.

– Powodzenia, Michaelu – powtórzył na koniec stary handlarz bydłem, ale ukryty w półmroku Moran nie odpowiedział.

Na dworze nagły przebłysk księżyca zza chmur wyostrzył kontury bukszpanów obrzeżających ścieżkę prowadzącą do drewnianej furtki. McQuiad ruszył przed siebie ciężkim, zdecydowanym krokiem. Nie zamknął furtki, kołysała się za nim na zawiasach. Otworzył drzwiczki mercedesa, oparł się o nie, odchrząknął i splunął na żółtą ścieżkę.

– Niektórzy po prostu nie są w stanie grać drugich skrzypiec – rzucił dostatecznie głośno, by zostać usłyszonym, a potem wsiadł do samochodu, wykręcił i odjechał. Moran stał, trzymając się drzwi, dopóki światła mercedesa nie rozplynęły się w mroku, i dopiero wtedy wszedł do środka, nie zamykając żelaznej bramy na drogę ani drewnianej furtki między bukszpanami.

W stanie zimnej furii długo stał, a potem siedział, dwukrotnie zmieniając fotel. Oto po wielu latach przyjaźni stracił najlepszego przyjaciela, ale w pewnym sensie zawsze gardził przyjaźnią; liczyła się rodzina, a zwłaszcza

powiększona wersja jego samego – jego rodzina; kombinując wściekle, zrozumiał, że członkowie jego rodziny po kolei wymkną mu się spod kontroli. W końcu wszyscy odejdą. Zostanie sam. A tego by nie zniósł. Pojął z gorzką jasnością, że poślubi Rose Brady. Jak to się często zdarzało, ledwie oswoił się z tym pomysłem, natychmiast zapalał do niego namiętą odrazą.

McQuaid albo odgadł prawdę przez czysty przypadek, albo trafił na wiarygodne źródło informacji na targu w Mohill.

Rose Brady przyjechała z Glasgow opiekować się ojcem, a po jego śmierci przedłużała pobyt o kolejne dni, nie mogąc zdecydować się na wyjazd. Mogła wrócić do Rosenbloomów, do wielkiego domu pod Glasgow, gdzie przez dwanaście lat mieszkała na prawach członka rodziny. Pani Rosenbloom pisała, że czekają na jej powrót, ale ona została z matką i bratem w domu na farmie nad małym jeziorem, na jałowym, kamienistym podnóżu góry, za którą leżała Agrina.

Czasem wieczorami życie na farmie zaczynało ją osaczać, choć drzwi zawsze były szeroko otwarte na letnie podwórze, brat pracował w polu, matka krzątała się po obejściu,

łomocząc wiadrami, a kiedy przystawała, by chwilę porozmawiać, zawsze opierała się o stół albo oparcie krzesła. Któregoś razu, byle tylko wyrwać się z domu, Rose poszła na pocztę wysłać list.

Ze zdumieniem stwierdziła, że niewielkie pomieszczenie jest pełne ludzi czekających na wieczorną pocztę. Kiedy weszła, wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę i tłum się rozstał, robiąc jej przejście do kontuaru. Ludzie, których imion nie była już pewna, pozdrawiali ją po imieniu, a ona odpowiadała uśmiechem i kiwnięciem głową. Urząd prowadziły dwie siwowłose siostry, Annie i Lizzie, dalekie kuzynki Rose. Annie podstemplowała kopertę, nakleiła znaczek i wrzuciła list do płóciennego worka, który leżał na kontuarze.

– Ciągle z nami, Rose?

– Ciągle, Annie. Macie tu dzisiaj dużo ludzi.

– Czekają na furgonetkę. Ty też możesz zaczekać. Zobaczysz, czy coś do was nie przyszło.

Teraz ona odsunęła się od lady, żeby zrobić miejsce komuś innemu, i stwierdziła, że stoi obok Morana. Znała go dobrze z widzenia, ale nigdy z nim nie rozmawiała.

– Przykro mi z powodu twojego ojca – powiedział.

– Dziękuję – odparła oficjalnie.

Wiedziała, że od wielu lat jest wdowcem. Służył jako oficer w wojsku, ale odszedł w związku z jakimś konfliktem. Często przechodziła obok kamiennego domu, w którym mieszkał razem z dziećmi. Część z nich musiała już być dorosła. Słyszała niezycliwe plotki na jego temat, ale już po kilku minutach rozmowy była gotowa złożyć je na karb ludzkiej zawiści. Uznała, że jest grzeczny, inteligentny, czarujący nawet, wyczuwała w nim jednak mocne poczucie odrębności i dumę, co sprawiło, że wydał jej się znacznie bardziej interesujący od pozostałych mężczyzn z wioski. Poczтовая furgonetka zahamowała przed budynkiem i szmer rozmów ustał jak nożem uciął. Kierowca bez słowa rzucił na ladę worek z listami i zabrał zapieczętowany worek z wychodzącą pocztą. Kiedy Annie otworzyła worek i zaczęła wyjmować listy, cała uwaga Morana skupiła się na sortowaniu. Przestał zauważać Rose. Jeszcze przed chwilą znajdowała się w centrum uwagi, a teraz nagle przestała dla niego istnieć. Sprawiał wrażenie, jakby od każdego kolejnego listu w rękach Annie zależało jego życie, nie spuszczał oczu z koperty, dopóki kobieta nie wręczyła jej adresatowi albo nie odłożyła na kupkę, a wtedy wpijał się wzrokiem w następny list. Towarzyszyło temu takie napięcie, że Rose poczuła gwałtowną ulgę,

kiedy wreszcie wyszli z ciasnego pomieszczenia na świeże powietrze.

– Czekales na ważny list?

– Nie. – Roześmiał się. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Och, tak tylko pomyślałam.

– Prawie co wieczór przychodzę na pocztę. To mi pozwala wyrwać się z domu. I oszczędza zastanawiania się przez cały następny dzień, czy Jimmy zajedzie do nas ze swoją torbą.

Prowadzony przez nią rower zostawiał cienki ślad w jasnym pyłe drogi. Rozstali się na skrzyżowaniu przy moście.

– Pewnie niedługo znowu nas opuścisz – powiedział.

– Jeszcze nie wiem, kiedy wyjadę – odparła.

Smukła i silna, zbliżała się do czterdziestki. Była zbyt akuratna i pospolita, by kiedykolwiek uchodzić za piękność, ale z jej wielkich szarych oczu wyzierała inteligencja, upór i energia. Po powrocie do domu nie mogła się powstrzymać, żeby nie wspomnieć o Moranie.

– Mówią, że niezłe z niego ziółko – zauważyła ostrożnie matka.

– Rozmawiałam z nim na poczcie.

Zauważyła, że matka obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem.

– Mówią, że przy ludziach potrafi być słodki

jak miód, ale w czterech ścianach własnego domu staje się zupełnie innym człowiekiem.

– Tutejsi ludzie za dużo gadają. Często to tylko prymitywne złośliwości.

Zwykle chroniła się instynktownie za zwykłymi strukturami społecznymi: rodziną, koligacjami, pozycją, konwenansami, owymi przyjętymi formami, którymi można posługiwać się jak bronią, jeśli je dobrze opanować. W ich ramach funkcjonowała z wdziękiem i pewnością siebie, które z czasem nabrały takiej gładkości, że wiałoby od nich chłodem, gdyby nie ocieplało ich życzliwe spojrzenie jej wielkich szarych oczu. Rosenbloomowie od dawna wiedzieli, że mogą wprowadzić ją w każde towarzystwo. Nie mogła jednak wykorzystać tych umiejętności przy Moranie. Za bardzo jej zależało. Miała za mało czasu. Przywodził jej na myśl wyjętego spod prawa banitę, co samo w sobie było fascynujące. Musiała zdobywać go mozolnie i na oczach wszystkich.

Przyszła na pocztę następnego dnia, i znowu następnego, za pierwszym razem kupiła od Lizzie grzebyk i plaster miodu, w piątek nadała list i zaczęła, aż Annie posortuje pocztę, zawsze manewrując tak, by wyjść razem z Moranem. Zanim się pożegnali, długo rozmawiali na rozstaju dróg, nie zaproponował

jednak spotkania w weekend. Potrafiła ukryć nerwowość, niepokój, marzenie o rozpoczęciu nowego życia, znecierpliwienie zbyt długo używanymi formami; nie była młoda i miała wystarczająco dużo lat, by przewidywać fiasko. Potrafiła zdusić swoje pragnienie do postaci nieanalizowanego otumanienia, ale nie potrafiła się powstrzymać od pójścia w poniedziałek na pocztę. Od kiedy zaczęła bywać tam regularnie, ludzie mogli ją swobodnie obserwować. Annie i Lizzie były przyjaźnie nastawione do Morana. Gawędziły z nim o jego rodzinie i o tym, jak trudno samotnemu mężczyźnie wychowywać dzieci. Wkrótce zaczęły przyjmować cowieczorną obecność Rose w małym, wyszorowanym do czysta pomieszczeniu urzędu pocztowego z sarkazmem. Niestosowna pogoń za miłością budziła w nich podszyte wrogością rozbawienie, „miłość” bowiem dawno już pozostawiła w tyle Annie i Lizzie – i wiele dużo młodszych niż one – i uważały ją za równie pożądaną, co żóltaczka. Zaloty Rose wydawały im się groteskową parodią.

Przechodząc przez drogę, żeby podlać rabatkę dali, stokrotek i nasturcji, którą posadziła na pasie murawy naprzeciwko swojego domu na skraju wsi, pani Reynolds zatrzymała się na widok Rose, skręcającej przy moście w

stronę poczty, i mruknęła jadownicie: „Najgorsza idiotka to stara idiotka”, jakby mierzyła się z najciemniejszą stroną własnej natury. W obu barach, na moście i boisku do piłki nożnej, gdzie mężczyźni zbierają się wieczorami, słychać było grubiańskie okrzyki: „Chłop zakisi ogóra! Każdy prędzej czy później wpada do ciemnej dziury!”, po których następował rechot przypominający serię z karabinu maszynowego. Co wieczór chodziła na pocztę, narażając się na śmieszność, której postanowiła nie zauważać.

– Czekasz na jakiś ważny list, Rose? – dopytywała się z niepokojem matka.

– Nie, mam. Po prostu chcę się wyrwać z domu na godzinę lub dwie.

Dopiero zamężna siostra Rose przyniosła do domu wiadomość, co jest prawdziwą przyczyną owych cowieczornych wyjść na pocztę.

– Wydawałoby się, że w tym wieku będzie miała więcej oleju w głowie. Zrobi z siebie pośmiewisko, o ile już nie zrobiła.

– Słyszałam, że widujesz się na poczcie z panem Moranem – zagadnęła ją delikatnie matka.

– Tak, jest tam codziennie.

– Nie zawracałabym sobie nim głowy. Zresztą on ma już dużą rodzinę.

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi, mam. –

Zaśmiała się i obdarzyła matkę czarującym uśmiechem, który skrywał żelazną wolę. – Rozmawiamy wyłącznie o jego dzieciach. Bardzo się o nie troszczy.

– Na twoim miejscu byłabym ostrożna, Rose. Ludziom nie trzeba wiele, żeby zaczęli gadać.

– To niech gadają.

A jednak Moran nie wykonał żadnego ruchu, niczego nie obiecał, nie dał do zrozumienia, że odwzajemnia jej zainteresowanie, nie próbował jej pomóc. Zachowywał się tak samo, jak wtedy, kiedy się poznali; to wszystko. Ani się do niej nie zbliżył, ani nie odsunął. Zrozumiała, że to się nie może tak ciągnąć. Któregoś wieczoru, kiedy gwałtowna ulewa zmusiła ich do poszukania schronienia pod gęstym listowiem jaworów, powiedziała:

– Mógłbyś przyjść kiedyś do nas do domu, Michaelu. Chcieliby cię poznać.

– Wiesz, jak trudno się wyrwać, Rose.

– W każdym razie wiedz, że jesteś zaproszony. – Uśmiechnęła się i odeszła, i nie był zdziwiony, kiedy następnego wieczoru, ani jeszcze następnego, nie przyszła na pocztę. Wiedział, że jeśli ją chce, musi do niej pójść.

Kiedy był młodym mężczyzną, uganiało się za nim wiele kobiet; to że w głębi ducha nimi

pogardzał, nie umniejszało bynajmniej jego atrakcyjności, ale w późniejszych latach liczna rodzina i wiek zaciążyły mu jak kalectwo; za nic nie odważyłby się odsłonić tak, jak zrobiła to Rose. Zainteresowanie Rose Brady było równie nieoczekiwane, co nagłe i pożądane. Jakby samo niebo zesłało mu ją w swojej hojności. Była dużo młodsza od niego, silna i można było na nią patrzeć bez wstrętu. Miał powody podejrzewać, że zaoszczędziła trochę pieniędzy i że jego życie znów załśni pełnym blaskiem w centrum jej troskliwej uwagi. Mało prawdopodobne, by jeszcze raz trafiło mu się takie szczęście, choćby czekał nie wiadomo jak długo. W tym samym tygodniu ni stąd, ni zowąd oświadczył Maggie, że pragnie pomówić z nią w cztery oczy. Straszliwie zdenerwowana i zaniepokojona poszła za nim do jego pokoju.

– Jest pewna bardzo ważna sprawa dotycząca całej rodziny, o której chcę z tobą porozmawiać. – Wygłaszając te słowa, czuł się okryty płaszczem dostojeństwa i odpowiedzialności. – Co byś powiedziała, gdybym wprowadził do rodziny kogoś nowego?

Maggie rzuciła mu szybkie spojrzenie, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Gdybym wprowadził inną kobietę na miejsce twojej matki, niech Bóg zmiłuje się nad

jej duszą – poprawił się.

– Gdybym miał się powtórnie ożenić.

Czy to z powodu niespodziewanej wzmianki o matce, czy też emocjonalnego patosu, którym natchnął tę scenę, Maggie wybuchła szlochem. Trwało to dłuższą chwilę, podczas gdy on w zakłopotaniu przestępował z nogi na nogę, z trudem się pohamowując, by na nią nie wrzasnąć. Po chwili zrozumiała, że może się schować za płaczem.

– Kobieta pomoże wam lepiej ode mnie – powiedział.

– Mężczyzna nie potrafi zrobić wszystkiego.

– Jak tatuś uważa. – Wiedziała, że to, co powie, i tak nie będzie miało większego znaczenia.

– Sądzisz więc, że to będzie z pożytkiem? – Teraz chciał jak najszybciej zakończyć to przedstawienie.

– Jeśli tatuś tak sądzi.

– Wiem, że będzie z pożytkiem. Nie myślałbym o tym ani chwili, gdyby to nie miało być z pożytkiem dla nas wszystkich. Wreszcie znowu będziemy mieli prawdziwy dom. Miejsce, do którego zawsze będziecie mogli wrócić.

Nie mogła się doczekać, kiedy powie o tym Sheili i Monie. W pierwszej chwili obie pomyślały, że żartuje, ale kiedy powtórzyła słowo

w słowo całą rozmowę z ojcem, wybuchły dzikim śmiechem. Nie powiedziały nic młodszemu bratu. Chociaż kochały go, jakby był ich własnym dzieckiem, nie dopuszczały go do spraw związanych z prowadzeniem domu.

– Kto to? – zapytały, kiedy przestały się śmiać.

– To musi być panna Brady, która wróciła do domu z Glasgow.

– Nie przyjmie go.

– Mówią, że oszalała na jego punkcie. Co wieczór przychodzi na pocztę. – I znowu zaczęły się śmiać z tego, co uważały za parodię własnego kwitnienia.

W niedzielę po mszy Moran wyprowadził z szopy małego granatowego forda, sprawdził silnik i opony, umył go, wytarł do sucha i nawoskował do połysku. O trzeciej po południu przejechał cztery mile do domu Rose Brady. Dróżka, która do niego wiodła, była wąska, kręta i przegradzała ją zbyt wiele bram, zaparkował więc na szerokim trawiastym poboczu obok platformy na bańki z mlekiem. Samochodu nie widać było z domu, zasłaniały go drzewa. Szedł wolno dróżką, ciesząc się dotykiem odprasowanego brązowego garnituru, który rzadko wkładał, nowymi emocjami pośród monotonii jego życia. Jakby znowu zbliżał się do

granicy czegoś świeżego i nowego.

Rose zobaczyła go przy ciężkiej czerwonej bramie od podwórza. Uczucie ulgi, że jednak przyszedł, było tak intensywne, że znieruchomiała w drzwiach. Gdy ulga przeszła w czyste zadowolenie, pomachała Moranowi na powitanie i rzuciła się biegiem przez podwórze, jak młoda dziewczyna. Znalazła się przy nim, zanim zdążyła pomyśleć, jak wyglądają jej twarz i włosy.

Miała za sobą złe dni. Wieczorami z bolesną wyrazistością wyobrażała sobie cizbę ludzi na poczcie i przejeżdżającą przez most furgonetkę, Annie sortującą listy, pusty odcinek drogi do kępy jaworów, pod którą się zatrzymali, żeby porozmawiać. Tak bardzo chciała tam być, że musiała natężyć całą wolę, by wytrwać w postanowieniu. Nie mogła tam pójść. Dała mu dostatecznie dużo znaków, być może nawet za dużo, i mogła tylko czekać. Teraz on musiał przyjść do niej.

Nie spodobał się matce, lecz surowe obyczaje gościnności nie pozwalały jej tego okazać. Brata już znał i dwaj mężczyźni rozmawiali teraz o zbiorach siana i cenie, jaką spodziewali się uzyskać za owce, wełnę i bydło. Na stole pojawił się biały obrus, chleb domowego wypieku, dżem i świeży placek z jabłkami. Zaparzono herbatę.

Pochwalił chleb i dżem z czarnych porzeczek.

– Co roku mamy ich zatrzesienie. Większość dostaje się ptakom. W przyszłe lato niech twoje córki przyjdą nazbierać porzeczek.

– To by już było zanadto – podziękował.

– Jeśli dziewczęta ich nie wyzbierają, zgniją w trawie albo zezrą je ptaki – powiedziała matka najuprzejmiej, jak potrafiła.

– Interesujesz się piłką nożną? – zapytał brat Rose.

– Nie za bardzo, ale lubię popatrzeć na dobry mecz.

– Chciałbyś posłuchać końcówki meczu?

– Jasne.

Brat Rose włączył transmisję niedzielnego meczu, której słuchał, zanim Moran wszedł na podwórze. Po jakichś dziesięciu minutach mecz skończył się zadowalającym wynikiem. Przez chwilę rozmawiali o grze, Moran nie upierał się przy swoim zdaniu i był aż przesadnie uprzejmy.

– Teraz, kiedy najadłem się już i napiłem do syta, pora wracać do domu – powiedział godzinę później.

Matka i brat pożegnali go uprzejmym uściskiem dłoni. Rose włożyła sweter i odprowadziła go aż do końca dróżki. Nad nimi, na dolnych partiach stoków, ciągnęły się nędzne poletka usiane kamieniami i krzakami janowca.

Poniżej leżało niewielkie jezioro otoczone pierścieniem trzcin.

– Są w nim ryby? – zapytał.

– Kiedyś było bardzo dużo – małe okonki, szczupaki i węgorze – ale jakoś nigdy nie dorastały do przyzwoitych rozmiarów.

Minąwszy pierwszą bramę u stóp wzgórza, po raz pierwszy, odkąd się poznali, znaleźli się poza zasięgiem cudzego wzroku. Oprócz nich były tam tylko żywopłoty z głogu i dzikiej róży, wzgórek trawy pomiędzy brzdami kolein, dzikie truskawki dojrzewające w trawie pobocza.

– Dobrze wypadłem?

– Zachowywałeś się bez zarzutu. Nie mogło być lepiej. Cudownie, że przyszedłeś. – Wzięła go za rękę i skwapliwie podała mu usta, kiedy pochylił się, by po raz pierwszy ją pocałować.

– Nie nawykłem do składania wizyt – powiedział. – Teraz twoja kolej, żeby przyjść i poznać moją zgraję.

– Bardzo chciałabym ich poznać.

– Zorganizuję coś w najbliższym czasie. Mam nadzieję, że będą umieli się zachować.

Ruszył przed siebie. Znowu okrywał go widzialny niemal płaszcz odpowiedzialności.

– Nie wiedziałam, że masz samochód – powiedziała zaskoczona, kiedy znaleźli się na drodze.

– Nie używam go zbyt często, ale miło jest wiedzieć, że możesz pojechać, dokąd zechcesz.

W skrytości ducha uradowało ją, że posiada samochód. To był kolejny znak jego odmienności od tutejszych ludzi, którzy raczej kupiliby krowę albo trochę więcej ziemi. W tych stronach samochód ceniono wyżej niż kwiaty, sad czy ogród ziołowy: był symbolem czystego luksusu.

Wracała wolno dróżką, rozkoszując się pełnią spokoju, poczuciem wewnętrznej siły. Ta wąska dróżka była droga jej sercu. Podczas bezsennych nocy w Szkocji często przemierzała ją w wyobraźni. Poziomki, sztywne łodygi traw, czarne strąki wyki porastającej pobocze były dla niej jak serdeczni przyjaciele. Po wielu życiowych falstartach to właśnie ich uczyniła świadkami nowego, czystego początku, którego nie zepsuje i od którego wyegzekwuje to, co obiecał. Odtąd nie będzie już musiała, obnażona i bezbronna, uganiać się za szczęściem. Będzie miała pewną, stabilną pozycję, bezpieczny punkt wyjścia do komunikowania się ze światem.

Jak tylko weszła do domu, od razu zauważyła nieobecność brata.

– Gdzie jest Tom?

– Powiedział, że idzie na godzinę do O’Neilla.

– Nie spotkałam go po drodze.

– Może poszedł polami.

Milczały dłuższą chwilę. W końcu odezwała się matka:

– Cóż za niespodziewana wizyta.

– Zaprosiłam go, żeby do nas zajrzał, jeśli będzie w pobliżu. Spodobał ci się choć trochę?

– Jeśli tobie odpowiada, to mnie też. Ma liczną rodzinę.

– Nie widzę w tym nic złego.

– Miałaś wielu adoratorów. – Matka zmieniła taktykę.

– Nie pozostało po nich ani śladu.

Na tym rozmowa się urwała, ku zadowoleniu obu kobiet. Żadna nie zamierzała ustąpić.

Następnego wieczoru, ani jeszcze następnego, nie poszła na pocztę. Nie odczuwała już bolesnej tęsknoty za białą drogą do jaworów. Przychodząc w niedzielę do jej domu, Moran sprawił, że ta droga stała się taka sama jak wszystkie inne. Pójdzie, kiedy uzna, że już pora. Nie chciała sprawić wrażenia ani zbyt chętnej, ani zbyt obojętnej.

Jednak kiedy dotarła do budyneczku poczty na moment przed przybyciem furgonetki, znów ogarnęła ją nerwowość. Niewielkie pomieszczenie pękało w szwach.

Nie wiadomo, czy Annie i Lizzie dowiedziały się o niedzielnej wizycie Morana, czy po prostu

zauważyły jej nieobecność, w każdym razie zachowywały się niemal przyjaźnie. Zwróciła uwagę, że Moran jest ubrany mniej starannie niż poprzednio i że nosi przynajmniej dwudniowy zarost. Zupełnie jakby chciał agresywnie zaznaczyć, że wyszedł jej naprzeciw najdalej, jak mógł, i na tym koniec. Kiedy opuścili pocztę, nie przeprosił za swój niechlujny wygląd, był jednak równie przyjacielski i czarujący co przedtem.

– W niedzielę w świetlicy jest koncert. Łatwiej będzie odbyć pierwszą potyczkę z moim wojskiem na koncercie – powiedział. – A potem możesz przyjść do domu, kiedy tylko ci będzie pasowało.

– Jeśli uważasz, że tak będzie lepiej. – Z radością spełniłaby każde jego życzenie.

W sobotę wieczorem, kończąc odmawiać różaniec, Moran powiedział:

– Tę ostatnią modlitwę ofiaruję Panu, by wskazał mi słuszną drogę. – Wszyscy, nawet mały Michael, wiedzieli, co ma na myśli. – Jutro na koncercie poznacie bardzo wyjątkową osobę. To panna Brady – oznajmił, jak tylko wstali z klęczek. Odpowiedziały mu niewyraźne pomruki, wyrażające, jak bardzo się cieszą. – Macie włożyć swoje najlepsze ubrania – polecił.

W niedzielę wieczorem dziewczęta aż błyszczały, a chłopiec założył granatowy garnitur

od bierzniowania i czarne buty. Wszyscy czworo byli podekscytowani i trochę zawstydzeni. Widywali pannę Brady z daleka na mszy, ale nigdy z nią nie rozmawiali. Na wzgórzu za wsią ojciec dał im pieniądze.

– Usiądźcie z przodu i zajmijcie dwa miejsca dla mnie – polecił, zostawiając ich samych.

Chociaż sala była prawie pusta, nie starczyło im śmiałości, by usiąść w pierwszym rzędzie, i zajęli miejsca dopiero w trzecim od sceny. Zarezerwowali dwa dodatkowe krzesła, kładąc na nich złożone płaszcze. Znali wszystkich wchodzących do sali. Byli zdenerwowani i zażenowani, choć ludzie w sąsiednich rzędach uśmiechali się do nich i zagadywali. Skrępowanie wzrosło jeszcze, gdy tuż przed podniesieniem kurtyny do pełnej widzów sali wszedł Moran z Rose. Dziewczęta paliły się ze wstydu, czekając, aż niespiesznie, najwolniej jak potrafił, przyprowadzi ją na miejsce. Powoli i z namaszczeniem dokonał prezentacji. Skupiali na sobie teraz więcej uwagi niż sama scena. Niezwykła taktowność Rose ujawniła się w całej pełni. Jeśli była zdenerwowana, nie dała tego po sobie poznać i w ciągu tych kilku minut, które miała do dyspozycji, sprawiła, że siostry, każda z osobna, poczuły się swobodnie, zapominając o wstydzie i lękach.

Występowali amatorzy Grupka obwieszonych medalami dziewczynek wykonała taniec. Zaśpiewał mężczyzna w ciemnoniebieskim garniturze. Jakiś staruszek zagrał kilka melodii na akordeonie. Członkowie kółka teatralnego przedstawili krótki skecz. Ponieważ wszyscy artyści byli krewnymi albo znajomymi widzów, każdy numer nagradzano jednakową porcją oklasków. W przerwie Rose wymieniała ukłony i uśmiechała się do osób, które siedziały obok. Moran tkwił nieruchomo na krześle, nie rozglądając się na boki.

Po koncercie odwiózł czwórkę dzieci do Great Meadow. Rose usiadła z przodu. Kiedy dojechali, zaprosił ją do środka, lecz wymówiła się późną porą. Mówiąc im po kolei dobranoc, doprowadzonym do perfekcji wdziękiem czy też siłą swej osobowości zdołała każdemu z nich przekazać, że jest dla niej ważny sam w sobie. Pożegnali się z nią, włączeni w ciepły krąg jej zainteresowania, i kiedy Moran przez następne kilka dni w kółko zadawał im to samo pytanie, z czystym sumieniem odpowiadali, jak bardzo ją polubili. W istocie monotonna jednomyślność tych odpowiedzi wkrótce zaczęła mu działać na nerwy.

Rose chciała jak najszybciej wziąć ślub, ale teraz, kiedy nic już nie stało na przeszkodzie,

Moran nagle stał się ostrożny i oględny. Dostrzegła to i zmieniła sposób postępowania. Za pośrednictwem Morana zaprosiła dziewczęta i ich brata na całą długą niedzielę do siebie do domu. Ponieważ pomysł wyszedł od Rose, poparł go równie gorąco, jakby mu się sprzeciwił, gdyby chodziło o wizytę u kogoś innego.

Pokazała im małe jeziorko w wianuszku trzciny, zabrała na podnóże góry, zmontowała wędkę dla Michaela i zaprowadziła go w miejsce, gdzie sama łowiła ryby jako mała dziewczynka, i wkrótce krzyczał z radości, gdy żarłoczny okonek zerwał przynętę albo złowiona ryba frunęła nad głową na brzeg. Jej matka pokazała dziewczętom dom, drób i zwierzęta gospodarskie, ulubioną kózkę, którą Rose mogła wydoić tylko wtedy, gdy spryskała się perfumami matki. Dostali pyszny podwieczorek i zostali zaproszeni, żeby przychodzili, kiedy tylko zechcą. Po kilku tygodniach byli już stałymi gośćmi w domu Rose. Ponieważ Moran popierał te wizyty, mogli tam chodzić bez poczucia winy. Oderwanie się od wszechobecnego napięcia panującego w Great Meadow było jak zdjęcie sztywnego wyjściowego ubrania albo zrzućcie uciskających pantofli. Stara pani Brady nie polubiła Morana, ale bardzo przywiązała się do jego dzieci. Dopóki nie zdobyła ich zaufania, traktowały ją z

powściągliwym szacunkiem, zgodnie z zasadami obowiązującymi w czasach jej młodości. Chętnie pomagali jej w domu i biegali na posyłki, a ona lubiła częstować ich herbatą i piec dla nich ciasta. Rose, z tą samą taktownością, z którą zaaranżowała te wizyty, pilnowała, by nie narzucać swojej obecności. Posyłała ich z pićm i kanapkami w pole, tam gdzie pracował jej brat, który też polubił ich ciche towarzystwo pośród samotnych zagonów. Po kilku miesiącach dom rodzinny Rose i dom Morana całkowicie przemieszały się ze sobą. Na wpół żartem, ale też z pewną irytacją Moran zauważył, że w Great Meadow zrobiło się tak pusto, iż nie sprawi większej różnicy, jeśli on też się przeprowadzi do Rose. Nikt nie wiedział dokładnie, jak Rose to osiągnęła. Mistrzostwo w posługiwaniu się taktem upodobniało ją do ludzi tak gruntownie odcytanych, że mogą bawić się ideami bez wymieniania tytułów książek.

Matka Rose w końcu poczuła się na tyle pewnie, by ze swą zwykłą dobroduszną bezpośredniością zapytać Maggie:

- Co myślicie o tym, że Rose ma wyjść za waszego ojca?
- Cieszymy się.
- Na pewno nie macie nic przeciwko temu?
- Nie. Cieszymy się.

– Gadają, że was bijał.
– Mówią tak, bo tatuś nie pozwala nam się z nikim zadawać.

– Bijał was?

– Nie... Może czasem, kiedy byliśmy zuchwali, tak jak w każdej rodzinie. – Nie tylko wstyd, lecz także miłość kazały jej zaprzeczyć.

– Jak to się stało, że twój brat wyjechał i nawet was nie odwiedza?

– Tatuś i Luke nigdy się nie dogadywali. Za bardzo są do siebie podobni. – Maggie się rozplakała i matka Rose zrozumiała, że nacisnęła za mocno.

– Lepiej wyszłaby za kogoś bardziej w jej wieku – mruknęła do siebie. – Miała tylu adoratorów. Tylu adoratorów. Tylu adoratorów. Nic z tego nie rozumiem.

Maggie ocierała łzy, słuchając jej mamrotania. Wydało jej się komiczne. Dla niej Rose i Moran byli jednakowo starzy. Odpowiedzi Maggie nie uspokoiły matki Rose, ale ją lubiła i nie chciała ryzykować, że straci swoich młodych gości.

Jej ulubieńcem był Michael. Miał najmniej zahamowań. Potrafił paplać egoistycznie całymi godzinami. Czasami wsuwała mu do ręki ukradkiem pieniądze, on zaś pomagał jej w pracach gospodarskich. Często dochodziło

pomiędzy nimi do kłótni i wtedy na jakiś czas zniknął, ale nie potrafił długo wytrzymać. Kiedy wracał, czuli się jeszcze bliżsi sobie niż przed kłótnią i wkrótce znów krzatali się razem po obejściu, paplając jak najęci.

Rose zachęcała dzieci Morana, by przychodziły do jej domu, kiedy tylko zechcą, ale sama trzymała się z dala od Great Meadow. Kiedy już tam przyszła, nie zostawała długo. Moran nalegał, żeby zjadła z nimi obiad w Boże Narodzenie, ale odmówiła.

– To będzie źle wyglądało, jeśli spędzę Boże Narodzenie poza własnym domem – odparła, pozostawiając niedopowiedziane, że nie są jeszcze małżeństwem. – Przyjdę wcześniej w Dzień Świętego Stefana – obiecała.

Dziewczęta żałowały, że Rose nie spędza z nimi Bożego Narodzenia. Jak zawsze, dzień ten ciągnął się w nieskończoność. Moran zjadł sam przed wielkim lustrem kredensu, obsługiwany przez wylęknione dziewczęta. Dopiero kiedy skończył, zasiedli przy małym stoliku do własnej kolacji. To było pierwsze Boże Narodzenie, kiedy nie byli w komplecie. Moran bardzo boleśnie odczuwał nieobecność Luke'a.

– Można by się spodziewać, że przyjedzie na święta albo chociaż napisze, ale nie, nawet jednego słówka, jaśniepan myśli tylko o sobie.

Próbowali sobie wyobrazić, jakiego rodzaju przestrzeń otacza w tej chwili Luke'a w Anglii, ale nie potrafili. To tylko zwiększyło ich przygnębienie. Jakby patrzyli w ciemność. Po kolacji słuchali radia. Odmówili różaniec. Na stole pojawiła się talia kart. Wcześniej poszli do łóżek. Wsunęli się pod kołdry, zadowoleni, że dzień już się skończył.

Następnego ranka Rose przyniosła podarki. Kupiła jedwabny krawat dla Morana, bluzki i sweterki w kolorze śliwki dla dziewcząt. Michael dostał parę białych butów do piłki nożnej. Wiedząc, że Moran nie lubi prezentów, dziewczęta czekały w napięciu, jak przyjmie jedwabny krawat.

– Dzięki, Rose – powiedział, odkładając go na radio.

– Nie podoba ci się? – Uśmiechnęła się lekko, zaskoczona zdawkowością reakcji.

– Kosztował o wiele za dużo i jest zbyt wytworny dla takiego starucha jak ja. – Tym razem odpowiedź była wręcz wylewna.

Kiedy Rose zbierała się już do wyjścia, ciężarówką na węgiel z kopalni w Arignie przyjechali przebierańcy ze strzyżkiem. [W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, zwany w Irlandii Dniem Świętego Stefana albo Dniem Strzyżyka, młodzi przebierańcy chodzą po wsiach z martwym albo sztucznym strzyżkiem na patyku, czasem żywym ptakiem w klatce, zbierając pieniądze od gospodarzy. Zwyczaj ten ma niejasne, wieloznaczne korzenie, wywodzone z mitologii celtyckiej lub

legendy, wedle której w czasie najazdu wikingów ptaki te zdradziły irlandzkich wojowników, uderzając skrzydłami o ich tarcze; w wersji chrześcijańskiej strzyżyki miały wydać rzymskim żołnierzom świętego Stefana czy nawet samego Chrystusa. Niegdyś w tym dniu urządzano polowania na strzyżyki.] Na pacy samochodu stało ze dwudziestu mężczyzn, w maskach i kostiumach karnawałowych. Za pieniądze, które zebrali, grając po domach, kupili szynkę, bochny chleba, masło, lemoniadę, whiskey i baryłki portera na wielką zabawę taneczną urządzaną wieczorem w stodole Kirkwooda. Wszyscy okoliczni mieszkańcy byli zaproszeni.

Ledwie weszli do domu, odezwały się czyste dźwięki melodeonu i pary skrzypiec; osobno zagrały dudy. Młodzi mężczyźni obtańcowywali dookoła kuchni Rose i dziewczęta. Były radosne okrzyki i wiwaty, próby skradzenia całusa, zgadywanie, czyja twarz kryje się za maską, a później piosenka.

– Musicie oboje przyjechać dziś na tańce – powiedział mężczyzna, który zbierał pieniądze.

– Może i przyjedziemy – odparł Moran. – Może i przyjedziemy.

Dał im funta, Rose wyjęła z torebki czerwony dziesięcioszylingowy banknot i mężczyźni wytoczyli się wirującym kłębem, tak jak weszli, tańcząc i śpiewając całą drogę do ciężarówki. Kiedy samochód odjechał w kierunku następnego gospodarstwa, dom wypełniła

niesamowita cisza.

– Idziemy na tańce? – spytała Rose, wychodząc.

– Co tam będzie ciekawego oprócz tych samych durniów co zawsze?

– Jest Boże Narodzenie.

– Chcesz iść?

– Bardzo bym chciała.

Poszedł, choć niechętnie. W stodole Kirkwooda panował nastrój zabawy i serdeczności, a nawet jawnej rozwiązłości. Moran czuł się skrępowany. Najbardziej drażniła go serdeczność. Przebierańcy, którzy przez cały dzień jeździli od domu do domu ciężarówką na węgiel, wyszorowani do czysta i uczesani, muzykowali teraz radośnie na zbitym z desek podwyższeniu. Mimo siarczystego mrozu co chwila jakaś para wymykała się na dwór. Wracali pół godziny później, nieodmiennie trochę przygnębieni, ale po kilku tańcach wracał im dobry nastrój. Moran prawie z nikim nie rozmawiał, tańczył z Rose po krzywej podłodze, reagując ostro na każde potrącenie. Rose myślała z niepokojem, że zbyt długo żył w kamiennym domu z brzemieniem odpowiedzialności na barkach. Nie umiał bywać, nie czuł się swobodnie pomiędzy ludźmi. Nie wiedziała tylko, że Moran, dzięki swojej urodzie i wojennej

sławie, był niegdyś królem zabaw w stodołach i teraz, kiedy młodość i sława przeminęły, nie chciał się zgodzić na gorsze miejsce. Wolał w ogóle nie brać w tym udziału.

Rose przyszła na tańce, bo chciała w tym rozpustnym bożonarodzeniowym karnawale oznajmić światu, że są parą. Była zdecydowana zostać do końca. Uśmiechała się do sąsiadów i mężczyzn, z którymi chodziła do szkoły. Zmuszała Morana do tańca i pod koniec wieczoru była kompletnie wyczerpana samotnym wysiłkiem. Przez całą noc nie zrobił nic, by jej pomóc, ale to nie umniejszyło jej miłości.

W samochodzie oparła głowę o jego chętne, choć rozdrażnione ramię i powiedziała:

– Nie musimy być tacy jak inni. Nie musimy chodzić ze sobą latami. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy się pobrali, a ja kocham ciebie, Michaelu.

– Kiedy chcesz wziąć ślub?

– W tym roku. Przed latem. Gdyby były jakieś przeszkody, to co innego.

– Trzeba wziąć pod uwagę dzieci.

– Nie stanę im na zawadzie. Mogę tylko pomóc.

– Kiedy więc chcesz wziąć ślub?

– Nie ma powodu, żebyśmy nie pobrali się przed Wielkim Postem.

– Za duży pośpiech – odparł. – Będzie z tym trzeba zaczekać do końca postu.

– Wobec tego tydzień po Wielkanocy.

Ustaliła datę i była zbyt szczęśliwa, by zauważyć, że wygląda raczej jak człowiek, za którym zatraskują się drzwi, niż taki, co kroczy ku radosnemu wydarzeniu.

– Wyprawimy weselne śniadanie w Royalu. Nie musimy zapraszać dużo ludzi – zaproponowała ostrożnie kilka dni później.

– Nie chcę żadnych przyjęć w hotelach.

– Gdzieś je musimy urządzić – zaprotestowała.

– Czyżbyśmy nie mieli dwóch własnych domów?

– Mojej rodzinie to się nie spodoba. Jak tylko napomknęłam o ślubie po Wielkanocy, zaraz pomyśleli o Royalu.

– Twojej rodziny nie stać na to, żeby szastać pieniędzmi po hotelach.

– Nie mają nic przeciwko temu. To w końcu tylko jeden dzień.

– Nie zgadzam się na żadne hotele. Jesteśmy za starzy i za biedni na takie rzeczy.

– To będzie dziwne. Wszyscy tak robią.

– Nawet jeśli wszyscy idą i skaczą do rzeki, to jeszcze nie powód, żebyśmy też musieli się topić.

– Wiem, że to, co mówisz, ma sens, kochanie. – Położyła dłoń na jego ramieniu. – Ale mojej rodzinie to się nie spodoba. Nie rozumieją tego. Nie moglibyśmy wyprawić śniadania w Royalu ze względu na nich?

– To niech zaczną rozumieć. – Chwycił jej dłoń w geście żartobliwej groźby. – W końcu możemy zaprosić wszystkich chętnych na szynkę, herbatę i whiskey do naszego własnego domu. Przy okazji oszczędzi nam to jeżdżenia tam i z powrotem.

To była mistrzowska zagrywka. Zaszczyc wyprawienia wesela tradycyjnie przypadał rodzinie panny młodej. Nie mogło się odbyć w domu Morana, a Moran nie zgadzał się na hotel. Brady'owie musieli więc urządzić przyjęcie u siebie albo w ogóle z niego zrezygnować.

Rose przekonała ich w końcu, by wyprawili wesele w domu. Nie podobał im się ten pomysł, wysuwali najróżniejsze argumenty – a także argumenty przeciwko samemu małżeństwu – ale nie ustąpiła. W ten sposób będzie można zaprosić mniej osób, a ona nie jest już młoda.

W noc przed ślubem dziewczęta prawie nie zmrużyły oka, nie rozmawiały też, jak to miały w zwyczaju przed zaślęciem. Jutro ojciec się ożeni. Wprowadzi do domu inną kobietę. Nie

miało znaczenia, że to Rose, którą zdążyły polubić. Upływające monotonnie życie, które tak dobrze i od tak dawna znały, miało się nieodwracalnie skończyć: to było jak śmierć albo zranienie i przepelniało je zdumienie, strach i lęk przed zmianą. Życie każdej z nich będzie musiało znaleźć nowy, niepewny początek.

Moran spał niespokojnie obok ich brata. Raz po raz wyciągał rękę i dotykał chłopca, który jednak przez całą noc spał jak kamień. To była jego ostatnia noc w tym pokoju, czekało już na niego wąskie łóżko w pakamerze. Jutro jego miejsce zajmie Rose. Kiedy chłopiec się zbudził, Moran położył dłoń na jego ramieniu i przez szorstką tkaninę koszuli nocnej zaczął delikatnie ugniatać mięśnie.

– Ostatni raz wstajemy rano razem.

– Ostatni raz – powtórzył niepewnie chłopiec.

– Wiesz, co to za dzień?

– Dzień twojego ślubu.

– Koniec jednego życia. Początek innego. Jestem przekonany, że to będzie dla dobra całej rodziny. Możemy się tylko modlić i mieć nadzieję, że wszystko ułoży się jak najlepiej.

Niewczesne próby czułości wprawiały chłopca w jeszcze większe zakłopotanie niż nagłe wybuchy ojcowskiego gniewu. Błyskawicznie

usiadł w pościeli, nadstawiając ucha.

– Wstały – oznajmił. – Są już na nogach. Odsłonić okno, tatusiu?

– Nie. Jeszcze nie teraz – powiedział Moran, ale chłopiec zdążył już oswobodzić się z ugniatającej jego ramię dłoni i w pośpiechu się ubierał. Wyszedł bez słowa, cicho zamykając za sobą drzwi. Moran leżał w pościeli, aż się zrobiło bardzo późno. Jedna z dziewcząt musiała przyjść go zawołać.

– Przygotowałyśmy tatusiowi ubranie. Pora wstawać.

Przyszedł do kuchni w starych spodniach i koszuli nocnej. Dziewczęta były już ubrane na wesele, powkładały pożyczone ozdoby i bały się, żeby tego nie zauważył. Chłopiec miał na sobie granatowy garnitur, błyszczące czarne buty, białą koszulę i niebieski krawat. Jego włosy lśniły od pomady. Woda w czajniku zagotowała się i Maggie napełniła miskę przed lustrem do golenia. Nie zauważył pożyczonych ozdób, rozglądał się dookoła w osłupieniu i konsternacji – to był dzień jego ślubu, moment blasku w jego życiu, a gdyby nie wystrojone dzieci, można by go wziąć za pierwszy lepszy zwykły dzień. Garnitur wisiał na oparciu krzesła przed kominkiem. Stojak do wietrzenia ubrań nie był jeszcze złożony. W misce przed lustrem do

golenia parowała gorąca woda. Czuł, jak narasta w nim, a potem wybucha niemy krzyk rozgoryczenia niedoskonałością życia.

– Która godzina? – spytał ostro.

– Już dziesiąta, tatusiu. Została godzina do mszy.

– Chyba wiem, że od dziesiątej do jedenastej jest godzina.

Tą sarkastyczną uwagą jakby się trochę uspokoił. Zdjął z gwoździa czarny skórzany pasek do ostrzenia brzytwy. Zaśniła przesuwana po skórze stal. Namydlił twarz i rozpoczął golenie. Obserwowały go w wyteżonym napięciu, ale się nie zaciął. Umył się i wytarł ręcznikiem.

– Wasz wuj jeszcze się nie pokazał?

– Nie, nie dał znaku życia.

Kiedy zaczął ubierać się przed kominkiem, starsze dziewczęta odwróciły się w drugą stronę i gdy rozejrzał się za spinką do kołnierzyka, to chłopiec pobiegł mu ją przynieść. Raz Maggie pochwyciła jego obraz w lusterku do golenia, bez spodni, ale w koszuli i skarpetkach, i mimo lęku naszła ją ochota się roześmiać. Mężczyźni bez spodni wyglądają niedorzecznie w skarpetkach. Ubierał się bardzo uważnie. Odmówił kupienia na ślub nowego ubrania, ale brązowy garnitur został wyczyszczony i odprasowany, biała koszula wykrochmalona, a czarne buty lśniły.

Wrócił do lusterka do golenia, żeby przyczesać włosy, a kiedy skończył, z wyrazem zadowolenia na twarzy wsunął do rękawa złożoną chusteczkę do nosa.

– Oczywiście, wasz wuj nie raczył nawet napisać, nie mówiąc już o tym, że przyzwoitość nakazywałaby przyjechać; ale zdążyłem się nauczyć, że od osła można oczekiwać najwyżej, że kopnie. – Ton jego głosu zdradzał narastającą nerwowość. – Nie rozumiem, dlaczego ludzie nie mogą napisać paru słów.

Wszyscy byli już ubrani. Nie mieli nic do roboty poza czekaniem na wuja. Nie widzieli go od miesiący. Moran zdecydował, że pojedą do kościoła dużym starym samochodem jego brata. Napisał do niego i założył, że przyjedzie. Kilka razy wychodził przed drzwi, żeby popatrzeć na drogę. Przełożył chusteczkę z lewego rękawa do prawego.

– Powinienem był wiedzieć, że na nikim nie można polegać.

– Pewnie złapał gumę – podsunął Michael.

– W taki dzień jak dzisiaj mógł wyjechać wcześniej.

– Może tego nie przewidział.

– Co to, to na pewno. Ten człowiek ma głowę tylko po to, żeby rozdzielała uszy. Tak czy inaczej nie możemy czekać dłużej.

Wyszedł, uruchomił małego granatowego forda, wyprowadził go tyłem z szopy i zostawił z pracującym silnikiem.

– Lepiej ruszajmy. Nie możemy dłużej czekać. Boże, o Boże, co za ludzie! – Wcisnęli się wszyscy do wozu. – Można by oczekiwać, że będą mieli trochę względów dla innych, ale gdzie tam, myślą tylko o sobie – narzekał, prowadząc; lecz nim dojechali do mostu, zaskoczył ich, zjeżdżając na pobocze przed zagrodą McCabe'a i oznajmiając, że przejdą przez wieś na piechotę.

– Mamy jeszcze czas. W ten sposób spotkamy cholernego drania po drodze, o ile w ogóle zamierza się pokazać.

Kiedy ruszyli, Michael zachichotał za plecami Morana, ale Maggie spiorunowała go wzrokiem. Dziewczęta umierały ze wstydu. Jak świat światem, nie widziano panny ani pana młodego maszerujących do kościoła na piechotę; nawet najbiedniejsi potrafili na ten dzień zorganizować jakiś samochód, a dawniej jeździło się dwukółką albo w koszu motocykla. Na szczęście most był pusty, tak samo długa droga pod jaworami. Kiedy przeszli przez most, Moran zerknął na zegarek i ku ich niezmiernej uldze przyspieszył kroku. Modlili się, żeby wreszcie zjawiał się wuj i ukrył ich w swoim wielkim samochodzie, ale z kierunku, z którego powinien

nadjechać, nie dochodził żaden warkot. Szli w milczeniu. Od tygodnia nie padało i biały pył przygasił blask ich butów. Pierwszy dom na końcu długiej drogi, obok którego musieli przejść, należał do Reynoldsów. Skulili się za plecami Morana, nim jeszcze dotarli do ligustrowego żywopłotu za niskim murkiem z bielonych kamieni. Pani Reynolds stała w drzwiach, gotowa do wyjścia – nie przepuszczała żadnego ślubu ani pogrzebu – jednak na widok zbliżającej się procesji wycofała się w mrok sieni, by móc wygodnie obserwować starego koguta prowadzącego stadko wystraszonych piskląt.

– Cholerny wariat idzie piechotą na własny ślub, i to razem z dziećmi – powiedziała do siebie bardziej ze współczuciem dla dzieci niż z drwiną.

Każdy krok wydawał im się całym wiekiem, kiedy mijali kuźnię. Tylko chłopiec spojrzął na dwóch mężczyzn, którzy okładali młotami kawał żelaza na wystawionym na podwórze kowadle. Musieli wziąć się w garść, by przejść obok ludzi stojących pod murem kościoła. Żadne z nich nie podniosło oczu. Moran szedł w milczeniu, ze wzrokiem wbitym przed siebie. W ławkach z tyłu kościoła siedziało kilku mieszkańców wsi, którzy z czystej ciekawości przyszli popatrzeć na ślub, ale minęli ich, nie rozglądając się na boki. Po kolei zanurzyli palce w kropielnicy i podeszli do

ołtarza. Kiedy dotarli do swoich miejsc i uklękli obok Morana, ukryci wreszcie przed ostrzałem cudzych oczu, poczuli się, jakby zaczęli wracać do zdrowia po ciężkiej chorobie. Rodzina panny młodej jeszcze nie przybyła. Z zakrystii wyszedł ksiądz ubrany w sutannę i komżę. Moran podszedł, by zamienić z nim kilka słów.

– Drużba nie dotarł. Czy chłopiec może go zastąpić?

Spojrzeli obaj na Michaela.

– Jest trochę za młody – odparł ksiądz. – Możemy poprosić któregoś z braci panny młodej.

Pod bramę kościoła podjechał samochód; albo panna młoda, albo wreszcie ich wuj. Odwrócili się na dźwięk kroków po kamiennych płytach. Gdy tylko drzwi wypełniła przysadzista sylwetka wuja, na ich twarzach pojawił się wyraz ulgi. Wuj przeszedł szybko przez nawę i zamiast przeprosić pokazał swoje dłonie, całe w plamach od ziemi i smaru, do których przywarło kilka źdźbeł trawy.

– Myślałem, że już nie dotrzesz.

– Miałem awarię – wytłumaczył szeptem, opuszczając się na kolana obok Morana i kładąc zatłuszczoną dłoń na włosach jednej z dziewcząt. Ksiądz przy ołtarzu skinął głową i uśmiechnął się do drużby. W końcu rodzina panny młodej usiadła w ławkach po drugiej stronie przejścia i

do kościoła weszła Rose wsparta na ramieniu brata. Nie było muzyki. Ksiądz przywołał Morana. Gestem pokazywał im, kiedy uklęknąć, wstać, usiąść, kiedy wziąć obrączkę, złoto i srebro [W opisywanym okresie mężczyźni zwykle nie nosili obrączki ślubnej, obyczaj nakazywał jednak, by pan młody podarował pannie młodej „złoto i srebro”. Okrągła złota obrączka symbolizowała wieczną miłość, srebrna moneta zaś „wszystkie jego ziemskie dobra”.] i „powtarzajcie za mną te słowa”. Siostrze Rose wyrwał się szloch. Oczy dziewcząt wezbrały łzami. Fotograf robił zdjęcia z kaplicy bocznej. Państwo młodzi wrócili razem do pierwszej ławki, by wysłuchać mszy. Wszyscy obecni, z wyjątkiem drużby, przyjęli komunię świętą. Na dworze, w jasnym świetle pogodnego dnia, młoda para stanęła pod sznurem dzwonnicy i rozsypano małe pudełko konfetti. Wszyscy razem, pojedynczo i grupkami, pozowali jednej z sióstr Rose do fotografii na tle gęstwiny laurów, od której odcinały się nagrobki i ciemna zieleń choinek. Wuj miał starego forda V-8 z ogromnymi skrzydłami i wszyscy czworo bez trudu zmieścili się z tyłu. Państwo młodzi usiedli z przodu.

– Napędziłeś nam stracha – powiedziała radośnie Rose. – Przez kilka minut mieliśmy serce w gardle. Baliśmy się, że nie przyjedziesz. Cudownie, że dotarłeś.

– Złapałem gumę. Kompletny kapeć. –

Jeszcze raz odwrócił na kierownicy powalane smarem dłonie.

– Jak tylko przyjedziemy, dostaniesz gorącej wody do umycia.

– Musiałeś za późno wyjechać – rzekł Moran.

– Człowiek nie myśli, że coś może się stać.

– To prawda, że nikt nigdy nie myśli. Co do tego nie ma dwóch zdań.

– Teraz już wszystko dobrze. Ich wuj jest z nami i to najważniejsze – powiedziała pojednawczo Rose i odwróciła się do tyłu, by pogawędzić z dziewczętami.

Samochód nie mieścił się na wąskiej dróżce, więc resztę drogi przebyli na piechotę. Kwietniowa niedziela była pogodna, choć wyglądało na to, że jest minimalna szansa na deszcz. W niskich krzakach dzikiej róży i żywopłotach śpiewały i ćwierkały ptaszki. Jeziorko poniżej domu otaczał wieniec zimowych trzcin barwy mokrej od deszczu pszenicy. Poczekali z rozpoczęciem jedzenia na księdza. Tylko on zaryzykował podjechać swoim małym samochodem pod sam dom. Powiedział, że wyjdzie wcześniej, bo musi jechać do chorego.

Nie było żadnych listów ani telegramów do odczytania. Ksiądz złożył dłonie, zamknął oczy i zmówił modlitwę, i zasiedli do obiadu: zupy

podanej przez córkę tej samej siostry Rose, która robiła zdjęcia przed kościołem, kurczaka i szynki z sałatą na drugie. Pokrojono weselny tort. Ksiądz wygłosił krótką mowę, chwając obie rodziny i nadzwyczajną prostotę weselnego przyjęcia. W dzisiejszych czasach zbyt wielką wagę przywiązuje się do tego, by się pokazać, do rolls-royce'ów i wielkich hoteli, kosztownej pompy i ostentacji. Przyjemnie jest zobaczyć, jak ludzie powracają do starych obyczajów. Do wznoszenia toastów podano wino, whiskey i piwo. Drużba powiedział, że nie jest nawykły przemawiać, że niewiele brakowało, by w ogóle nie dotarł na ślub, ale że chce podziękować księdzu za wszystko, co zrobił, rodzinie panny młodej za wspaniałą ucztę i cały trud, jaki sobie zadali, i wznosił toast. Brat, który poprowadził Rose do ołtarza, odpowiedział jeszcze bardziej zdawkowo i wkrótce potem ksiądz wyszedł.

Weselny obiad zbliżał się stopniowo do końca. Jeden z wysokich, małomównych braci Rose obszedł stoły z butelką wina i butelką whiskey, ale pito wstrzemięźliwie. Drużba odchrząknął i oznajmił, że musi przed odjazdem załatać oponę, a wtedy wszystkie dzieci Morana wyszły razem z nim na drogę i przyglądały się, jak wyjmuje lewarek, łąty i klej. Kiedy wrócił, nie chciał usiąść ani się napić.

– Powinienem się zbierać. Muszę jeszcze zrobić jeden kurs przed wieczorem.

– Równie dobrze możemy zabrać się z tobą – powiedział Moran i Rose poderwała się z krzesła. Zawczasu spakowała najpotrzebniejsze rzeczy. Pozostałe może zabrać kiedy indziej. Matka, siostry i bracia uścisnęli ją na pożegnanie, ale nie okazała żadnych emocji. Cała rodzina odprowadziła ich do dużego forda zaparkowanego przy końcu dróżki. Jeszcze raz przytulili Rose i wymienili uściski dłoni. Przy moście Moran i Rose przesiedli się do własnego małego granatowego samochodu, a dzieci pojechały z wujem. Zaczekał pod domem na państwa młodych, ale nie dał się namówić na wejście do środka.

Rodzina Rose wracała do domu, pogrążona w milczeniu.

– Miała tylu adoratorów – powiedziała stara matka tonem zdziwienia i żalu. – Tylu adoratorów... Tylu adoratorów...

– Nie można jej było powstrzymać. Uparła się. Teraz to już jej życie – zauważyła cicho zameżna siostra.

– Mam nadzieję, że będzie jej się układać – dodała obojętnie żona jednego z braci.

Czterej wysocy bracia maszerowali w przygarbionym milczeniu, ale ich żony gawędziły

przyjaźnie. Córka ze współczuciem wzięła matkę za rękę.

Kiedy weszli do domu, jeden z braci sięgnął po butelkę whiskey i po raz pierwszy tego dnia nalał cztery solidne porcje. Stanowili zżyłą rodzinę, jednak odtąd żadna uroczystość, ani wesele, ani nawet najzwyczajniejsze spotkanie, nie odbyło się w domu prywatnym. Będą je urządzać w wielkich hotelach, jakby chcieli póki życia starczy za wszelką cenę uniknąć powtórki z tamtego doświadczenia. Ani Rose, ani Moran nie brali udziału w tych spotkaniach. Nie zapraszano ich. Zresztą i tak by nie przyjechali.

– Nie wiem jak wy, ale marzę o filiżance dobrej, gorącej herbaty – oznajmiła Rose, jak tylko weszli do domu.

Od pierwszej chwili narzuciła ton, z którego później niełatwo rezygnowała. Moran przyglądał się w milczeniu.

Dziewczęta pomagały rozpalić ogień, rozłożyć obrus, ustawić filiżanki i talerze, pokazywały jej, przy akompaniamencie śmiechów i szeptów, szczególne miejsca i sekrety kuchni, która teraz była jej kuchnią. W ich szaleńczej krzątaninie była nutka hysterii. Przesada, z jaką wykonywały codzienne czynności, zdradzała, że bardziej zajmuje je

Moran niż to, co robią. Od czasu do czasu wywoływały kryzys nieumyślnym upuszczeniem talerza albo stłuczeniem filizanki. Gdy dziewczęta pokazywały jej dom, Rose stopniowo przenikała do świadomości Morana, siedzącego w samochodowym fotelu i w zamyśleniu kręcącego młynka kciukami, aż w końcu zapadła w nią całkowicie. W dniu swojego ślubu wydawał się dziwnie spokojny. Jakby znalezienie się w centrum właśnie tego rodzaju uwagi pozwoliło mu wreszcie samemu się wyciszyć.

Przez cały dzień odczuwał intensywne niezadowolenie, że oto przed jego oczami dzieje się jego życie, a nic się właściwie nie dzieje. Marsz drogą. Wypowiedzenie pewnych słów. Wymiana obrączek. Przejazd z kościoła do domu. To wszystko wydawało mu się jakąś farsą. Jakby nic się w ogóle nie wydarzyło. Był zmęczony walką z frustracją i rozmyślaniami o niej, chwilami patrzył na plecy panny młodej z gwałtownym zdumieniem; ale teraz, otoczony tą tajoną uwagą, mógł wreszcie odpuścić: z przyjemnością napije się herbaty, jak wielki pan, ze swoją rodziną.

Czy dosyć mleka, a może trochę za dużo? Jak trochę upije, mogą mu dolać więcej herbaty. Przestał słodzić. Będzie jadł sam chleb czy z dżemem porzeczkowym? A może kawałek

szarlotki?

– Wystarczy herbata – zaprotestował, ale widziały, że nie jest bynajmniej niezadowolony.

– Niczego mi więcej nie trzeba. Tego, co dzisiaj zjadłem, mogłoby starczyć na tydzień. Pęknię, jeśli coś jeszcze włożę do ust.

Rose i dziewczęta uśmiechały się, podsuwając mu talerze. Zdążyły już zawiązać spisek. Były ujarzmione, ale wespół kontrolowały siłę, która je ujarzmiła.

– Dziękuję – odstawił filiżankę. – Pójdę na pole, może wypocę to, co zjadłem.

Przebrał się w stare ubranie i wyszedł. Umyły i wytarły filiżanki i talerze, odstawiły je na miejsce. Szaleńczą krzątanicę przy przygotowywaniu herbaty zastąpił niemal apatyczny spokój, ale czuły się dobrze w swoim towarzystwie, czerpały zwierzęcą pociechę z bycia razem, cieszyły się z wypędzenia samotności.

Na dworze Moran wyciął kilka niedużych jesionów z żywopłotu otaczającego sad. Lubił urządzenia mechaniczne i z zadowoleniem stwierdził, że piła łańcuchowa, którą w przeszłości kilkakrotnie musiał rozkładać na części, działa bez zarzutu. Widocznie potrzebowała wyregulowania, pomyślał. Ścinanie drzewek, obcinanie gałęzi i porznięcie pni na

równe kawałki absorbowało całą jego uwagę, operowanie niebezpiecznym narzędziem wymagało pełnego skupienia. Michael wyszedł z ojcem. Pomógł ściągnąć w jedno miejsce gałęzie do spalania, a potem pozbierali rozrzucone obałki.

Dziewczęta oprowadziły Rose po całym domu. Potem opowiedziała im trochę o swoim życiu w Szkocji, a zwłaszcza o mieszkaniu z Rosenbloomami.

– Czasem w weekend pan Rosenbloom prosił mnie, żebym poprasowała jego koszule. Miał setki koszul i nie pojmuję, dlaczego chciał, żebym to właśnie ja mu je prasowała. Pani Rosenbloom zazwyczaj dowiadywała się o tym i wściekała się, że odciąga mnie od dzieci. Przez całe rano dom trząsł się w posadach. Po obiedzie pan szedł do miasta i wracał z naręczem róż, które kosztowały więcej niż tuzin koszul.

– I to jej wystarczało? – pytały zachłannie dziewczęta.

– Dąsała się jeszcze przez jakiś czas, ale w końcu się godzili. Przysięgał oczywiście, że nigdy więcej nie odciągnie mnie od moich właściwych obowiązków. Potem przycinała łodygi róż i układała je w wazonie. Ubierali się i szli na kolację do restauracji, śmiejąc się i rozmawiając, jakby nic się nie stało.

– O czym rozmawiali, Rose?

– O tym, co będą jedli i jakie wina zamówią w restauracji. Aż dziw, że w ogóle mogli jeść po tym całym gadaniu o jedzeniu.

Moran wrócił z Michaeliem z dworu w wyśmienitym humorze.

– Ten tutaj i ja powaliliśmy we dwóch całkiem sporo drzew.

Nawet kapelusz powiesił serdecznym gestem, jakby chciał objąć całą kuchnię. Dziewczęta wiedziały, jak szybko może ulec zmianie ten nastrój, jeśli ojciec nie wejdzie w niego do końca.

– Mógłbym pożreć niemowlę – zażartował, kiedy nakrywały do stołu.

– Daj spokój, Michaelu – zbeształa go łagodnie Rose.

– Dobrze, dam, ale tak jest. – Powiedziane to zostało tak wesoło, że wszyscy się roześmieli.

Po herbacie wziął z parapetu talię kart i tasując ją, zaproponował grę. Zagrali w oczko; wyniki zapisywali na wewnętrznej stronie torebki po herbacie Lyons Green Label. Moran grał najlepiej z nich wszystkich i na ogół wygrywał, ale tego dnia tłumaczył swoje wygrane tym, że dobrze idzie mu karta. Uklękli, by zmówić różaniec. Morgan zaczął: „Panie, otworzysz wargi moje”, jak zawsze. Po Pierwszej

Tajemnicy zrobił pauzę. Wszyscy patrzyli na Rose, a jej wystarczyło jedno spojrzenie na Morana, by podjąć Drugą Tajemnicę, jakby robiła to co wieczór przez całe ich życie.

Po modlitwie wszyscy pocałowali na dobranoc Morana i Rose, która też ich serdecznie ucałowała, i wymknęli się do swoich pokoi. Chłopiec odszedł do pakamery, wyraźnie podekscytowany, że wreszcie ma własny pokój. On też pocałował Rose. Moran i Rose zostali sami. Nie siedzieli przez cały czas w milczeniu, ale mało się odzywali, a to, co mówili, nie dochodziło na górę. W końcu udali się sypialni. Dziewczęta nasłuchiwały, wstrzymując oddech. Były zbyt zdenerwowane i za bardzo bały się życia, by ubrać w słowa dźwięki dochodzące z pokoju, w którym ich ojciec spał z Rose.

Nazajutrz rano Rose wstała o siódmej, godzinę przed wszystkimi. Kiedy dziewczęta zeszły na dół, w kuchni było ciepło, płonął ogień, woda kipiała w czajniku. Rose zamierzała właśnie zanieść Moranowi kubek herbaty.

– Tatuś nie chce słyszeć o śniadaniu do łóżka – powiedziała z ujmującym uśmiechem. – Ale niech się chociaż napije herbaty, zanim wstanie.

Za sprawą jej obecności dom przeszedł wielką zmianę. Od śmierci matki prowadziła go Maggie, czasem pomagały jej Mona i Sheila. Z

początku przychodziła siostra ich matki, ale pomiędzy Moranem i nią wybuchały ustawiczne kłótnie. Jeśli chodzi o jedzenie, interesowało go tylko, żeby było tanie i niesurowe. Nikt nie uczył dziewcząt gotowania ani prowadzenia domu. Umiały przygotować proste dania z warzyw i mięsa, radziły sobie z jajkami, bekonem i owsianką, z pieczeniem i sprzątaniem, ucząc się wszystkiego z marszu. Więcej nie potrzebowały umieć.

Rose wszystko zmieniała. Potrafiła tak zorganizować sobie dzień, że choć sprawiała wrażenie mniej zagonionej niż Maggie, posiłki zawsze były pyszne i na czas. Zaczęła sprzątać i malować dom, pokój po pokoju. Moran narzekał, że to niepotrzebne zawracanie głowy, ale w istocie martwiły go koszty. Zwróciła mu uwagę, że bez farby wkrótce zaczną odpadać tynki. Kiedy Moran narzekał, że drogo, płaciła za potrzebne materiały z własnej kieszeni. To jeszcze bardziej mu się nie podobało. W końcu zawsze dawał jej to, o co prosiła, robił to jednak z najgłębszą niechęcią. Rose nie żywiła urazy i była ostrożna aż do przesady. „Znacie tatusia”, tłumaczyła dziewczętom ze śmiechem, trochę jakby się usprawiedliwiała. Dzieci zgodnie pomagały jej w pracach remontowych. Kiedy skończyli, dom nabrał przytulności i uroku,

jakiego nie miał nigdy dotąd. Nawet Moran musiał to przyznać, choć jednocześnie zbył to słowami, że dla niego mogło zostać, jak było.

Jednocześnie stało się jasne, że Maggie przestała być niezbędna w domu. Rose bardzo delikatnie poruszyła ten temat w rozmowie z Moranem.

– Dopóki chodzę po ziemi, będzie tu miała dach nad głową – odparł napastliwie.

– Będzie go miała, dopóki żyję, ale uważam, że powinna mieć więcej.

– Czego jeszcze jej trzeba?

– Ma już prawie dziewiętnaście lat. Minęły czasy, kiedy dziewczyna siedziała w domu, czekając, aż komuś przyda się żona. Powinna mieć zabezpieczenie w postaci pracy.

– Jaką przyzwoitą pracę może tu znaleźć? Przestała chodzić do szkoły, jak miała czternaście lat. Zresztą i tak nie najlepiej jej szło.

– W Anglii brakuje pielęgniarek. Zawsze żałowałam, że się nie wyuczyłam na pielęgniarkę. Rozmawiałam z Maggie i wiem, że by chciała.

– Widzę, że nie tracisz czasu, kobieto. Wielu naszych zeszło w Anglii na manowce.

– Ja też byłam przez jakiś czas w Anglii – powiedziała znacząco, ale bała się nacisnąć za mocno. Wiedziała od dziewcząt, że Luke próbował nakłonić Maggie, by wbrew woli ojca

wyjechała do Anglii uczyć się na pielęgniarkę, o kłótni ich starszego brata z Moranem i o tym, że kiedy Maggie uległa Moranowi i została w domu, Luke wyjechał bez słowa pożegnania.

Zaczekała, aż Moran sam do tego wróci. Sheila i Mona chodziły do szkoły średniej prowadzonej przez zakonnice, Michael kończył państwową szkołę podstawową. Maggie zostało tak niewiele do roboty, że większość czasu mijala jej na pogawędkach z Rose. Kiedy nadchodził Moran, udawała, że jest czymś zajęta, bo „tatuś nie cierpi, jak ktoś siedzi beczynnienie”. „Biedny tatuś”, Rose uśmiechała się czule, gdy znów zostawały same.

Do Morana zaczęło docierać, że Maggie nie ma co robić w domu i że potrzebuje pieniędzy na tańce i ubrania. Podejrzewał, że Rose daje jej pieniądze z własnej kieszeni.

– Nadal uważasz, że Maggie powinna wyjechać do Anglii i uczyć się na pielęgniarkę? – zapytał jakiś czas później.

– Tak. Będzie miała zabezpieczenie. To zawsze jakiś zawód.

– Sam nie wiem. Byłem przeciwny, kiedy namawiał ją do tego jej brat. Oczywiście, wcale go nie interesowało, czy to jest dla niej dobre, chciał tylko zrobić mi na złość.

– Ani mi w głowie robić ci na złość, wiesz o

tym. Chcę tylko jej dobra. Dopóki żyję, to zawsze będzie jej dom.

Ponieważ brakowało pielęgniarek, w gazetach pojawiały się liczne ogłoszenia. Rose pomogła Maggie napisać prośbę o formularze, a potem, kiedy nadeszły, wypełnić je. Ku zaskoczeniu Morana, pięć szpitali przyjęło ją na staż. Wieczorem, po odmówieniu różańca, usiedli wszyscy, by wspólnie wybrać szpital, do którego pojedzie. Wybrali London Hospital, ponieważ pracowało tam już parę osób z okolicy. Kiedy zapadła decyzja, Michael rozplakał się i nie można go było uspokoić.

– Niedługo wszystkie wyjadą – odpowiedział na ich żartobliwe podpytywanie. – To niesprawiedliwe.

Kiedy Rose zaproponowała, żeby napisać do Luke'a i poprosić go, by wyszedł po Maggie na dworzec, Moran wpadł w szal.

– Czy szpital nie powiedział przypadkiem, że się tym zajmie?

– Jest jej bratem. To naturalne, żeby po nią wyszedł.

– Jaśniepan nie ma w sobie jednej naturalnej kosteczki. Napisałem do niego kilka razy i jedyne, co mi odpisał, to mam-się-dobrze-czego-i-wam-życzę. Czy to naturalne po tych wszystkich latach, przez które dbałem o jego

wychowanie?

– Takie rzeczy zdarzają się w każdej rodzinie, ale zawsze w końcu się o nich zapomina – powiedziała spokojnie Rose. – Ktoś ma wypadek albo się żeni i dawne żale idą w niepamięć. Ludzie znowu są razem. Wiem, jak się czujesz, tatusiu, ale może lepiej nie zajmować nazbyt twardego stanowiska. Zawsze prędzej czy później następuje zmiana, choć trudno z góry przewidzieć, w jakim kierunku. Jeśli okażesz wspaniałomyślność, nikt nie zrobi ci z tego zarzutu.

– Owszem, zrobi. Masz to jak w banku. W tym przypadku to zawsze moja wina.

– Wiem, że to trudne, ale lepiej ignorować to, co przeciw tobie mówią. Jeśli ci się uda, będziesz wiedział, że nie masz sobie nic do zarzucenia. Nie działaj pochopnie.

– Co chcesz, żebym zrobił?

– Moim zdaniem najlepiej będzie, jak to ty do niego napiszesz – zasugerowała Rose.

– Najpewniej znowu dostanę kopa w tyłek, ale niech ci będzie. Napiszę do niego.

Ułożenie listu zajęło Moranowi dużo czasu. Nie zdołał powstrzymać się od wyrzutów. W odpowiedzi Luke przysłał telegram. Telegramy przychodziły rzadko i nikt ich nie lubił. Mała zielona koperta z harfą [Złota harfa o srebrnych strunach na

błękitnym polu jest godłem Irlandii.] najczęściej oznaczała czyjaś śmierć. Nerwowość Morana, zazwyczaj maskowana umyślną powolnością ruchów, tym razem była widoczna jak na dłoni, gdy rozglądając się na boki jak zwierzę na nie swoim terenie, rozdzierał kopertę. Kiedy przeczytał: z radością wyjdę po maggie stop całuję stop luke, niewiele brakowało, by stracił panowanie nad sobą. Z trudem udało mu się powstrzymać wybuch furii do odejścia listonosza. Zapłacił mu i odprowadził do samej furtki.

– Może wysłał telegram, a list przyjdzie za kilka dni – próbowała ratować sytuację Maggie.

– Nie będzie żadnego listu. Zrobiłem z siebie cholernego durnia.

– Nie rozumiem, jak możesz tak mówić, tatusiu. Zrobiłeś to, co należało – powiedziała Rose.

– Dlaczego, u Boga Ojca, musisz koniecznie popisywać się swoją głupotą?! – napadł na nią. – Nie masz bladego pojęcia, o co tu chodzi, kobieto!

Grzeczny na pozór ton telegramu oraz pominięcie milczeniem agresywnych uwag zawartych w jego własnym liście doprowadziły Morana do furii. Przeczytawszy telegram na głos, zgniótł go w kulkę i wrzucił do ognia, jakby sam

widok tej kartki papieru był mu nienawistny.

– No cóż, w każdym razie ktoś będzie na ciebie czekał na dworcu Euston – powiedziała Rose do Maggie, która i tak już o tym wiedziała.

– Jasne, że będzie na nią czekał. Będzie na nią czekał, żeby nastawić przeciwko mnie! – ryknął Moran.

– Odpowiedział grzecznie – zauważyła Rose.

– Co ty o tym wiesz? Co ty w ogóle wiesz?

Zgarnął z kredensu kapelusz, wcisnął go na głowę i wyszedł, mało co nie wyłamując drzwi. Po chwili usłyszeli gwałtowne, szybkie uderzenia siekiery rozłupującej drewno na szczapy.

Była wstrząśnięta. Nikt nigdy tak się do niej nie odezwał. W ciszy, która zapadła po jego wyjściu, rozejrzała się, szukając wsparcia. Byli tu wszyscy, kiedy Moran czytał telegram. Oczekiwała, że nedorzecznie gwałtowna reakcja Morana wywoła ich śmiech, który przywróci błogosławioną normalność, ale w kuchni nie było nikogo prócz Maggie. Pozostali wymknęli się jak duchy. Maggie stała przy kredensie i wciskała porzeczkę w bryłę surowego ciasta w szklanej misce, jakby od tego zależało jej życie.

– Gdzie się nagle wszyscy podziali, Maggie?

– Pewnie wyszli. – Maggie podniosła oczy znad ciasta i spojrzała na nią w napięciu.

– Myślałam, że będą się śmiali z biednego

tatusia. – Jej własny szok i strach znalazły ujście w nerwowym śmiechu, ale twarz Maggie pozostała blada i poważna. – Nie wiem, co w niego wstąpiło – powiedziała Rose.

– Czasem taki się robi.

– Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie.

– Bo od dłuższego czasu taki nie był.

– A przedtem często taki bywał?

– Wcześniej tak, ale od dłuższego czasu już nie – przyznała niechętnie Maggie.

Rose nie chciała nic więcej słyszeć. I tak usłyszała już za wiele. W ciszy słychać było głucho uderzenia młota o kamienie na jednym z bliższych pól. Porzucił już rąbanie drewna.

Rozmawiając z dziewczętami, kilka razy zauważyła, że drętwieją i milkną, kiedy wchodzi Moran; gdy spożywał samotnie posiłek albo przy złej pogodzie pracował w domu – ustawiając zęby piły czy dorabiając nowe stylisko do łopaty – starały się schodzić mu z drogi. Jeśli musiały zostać w kuchni, krążyły po niej jak cienie. Tylko przerażone spojrzenia rzucane w stronę Morana, kiedy coś upuściły albo czymś stuknęły, zdradzały, ile wysiłku i napięcia kosztowało je bezszelestne prześlizgiwanie się wokół niego. Rose zauważyła to i uznała za dowód szacunku dla człowieka, którego sama pokochała, i bardzo

nie chciała zmieniać teraz zdania. Wybrała Morana i wyszła za niego na przekór konwenansom i rodzinie. Chodziło o całą jej miłość własną. Postanowiła więc zignorować brutalność, z jaką ją potraktował, przełknąć urazę i biorąc przykład z dziewcząt, nie prowokować jego gniewu.

Wrócił późno, czujny i ostrożny. Wesole powitanie Rose przyjął z głęboką rezerwą. Nie była na to przygotowana i jej nerwowość się wzmogła. Zakrzętnęła się, żeby zaparzyć mu herbaty. Sheila i Mona odrabiały lekcje przy małych stolikach; Michael klęczał przed fotelem z książką pomiędzy łokciami, jakby się modlił; czasem zdarzało mu się uczyć w takiej pozycji. Kiedy Moran wszedł, skierowali na niego poważne spojrzenia, od razu jednak wyczuli jego nastrój i czym prędzej wlepili wzrok w książki.

- Gdzie Maggie? – zapytał.
- Poszła odwiedzić jakichś przyjaciół we wsi.
- Ostatnio ciągle się włóczy.
- Żegna się z ludźmi przed wyjazdem.
- Ani chybi będą za nią tęsknić – powiedział cierpko.

Rose nalala mu herbaty. Obrus na stole nie miał ani jednej plamki. Podczas gdy Moran jadł i pił, mówiła do niego bez przerwy, zalewała go potokiem bezładnych myśli, zwykłych wydarzeń

dnia. Robiła to ze zdenerwowania oraz z natłoku uczuć: strachu, niepewności, miłości. Instykt jej podpowiadał, że powinna zamilknąć, nie mogła się jednak powstrzymać. Kilka razy okazał zniecierpliwienie szorstkim gestem, ale nie potrafiła przestać. Wreszcie obrócił krzesło w przystępie nienawiści. Dzieci nasłuchiwały czujnie ze wzrokiem wbitym w podręczniki.

– Czy ty w ogóle siebie słyszysz Rose? – zapytał. – Gdybyś słyszała, co mówisz, pewnie byś tyle nie gadała.

Wyglądała, jakby ktoś ją bez ostrzeżenia uderzył, jednak nie wybiegła ani nie wybuchła płaczem. Stała bez ruchu przez dłuższą chwilę, która zdawała im się wiecznością. Potem apatycznie, jakby była własnym odbiciem uwiecznionym w zmatowiałym lustrze, dokończyła wykonywane czynności i nie mówiąc ani słowa zamarym w oczekiwaniu dzieciom, wyszła z kuchni.

– Dokąd to, Rose? – spytał tonem, który jej powiedział, że wie, że przebrał miarę, ale się nie zatrzymała.

Irytowało go bezsilne siedzenie w milczeniu; a jeszcze bardziej, że to widzą. Choć dawno już przestali się uczyć, nie podnosili oczu znad książek, nie chcąc spotkać jego wzroku, bojąc się nawet głośno oddychać. Zawsze uginali się przed

przemocą.

Siedział tak przez długi czas. W końcu, nie mogąc już dłużej wytrzymać ciszy, poderwał się energicznie i przeszedł do drugiego pokoju. Wyraźnie dobiegły ich jego słowa, choć zamknął za sobą drzwi.

– Przepraszam, Rose. Przepraszam – był zmuszony powtórzyć. – Poniosło mnie.

Kiedy już wydawało im się, że cisza będzie trwać wiecznie, usłyszeli:

– Chcę być sama. – Słowa czyste jak pojedyncze uderzenie dzwonu, bez cienia apodyktyczności. Nie wyszedł od razu, został jeszcze chwilę, ale w końcu zrozumiał, że musi się wycofać.

Wrócił do kuchni i usiadł obok resztek swojego posiłku, pomiędzy trojgiem dzieci, nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą zrobić. W końcu wziął ołówek i kartkę papieru i zaczął podliczać posiadane aktualnie pieniądze z jednej strony, a wydatki z drugiej. Spędził nad tymi rachunkami dużo czasu, widać było, że go uspokajają.

– Równie dobrze możemy już teraz zmówić różaniec – oznajmił, odkładając ołówek. Wziął do ręki różaniec, zastukały głośno puszczone luźno paciorki.

Odłożyli zadania i wyjęli swoje różańce.

– Zostaw otwarte drzwi, na wypadek gdyby

Rose chciała posłuchać – polecił chłopcu.

Michael otworzył na oścież jedne i drugie drzwi.

Zawahał się chwilę na progu sypialni, ale niewyraźny kształt w pościeli nie odezwał się ani nie poruszył.

Doszedłszy do Drugiej Tajemnicy Chwalebnej, Moran umilkł. Czasami, gdy w domu panowała choroba, chory włączał się w modlitwę przez otwarte drzwi, gdy jednak ciszy nie przerwał żaden dźwięk, Moran skinął głową i Mona podjęła dziesiątek Rose. Po modlitwie Mona i Sheila zaparzyły herbatę i wcześniej wymknęli się do łóżek.

Moran został sam. Był tak pochłonięty własnymi myślami, że kiedy tuż po północy skrzypnęły tylne drzwi, drgnął zaskoczony. Jeszcze bardziej zaskoczona była Maggie, widząc ojca siedzącego samotnie w kuchni; ogarnęło ją także uczucie bezbrzeżnej ulgi, że nie pozwoliła chłopcu, który odprowadził ją do domu, wejść za bramę.

– Późno wróciłaś – powiedział Moran.

– Koncert skończył się dopiero po jedenastej.

– Zmówiłaś po drodze modlitwę?

– Nie, tatusiu. Zmówię, jak tylko wejdę na górę.

– Uważaj, żeby nie obudzić hałasty, która rano idzie do szkoły.

– Będę uważała. Dobranoc, tatusiu. – Jak co wieczór, podeszła i pocałowała go w usta.

Siedział samotnie tak długo, aż wszelki niepokój rozplątał się w rozkoszach egocentryzmu. Wygasł ogień w kominku. Moran czuł się zeszywniały, kiedy wstał z krzesła, zgasił światło, przeszedł po omacku przez wciąż niezamknięte drzwi i położył się do łóżka, rzucając ubranie na podłogę. Energicznie odwrócił się do Rose plecami.

Nazajutrz Rose wstała jeszcze wcześniej niż zwykle. Zazwyczaj z przyjemnością wykonywała poranne prace, jednak tamtego poranka szczególnie cieszyła ją niezmienna regularność drobnych, wymagających koncentracji zajęć: rozniecania ognia, wymiatania popiołu i wysypywania go na trawę za domem, dokładania drew. W pokoju zapanowało przyjemne ciepło. Nakryła do stołu i zaczęła szykować śniadanie. Przyszło troje najmłodszych. Z początku starali się nie wchodzić Rose w drogę, ale udało jej się zmobilizować wystarczająco dużo energii, by ukryć jej brak, i nim wyszli do szkoły, ich niepokój minął bez śladu. Moran, kiedy wreszcie się zjawił, nie odezwał się do niej ani słowem; zamiast tego zrobił mnóstwo zamieszania wokół

wkładania skarpet i butów. Nie pomogła mu.

– Myślę, że powinienem przeprosić – powiedział wreszcie.

– To, co powiedziałaś, było bardzo okrutne.

– Zdenerwował mnie telegram od synalka. Jakbym w ogóle nie istniał.

– Wiem, ale to, co powiedziałaś, było bardzo okrutne.

– W takim razie przepraszam.

To było wszystko, czego wymagała, rozpogodziła się więc w jednej chwili.

– Już dobrze, Michaelu. Wiem, że nie jest ci łatwo. – Patrzyła na niego z miłością. Chociaż byli sami, nie objęli się ani nie pocałowali. To należało do ciemności i do nocy.

– Wiesz, co sobie myślę, Rose? Za bardzo się tu czasem zamykamy. Czemu nie mielibyśmy wyskoczyć sobie gdzieś na jeden dzień?

– Dokąd możemy pojechać?

– Gdziekolwiek zechcemy. To właśnie jest wspaniałe w tym, że się ma samochód. Wystarczy wyprowadzić go z szopy i możemy ruszać w drogę.

– Myślisz, że możesz wyrwać się na jeden dzień? – Nadal była bardzo ostrożna.

– Byłoby z nami bardzo źle, gdybyśmy nie mogli wyrwać się na jeden dzień – powiedział ze śmiechem. Czuł się teraz szczęśliwy, uspokojony,

zadowolony z siebie, skłonny do pobłażania.

Wycofał forda z szopy i ustawił przodem do drogi. Maggie już wstała i właśnie jadła śniadanie, kiedy wszedł do środka.

– Potrzebujesz czegoś, tatusiu?

– Mam wszystko, o czym mógłbym zamarzyć, Bogu niech będą dzięki. – Ulżyło jej, kiedy usłyszała ton jego głosu. – Będziesz miała dzisiaj cały dom dla siebie. Rose i ja wypuszczamy się na wycieczkę.

– Jak sądzisz, kiedy wrócicie, tatusiu?

Rose przygotowała brązowy garnitur, krawat i skarpetki. Zaczął się ubierać.

– Wrócimy, kiedy będziemy z powrotem. W każdym razie na pewno przed wieczorem – powiedział, wtykając koszulę w spodnie i podciągając je do góry wokół bioder.

– Wszyscy czekają na mnie – denerwowała się Rose. W garsonce z tweedu i białej bluzce wyglądała dobrze, a nawet w dyskretny sposób szykownie. – Tatuś wygląda cudownie. Mam nadzieję, że nie przyniosę mu wstydu. – Zaśmiała się nerwowo. Jej gesty i wyraz twarzy mówiły jednoznacznie, że chce się podobać.

– Wyglądasz ślicznie, Rose. Jak dama – powiedziała Maggie.

– Wezmą mnie za czofera. – Moran roześmiał się, z lubością przekręcając słowo, ale

nie poprawiły go, jak na to liczył.

– Nie ma obawy – powiedziała z uczuciem Rose.

Wyruszyli w drogę małym samochodem, szczęśliwa para udająca się na całodniową wycieczkę tylko we dwoje. Dziewczęce uśmiechy Rose i machanie ręką na pożegnanie wzmacniały jedynie ten obraz. Maggie zaczęła, aż samochód wyjedzie ostrożnie na główną drogę, a potem wróciła, zamykając za sobą bramę pod wielkim cisem.

Moran prowadził z determinacją. W Boyle przeprawili się przez płytką rwącą rzekę, minęli szare mury pozbawionego dachu klasztoru i wjechali na główną drogę wiodącą przez góry Curlew. Rose nie pytała, dokąd jadą; zresztą było jej wszystko jedno – wystarczyło, że jest razem z nim w ciągu dnia.

– O’Neill i O’Donnell przeprawili się tu raz w nocy z końmi i armatą, którą wieźli do Kinsale – powiedział jej, kiedy piał się po zboczach niskich gór. – Udało im się, bo przymrozek ściał ziemię na kamień.

Po tych słowach wyraźnie się odprężył, przestał skupiać całą uwagę na pustej drodze.

– Przypuszczam, że kiedy się ukrywałeś, twoje noce wyglądały podobnie – zaryzykowała uwagę na temat, którego nigdy nie poruszali.

– Nie. Zupełnie inaczej. – Choć nie powiedział tego nieuprzejmym tonem, było jasne, że nie chce rozmawiać o tamtych nocach. – Chcesz pojechać do Strandhill? Kiedy dzieci były małe, jeździliśmy tam co roku.

– Cudownie byłoby zobaczyć ocean. – Było jej wszystko jedno, dokąd pojedzie i co zobaczy, dopóki jest zadowolony, a ona jest z nim. Obecnie większość jej radości i wszystkie cierpienia przepływały przez niego. W jego obecności ogarniało ją dziwne podniecenie, jakby coś miało się wydarzyć. Nic nie było dane raz na zawsze. Odczuwała niezmierną wdzięczność, kiedy zachowywał się normalnie.

– Tu morze jest spokojne. – Pokazał jej odnogę zatoki Ballysadare, widoczną z wąskiej krętej drogi do Strandhill. – Przychodziliśmy tu się kąpać. Tu jest bezpieczniej i mniej ludzi niż na plaży. Morze bywa groźne. Nie było lata, żeby nie utopiły się trzy albo cztery osoby.

– To bardzo ładnie z twojej strony, że zabierałeś dzieci nad morze. Mało komu, z wyjątkiem nauczycieli, przyszedłby do głowy taki pomysł.

– Zawsze starałem się robić to, co najlepsze albo co wydawało mi się najlepsze. Czasami niełatwo to rozróżnić. Myślisz, że masz słuszność, i właśnie wtedy najczęściej obrywasz.

Pod koniec Luke nie chciał już jeździć nad morze.

– Wszyscy dorastający chłopcy są tacy – powiedziała.

– Musieliśmy przestać sprzedawać torf.

– Jaki torf? – spytała.

– Przywoziliśmy ze sobą ciężarówkę torfu, żebyśmy mieli czym palić, a resztę sprzedawaliśmy w workach po domach. – Pokazał jej wyłożoną drobnymi kamieniami ulicę przed Park's Guest House, gdzie zatrzymali się za pierwszym razem, i parterowy domek pomiędzy kościołem a polem golfowym, który wynajmowali później. – Sprzedawaliśmy torf prosto z ulicy. Zwróciły nam się wakacje. Szedł jak gorące bułeczki. Całe lato padało. Każdy chciał mieć ogień w kominku. Starczyło na wakacje i jeszcze nam zostało.

Tylko dwa inne samochody parkowały przy plaży. Stanęli obok cokołu, na którym stało zabytkowe działo z wycelowaną w morze lufą. Długo siedzieli w milczeniu, patrząc, jak fale Atlantyku rozbijają się z hukiem o pusty brzeg.

– Od trzech lat nie byliśmy nad morzem. Na tym chyba właśnie polega starzenie się. Nagle się orientujesz, że nie robisz już całej masy rzeczy, które dawniej wydawały ci się oczywiste.

– Nie jesteś jeszcze stary – zaprotestowała

Rose.

– Mam duży przebieg. I nie da się przekręcić licznika.

– Nie byłam pewna, co chcesz robić – powiedziała z najwyższą ostrożnością – więc na wszelki wypadek wzięłam butelkę herbaty i kanapki.

– Świetnie. – Bał się, że trzeba będzie poszukać miejsca na obiad. Nie znał już żadnych tanich lokali w Strandhill i musiałby zaryzykować w ciemno. – Potem możemy gdzieś pójść – dodał, żeby nie wyjść na skąpca.

Rose otworzyła butelkę i rozłożyła na desce rozdzielczej kanapki. „Pobłogosław, Panie, Twe hojne dary...”. Jadł i pił ze smakiem. Pokazał kuter rybacki, który wypłynął z portu w Sligo, zauważył, że w Rosses Point po drugiej stronie zatoki kąpiel jest bezpieczna, podczas gdy tutaj ledwo można ustać w wodzie, bo prąd wyciąga ci piasek spod stóp.

– Tylko że tam jest nudno, Rose. Nawet w czasie sztormu fale są płaskie. Za to tutaj naprawdę czuje się ocean. Zawsze to mówiłem moim hufcom.

– Tu jest cudownie – powiedziała.

– Czuję się jak nowo narodzony – oznajmił, kiedy schowała butelkę i zgarnęła w dłoń okruszki z deski rozdzielczej. Razem zmówili

„Dziękujemy Ci, Panie, za Twe hojne dary, które otrzymaliśmy przez Chrystusa, Pana Naszego, który żyje i panuje”.

W radosnym nastroju wysiedli z samochodu w pełnię dnia i zeszli po skałach na plażę, aż do linii wody. Przeszli milę wzdłuż brzegu. Rose zbierała muszelki i okrągłe kamyki, Moran włożył do kieszeni kilka strzępków czerwonych wodorostów. Zawrócili, zanim dotarli do pozbawionego dachu kościoła na starym cmentarzu położonym na wchodzącym w morze cyplu.

– Miejscowi nadal chowają tu swoich zmarłych – powiedział.

Wrócili ścieżką przeciskającą się pomiędzy wydiami. Po listkach wczesnej koniczyny pełzały pierwsze pszczoły.

– Za miesiąc będzie tu pełno namiotów i przyczep kempingowych.

– Przyjemniej się tu idzie niż po plaży. Darń jest taka sprężysta.

– Tyle że trzeba uważać na królicze nory. Można skrócić nogę jak ta lala.

– Czy to nie prawdziwe szczęście, że się poznaliśmy i że mamy ten dzień, morze i niebo tylko dla siebie? – powiedziała z zapalem Rose.

– To nasze życie – odparł szorstko.

Zerknęła na niego z ukosa. Był mniej

przewidywalny niż przyływ. Wkrótce będzie potrzebował wyładować narastającą w nim złość, a ona była najbliżej. Jej życie było nierozdzielnie związane z tym człowiekiem, którego darzyła wielką miłością i którego ciemne strony napawały ją lękiem. Powinni wrócić do domu, zanim ten piękny dzień legnie w gruzach.

– Może pójdziemy do jakiegoś hotelu na herbatę i lody? – spytał z niepokojem, być może wyczuwając jej odwrót.

Jakby dla podkreślenia, że nie są sami, spomiędzy wydm wyszedł mężczyzna z białym terierem. Niósł jasną kość, którą rzucał psu do aportowania. Kiedy go mijali, bez słowa uchylił kapelusza.

– Nie – odpowiedziała stanowczo. – Myślę, że powinniśmy wracać do domu. Można łatwo zepsuć udany dzień, starając się zrobić za dużo.

– Jesteś pewna, Rose?

– Całkowicie.

– Musimy to robić częściej, Rose – powiedział, cofając forda spod dekoracyjnej armaty. Po długiej, szerokiej plaży spacerowały teraz cztery osoby. Na tle wzburzonych fal i jasnego piasku ich sylwetki wydawały się małe i czarne.

– Możemy, ale oczywiście po wyjeździe Maggie będzie nam dużo trudniej wyrwać się z

domu – powiedziała miłym tonem, który czasem wprowadzał go w dobry nastrój, a czasem doprowadzał do szału. Tym razem sprawił mu chyba przyjemność. Nie spodobałoby mu się, gdyby uznała, że mogą wyrwać się z domu, kiedy tylko przyjdzie im na to ochota. Wszystko, co łatwe i przyjemne, darzył głęboką podejrzliwością i twierdził, że ludzie, którzy się bawią, zazwyczaj mniej liczą się z innymi.

Przed ślubem Morana Maggie była zwykłym wołem roboczym. Rose ją wyswobodziła. Pilnowała, żeby miała ładne sukienki, jak inne dziewczęta w jej wieku, i pieniądze na wyjścia. Słuchała opowieści o drobnych triumfach odniesionych na tańcach. Nikt wcześniej nie okazał Maggie tyle uwagi. Wyposażona w nową pewność siebie, zaczęła z własnej inicjatywy chodzić z Moranem w pole. Pomagała ściągać gałęzie, zaganiać bydło albo po prostu dotrzymywała mu towarzystwa, kiedy pracował.

Wkrótce wyjeżdżała, łatwo więc mógł być uroczy. Krzyczał na nią jedynie w chwilach szybko mijającego rozdrażnienia. Instynktownie starał się ją do siebie przyciągnąć. Lubił powtarzać, że „życie to dziwne przedsięwzięcie”. „Nie wiesz, jak nisko albo jak wysoko zajdziesz. Choćbyś zaszła na sam szczyt, nie patrz na nikogo z góry. W ten sposób nigdy nie

pobłądzisz".

– Tatuś jest wspaniały – oznajmiła z dumą, wchodząc do domu.

Rose nie odezwała się, ale jej twarz rozjaśniła się radością.

– Owszem, kiedy jest miły. – Mona spojrzała z powagą znad książki.

– Byłoby milej, gdyby zawsze był taki – dodała zgryźliwie Sheila.

– Może sami nie zawsze jesteśmy w porządku – błyskawicznie odparowała Rose.

Michael zerknął na nie ze swojego miejsca na klęczkach przed starym fotelem. Kiedy się zorientował, że nie zwracają na niego uwagi, powrócił do rozłożonych książek.

Ostatniego wieczoru przed wyjazdem Maggie Rose wydała małe przyjęcie. Dzień wcześniej dziewczyna do późna zegnała się z przyjaciółmi. Jej ostatni wieczór należał do rodziny.

Moran wcześniej odmówił różaniec, na koniec dodając modlitwę o bezpieczeństwo Maggie w szerokim świecie, w który miała nazajutrz wkroczyć. Zmówił ją z wielką emfazą, nieledwie doprowadzając wszystkich do płaczu, ale chmurny nastrój szybko rozproszyły radosne przygotowania do posiłku.

Na stole pojawiły się miski z przejrzystym rosółem, który wszyscy uwielbiali. Po zupie zjedli

pieczonego kurczaka z jasnym nadzieniem, gorącym sosem i mnóstwem mączystych pieczonych kartofli. Wzniesiono toast szklankami lemoniady. „Jak w Ameryce”, pochwalił Moran. Na deser były biszkopty z owocami i bitą śmietaną. „Pękniemy!”. Wszyscy mieli wyborne nastroje. Rose chciała zostawić zmywanie na rano, ale dziewczęta uparły się, żeby to zrobić od razu. Potem grali w karty, dopóki tłumione ziewanie i błędy w rozgrywce nie powiedziały im, że zmęczenie wzięło górę. Trójka, która szła rano do szkoły, położyła się spać. Odczekawszy przyzwoitą chwilę, Maggie poszła w ich ślady.

– Jutro czeka cię długi dzień – zachęciła ją Rose.

– Niech Bóg cię błogosławi i zachowa w swej opiece – powiedział Moran.

Maggie spojrzała na niego pełnym miłości wzrokiem i pocałowała na dobranoc. Był jej pierwszym mężczyzną, jej ojcem, a ona stała na progu nowego etapu życia.

Nazajutrz na peronie niewielkiej stacyjki Moran był po prostu wspaniały. Ubrał się starannie w brązowy garnitur, w którym brał ślub, i roztaczając aurę cichego autorytetu, kupił Maggie w kasie bilet. Ponieważ nie był w bliskich stosunkach z nikim z obecnych na dworcu, nie

potrzebował się do nikogo odzywać. Rose знаła wielu ludzi na wysypanym białym żwirem peronie, chociaż pół życia spędziła w Szkocji, i serdecznie odpowiadała na powitania, pilnując wszakże, by nie rozdrażnić tą serdecznością Morana. Maggie milczała. Ona też, mimo tańców i koncertów, na których bywała w ostatnim czasie, знаła znacznie mniej osób niż Rose. Widziała w osamotnieniu, na które ich skazał, wyróżnienie i siłę. W głębi serca uważała, że Rose pospolituje się, znając tylu ludzi. Moran stał na peronie w pewnym oddaleniu od wszystkich, wyprostowany i osobny, błędząc wzrokiem po wzgórzach za torami, na których pasł się kasztanek zawiadowcy stacji, kilka krów i owiec.

Czekając na pociąg, Rose nieustannie dotykała Maggie, raz po raz ściskając jej ramię lub rękę.

– Spójrzcie, jaką piękną pannę tu mamy. Możesz patrzeć światu prosto w twarz i niczego się nie obawiać – mówiła, jakby już teraz widziała wyraźnie szczęście i dzieci pisane jej, gdy wypełnią się lata.

Kiedy na stację wjechał pociąg z lokomotywą spalinową i podróżni zaczęli podnosić walizki, Moran odwrócił się i pocałował Maggie, jakby mówił dobranoc wszystkim wieczorom, kiedy

przychodziła do niego, by pocałować go na dobranoc.

– Pamiętaj, że dom, który opuszczasz, na zawsze pozostanie twym domem. Dopóki będziemy tu z Rose, w każdej chwili możesz wrócić.

– Będziemy cię wypatrywać.

Maggie się rozplakała. Gdy pociąg ruszał z peronu, wyłuskała z tłumu twarz Morana i pomachała mu na pożegnanie.

– Myślisz, że jaśniepan po nią wyjdzie?

– Oczywiście, że po nią wyjdzie. Nie pozwoli, żeby sama plątała się po Londynie. W końcu jest jej bratem.

– Chciałbym być taki pewny jak ty. Na wszelki wypadek poprosiłem szpital, żeby kogoś po nią wysłali. Ale pewnie faktycznie po nią wyjdzie, choćby po to, żeby się na mnie odegrać.

Nawet w słotne dni Moran rzadko przesiadywał beczynnie w domu. Zamykał się w warsztacie, który urządził sobie w szopie, i dłużył w rozmaitych silniczkach, zabytkowych lampach i pompach wodnych, które od lat skupował za grosze po wiejskich aukcjach. Brakowało mu metody i cierpliwości, by właściwie zrozumieć ich działanie, nie słuchał też niczyich rad, tylko szukał informacji w podręcznikach. Dość często

jednak, metodą prób i błędów, udawało mu się uruchomić jakiś silnik. Cieszył się wówczas jak dziecko, a jego naturalna energia przenosiła to szczęście na całe otoczenie. Rose cieszyła się wraz z nim, celebrując tę radość z bezporównania większą przesadą, niż gdyby to była jej własna. Zazwyczaj jednak nic nie działało jak należy i poczerniały roboczy stół tonął pod stertą części rozmontowanego mechanizmu. Te dni napawały Rose lękiem i niepokojem, szukała wtedy pocieszenia w kontakcie z dziewczętami i chłopcem. Zawojowała ich doszczętnie. Po powrocie ze szkoły, dopóki nie usiedli do lekcji, opowiadali jej o swoich sprawach. Dziewczęta osiągały znakomite wyniki w nauce i lubiły się uczyć. Kiedy były młodsze, szkoła była dla nich azylem. Ucząc się, czuły się bezpieczne i chronione.

Michael również był dobrym uczniem, ale uczył się tylko tyle, ile musiał. Po półgodzinie samotnej nauki tracił cierpliwość do podręczników, zostawiał je rozrzucone na stole i znikał na dworze. „Tak szybko skończyłeś?“, wołała za nim Rose, ale wychodził, trzaskając drzwiami. „Jeśli skończył, powinien wiedzieć, że nie zostawia się takiego bałaganu“, gderwały dziewczęta; ale to one albo Rose odkładały książki na miejsce. Chociaż był wysoki i silny jak

na swój wiek, nie pociągała go ciężka praca fizyczna i niechętnie pomagał Moranowi w polu. Miał swoich ulubieńców: szarą kocicę Marię, owczarka Shepa, który wszędzie za nim chodził, i kilka ptaków, w tym kulawego gołębia, którym uwielbiał drażnić Marię; któregoś wiosny wyhodował ze znalezionej w porzuconym gnieździe jaja dziką kaczkę i długo chodził jak struty, kiedy pewnego październikowego dnia odleciała na dobre. Rose założyła przed domem niewielki ogródek kwiatowy i tam często go można było spotkać, najpierw pomagał Rose, później przejął ogródek na własność, rozszerzając go na drugą stronę ścieżki, aż cały trawnik w obrębie żywopłotu z głogu mienił się kolorami: posadził małe rabatki niezapominajek i goździków, grządki laku, który pięknie pachniał wieczorem, uroczystych lilii i róż. Miał rękę nie tylko do zwierząt i ptaków, lecz również do roślin. Morana bawiło to, i jednocześnie irytowało.

– Przypuszczam, że niedługo sprawisz sobie spódnicę.

– Spodnie są wygodniejsze – udało mu się zbyć żartem przytyk ojca.

– Miało toby jeszcze jakiś sens, gdybyś hodował marchewkę. Kwiatami się nie najesz.

– Lubię na nie patrzeć.

– Patrzenie daleko cię nie zaprowadzi – powiedział Moran.

Chłopiec przytaknął, lecz w gruncie rzeczy on również gardził pracą Morana, którą uważał za dobrowolne niewolnictwo. Chroniony od najmłodszych lat przez siostry, a teraz dorastający bezpiecznie w cieniu Rose, on jeden z całej rodziny ustrzegł się strachu przed Moranem.

Po wyjeździe Maggie Moran powrócił do zwyczaju odwiedzania poczty. Ponieważ dawno już przestał pisywać do krewnych i towarzyszy z czasów wojny, wyjaśnił sztywno: „Czekam na wiadomość od mojej córki w Londynie. Młodzi, kiedy wyjadą za granicę, potrafią w ogóle się z tobą nie liczyć”. Upływał wieczór za wieczorem, a kierowniczka poczty Annie wciąż nie znajdowała nic dla niego w szarej torbie, którą przywoziła furgonetka. Kiedy wreszcie nadszedł list w niebieskiej kopercie z pobożnym SAG w poprzek stempla, [SAG (*Saint Anthony Guide* – Prowadź, święty Antoni) – dopisek powierzający list opiece świętego, który miał mu pomóc w dotarciu do adresata, świadczy o niewielkim zaufaniu do kompetencji irlandzkiej poczty.] dłonie, które tak pewnie obchodziły się z karabinem i narzędziami, zadrżały, biorąc kopertę. Ku niezadowoleniu Annie bez słowa obrócił się na pięcie i wyszedł. Przeczytał list, stojąc, nieruchomy jak głaz, na ścieżce przed pocztą. Ludzie wychodzący z

poczty zagadywali go, ale ich nie słyszał. Kiedy wreszcie się stamtąd ruszył, szedł, wciąż na nowo odczytując list. Nim dotarł do domu, znał na pamięć każde zdanie.

– Wreszcie raczyła napisać – powiedział, podając list Rose.

– Najpierw musiała się trochę oswoić – zauważyła w roztargnieniu, wpijając się wzrokiem w słowa. Luke wyszedł po nią na dworzec Euston. Pojechali do szpitala metrem. Każda stażystka ma własny pokój w bursie dla pielęgniarek, z biurkiem i łóżkiem. W jej klasie jest kilka dziewcząt z Irlandii i dwie z okolic Ballymote. Zaczyna się przyzwyczajać do pracy na oddziale i zajęć teoretycznych. W pobliżu szpitala znajduje się duży park z jeziorem. Luke zabrał ją tam w ubiegłą niedzielę. Pływali po jeziorze łódką z wypożyczalni. Później zjedli podwieczorek w kawiarni w drewnianym domku nad samą wodą. Przesyła uściski i całą linijkę pocałunków.

– Mogłaby napisać, co porabia w Londynie jego lordowska mość.

– W każdym razie wyszedł po nią na dworzec i zabrał w niedzielę na spacer.

– Jasne. A jakże.

– Może nie zdążyła go jeszcze o wszystko wypytać. – Rose chciała za wszelką cenę

przerwać złowieszcze milczenie.

– Maggie jest ślamazarna, ale nie do tego stopnia – odparł niecierpliwie. – Jaśniepan zabronił jej mówić, co robi. Dlatego nic nie napisała.

Niedbale upuścił gazetę obok stołu i wysypał na dłoń paciorki różańca. Modlił się w roztargnieniu, nie mogąc wpaść w rytmiczne, senne mormorando *Ojciec nasz* i *Zdrowaś Mario*. Pomylił się nawet kilka razy i powtarzał frazy, co by natychmiast wywołało jego gniew, gdyby to zrobił ktoś inny. Nie chowając nawet różańca, poszukał pióra i papieru i do późnego wieczora odpisywał na list Maggie. Miał czysty, lakoniczny styl; pisząc, potrafił odrzucić brzemię swojej osobowości, co nigdy nie udawało mu się w bezpośrednim kontakcie. Dzieci już dawno poszły spać, Rose siedziała, czekając na niego przy kominku, kiedy wreszcie był na tyle zadowolony z tego, co napisał, by zakleić kopertę.

Odkąd Maggie wyjechała do Londynu, Mona i Sheila miały więcej przestrzeni dla siebie i mogły się usamodzielniać. Sheila świetnie radziła sobie w szkole, była impulsywna i apodyktyczna, ale w obliczu najdrobniejszego sprzeciwu natychmiast wycofywała się w swoją skorupę. Po szkole Rose uwielbiała pociągać ją za język,

wydobywać z niej nieprzemyślane sądy i patrzeć, jak obracają się trybiki jej bystrego umysłu, kiedy próbuje bronić tez, które zazwyczaj były nie do obronienia. Mona była spokojna, pracowita i wyjątkowo uparta, starała się być zgodna, ale kiedy zajęła jakieś stanowisko – albo się z nim zdradziła – za nic nie chciała go zmienić, co prowadziło do częstych konfliktów z Moranem. Pojawienie się Rose uprościło ich życie i pozwoliło im skupić całą energię na nauce, w której widziały przede wszystkim sposób na wyrwanie się z domu i rozpoczęcie własnego życia.

W końcu z Londynu nadeszła odpowiedź na gniewne pytania Morana o najstarszego syna. Rzeczywistość była tak zwyczajna, że bardziej już nie mogła. Z początku Maggie widywała go niemal codziennie. Teraz znacznie rzadziej. Po przyjeździe do Londynu pracował na różnych budowach. Teraz pracuje w biurze Zarządu Gazowego i uczy się księgowości, głównie wieczorami, ale Zarząd dał mu jeden dzień wolny w tygodniu na zajęcia w szkole. Zaprzyjaźnił się też z pewnym londyńczykiem, starszym od siebie, który robił kiedyś politurowane meble, a teraz sprzedaje z furgonetki kopie mebli z epoki do sklepów z antykami. Wspominał, że mają jakiś plan wykupywania starych domów i

przerabiania ich na mieszkania, które zamierzają następnie sprzedawać.

– Widzisz, jak szybko zaczął się bratać z hołotą – powiedział Moran.

– Wygląda na to, że ciężko pracuje i się uczy – zauważyła z rezerwą Rose, jak zwykle starając się załagodzić sytuację.

– Zgadza się, ale zobacz, w co oprócz tego się wmieszał.

– Może to tylko gadanie – zaryzykowała nerwowo.

– Wszystko zaczyna się od gadania.

Na pozór był to najbardziej beztroski, najspokojniejszy okres w ich życiu, ale w istocie niepokój tylko się przyczaił. Morana coraz częściej można było zobaczyć na polu, jak stoi beczynn timer, wpatrując się w nieskończoną robotę.

Przeszła gorączka sianokosów. Na drzewach w ogrodzie dojrzewały jabłka. Zaczynali myśleć o zimie. Rose znów odwiedzała regularnie swoją matkę. Kiedy wyjeżdżała, trzcinyowy koszyk przy kierownicy jej roweru był pełny po brzegi. Ale kiedy wracała, też nie był pusty.

– Widzę, że nie ma dnia, żeby Rose nie pojechała do swoich – powiedział którejś soboty Moran do Mony i Sheili, kiedy przyniosły mu na pole butelkę z herbatą. – I nieczęsto jeździ do

nich z pustymi rękami.

Rose poprosiła je, żeby o czwartej zaniósł mu herbatę. Wiedziały, że zawiozła matce chleb i dżem, który zrobiła z czarnych porzeczek rosnących w dolnej części ogrodu, ale koszyk zawsze wracał pełny świeżych jaj, marchewki z torfowiska, ich ulubionych śliwek i słodkich, twardych, żółtych jabłek.

– Nie wiemy – odpowiedziała ostrożnie Sheila.

– Jak to, nie wiecie? Oczu nie macie?

– Zawsze coś od nich przywozi.

– Tylko to, co inaczej by wyrzucili!

Wiedziały, że to nieprawda. Milczały uporczywie, przybierając postawę uległości, za którą nauczyły się chronić.

– Chce tatuś, żebyśmy wiązały snopki?

– Bardzo mi byście pomogli – odparł.

Dziewczęta miały wprawę w pracach polowych, w których pomagały od najwcześniejszego dzieciństwa. Wkrótce zboże było powiązane w snopki. Kochały świszczący dźwięk towarzyszący ustawianiu snopków w kopki, twardy stukot ziarna o ziarno, widok bujnych kłosów owsa odchylających się z gracją od boków kopki.

– Wspaniale – powiedział Moran. – Teraz zostało już tylko sprzątnąć, a to mogę zrobić

sam. Na pewno czekają na was książki – dodał z niespotykaną u niego troskliwością.

– Dziękujemy, tatusiu.

– To ja wam dziękuję. – A potem dodał: – Dalibyśmy sobie świetnie radę i bez niej.

Chodziło nie tyle o to, że wywoziła jedzenie z domu – chociaż wyssany z mlekiem matki strach przed przytulkiem dla ubogich odgrywał ważną rolę w jego życiu – ile o to, że w ogóle go opuszczała. Regularne odwiedzanie jakiegokolwiek innego domu zawsze stanowiło zagrożenie. Uraza ujawniała się w drobiazgach. Woda do golenia była zbyt gorąca. Czy chciała, żeby się poparzył? Boże, o Boże, czy niczego nie może zrobić jak należy? Patrzcie na dziury w tych skarpetach. „Gdzie, na Boga, podziewa się ta kobieta? Czy za każdym razem, kiedy jest potrzebna, mam po nią wysyłać umyślnego?”.

Nie próbowała się bronić. „Już jestem, tatusiu! Już jestem!”, wołała zadyszana. Ani razu nie zaprotestowała przeciwko niesprawiedliwości zarzutów. Wydawało się, że jest gotowa zapłacić każdą cenę, byle tylko udobruchać, załagodzić zadrażnienie, ukoić irytację wzięciem winy na siebie. To zwykle tylko pogarszało sytuację. Sprawiał wrażenie, jakby chciał koniecznie sprawdzić, jak daleko może się posunąć, a ona bez oporu ustępowała mu we

wszystkim, w nadziei, że to go uspokoi.

Dzieci wstydziły się za niego.

– Podobnie zachowywał się wobec Luke'a, Rose; tylko że wtedy było gorzej.

Nie chciała tego słuchać.

– Wybuchy gniewu zdarzają się w każdej rodzinie. Nie warto tego wyolbrzymiać. Jestem pewna, że tatuś nie ma na myśli nic złego. Nie trzeba wszystkiego brać sobie do serca.

– To prawda, co mówi Mona.

– Łatwo zrobić z igły widły. Tatuś zachowuje się tak, jak się zachowuje – nikt z nas nie jest wolny od wad – ale naprawdę nie chce nikogo skrzywdzić. Wiem, jak bardzo nas wszystkich kocha.

– To po prostu nie w porządku.

– Powinnyście wiedzieć, że już nie zmienicie waszego ojca i że jemu chodzi tylko o nasze dobro – obstawała przy swoim, ale ściągnięte rysy twarzy zdradzały, że żyje w ciągłym napięciu.

Aż pewnego wieczoru, kiedy sprzątała kuchnię, powiedział tak cicho, jakby brał ją na muszkę karabinu:

– Nie musisz przewracać wszystkiego do góry nogami. Radziliśmy sobie i bez ciebie.

Nie próbowała odpowiedzieć ani argumentować. I znów było tak, jakby ją ktoś

uderzył, jej dłonie zwolniły ruchy nad blatem kredensu, który właśnie wycierała z kurzu, zwiesiła nisko głowę, a kiedy skończyła, ostrożnie odłożyła wilgotną ścierkę na brzeg zlewu i zdjęła z płyty rondel, w którym coś się gotowało. Zaalarmowane nagłą powolnością i zwartością jej ruchów, dziewczęta instynktownie podniosły oczy znad książek i zaczęły ją obserwować. Moran przyglądał jej się zza gazety. Naraz, z tą samą wstrząsającą powolnością, bez słowa, bez jednego spojrzenia na którekolwiek z nich, podeszła do drzwi, otworzyła je i cicho zamknęła za sobą. Słyszeli, jak otwiera i zamyka drzwi do sypialni. Zapadła kompletna cisza.

Moran raz i drugi zaszeleścił gazetą, ale kiedy wreszcie zdobył się na to, by zza niej wyjrzeć, dzieci znów były zatopione w lekturze. Niebawem znudziło go przeglądanie gazety i chociaż było już ciemno, wyszedł na dwór.

– Co jest grane? – spytał ze śmiechem Michael, w nadziei, że uda mu się zbagatelizować to, co zaszło.

– Rose poszła spać – odparła Mona, nie podnosząc wzroku znad książki.

Chłopiec myślał o tym jeszcze przez chwilę, ale już więcej o nic nie zapytał.

Kiedy Moran wreszcie wrócił, nadal nie mógł znaleźć sobie miejsca. Jeszcze raz przerzucił

gazetę. Usiadł przy stole z piórem i blokiem papieru. Deliberował przez jakiś czas nad pustą kartką, a potem nagle wstał i odłożył papier, niczego nie napisawszy.

– Zmówmy lepiej modlitwę – powiedział, wyjmując ze skórzanej sakiewki różaniec. Kiedy szykowali się, by uklęknąć, dodał: – Otwórzcie drzwi, na wypadek gdyby Rose chciała słuchać.

Mona otworzyła jedno i drugie drzwi.

– Rose, zaczynamy różaniec! – zawołała cicho od progu sypialni, ale nie odpowiedział jej żaden szept. Wróciła do kuchni. – Drzwi są otwarte. – Nie patrząc na nikogo, uklękła.

– „Panie, otworzysz wargi moje”.

– „A me usta obwieszczą chwałę Twoją” – odpowiedziało echo ściszonych głosów.

Mimo otwartych drzwi z drugiego pokoju nie dochodził najmniejszy szmer. Po pierwszym dziesiątku Moran zrobił pauzę. Drugi dziesiątek zawsze recytowała Rose, ale kiedy z sypialni odpowiedziała mu cisza, skinął surowo głową, nakazując Monie, by podjęła modlitwę. Ostatni dziesiątek znowu wypadł na niego.

– Zamknąć drzwi, tatusiu? – spytała nerwowo Mona, podnosząc się z kolan.

– Jaka różnica, czy będą otwarte czy zamknięte? – odparł, więc drzwi pozostały otwarte.

Kiedy skończyły odrabiać lekcje, zaparzyły mu herbaty. O tej porze Rose zawsze parzyła herbatę. Sprzątnęły i pozmywały, pocałowały Morana na dobranoc i wymknęły się do siebie. Ponad godzinę siedział samotnie, nim wreszcie powlókł się do sypialni i trzasnął za sobą drzwiami. Nie odzywając się, rozebrał się po ciemku, czekając na jakiś ruch czy znak Rose, ale ciszę mącił jedynie szelest rzucanej na podłogę odzieży.

– Śpisz, Rose? – zapytał szeptem, odsuwając kołdrę.

W pierwszej chwili nie odpowiedziała, poruszyła się tylko albo przekręciła na bok.

– Nie śpię – powiedziała w końcu głosem nabrzmiałym poczuciem krzywdy. – Będę musiała się wyprowadzić.

– W życiu nie słyszałem podobnych bzdur! – wybuchnął. – Czyżbyś też brała wszystko na poważnie, tak jak niektórzy? Byle słowo to zaraz koniec świata?

– Usłyszałam, że nie jestem tu potrzebna. Nie mogę mieszkać w domu, gdzie nie jestem potrzebna – odpowiedziała ze spokojem i rozpaczliwą powagą kogoś, kto odkrył, że jeśli cofnie się o jeszcze jeden krok, zginie.

– Boże, o Boże! Czy wszystko musisz przyjmować w ten sposób? Nie miałem nic

takiego na myśli. Wszyscy wiedzą, że dom nigdy nie był prowadzony tak jak teraz. Ślepiec by zauważył, że dzieci świata za tobą nie widzą. Dopiero by płakały, gdyby usłyszały to głupie gadanie.

– Dla mnie to nie brzmiało jak głupie gadanie. Brzmiało, jakbyś tak właśnie myślał. Będę musiała wrócić do Glasgow.

– Boże, czy człowiek nie może już we własnym domu słowa powiedzieć, żeby ktoś go źle nie zrozumiał?

Kłótnia krążyła wokół tych dwóch stanowisk, dopóki nie wziął Rose w ramiona. Nie poddała mu się, ale też nie próbowała się odsunąć.

– Kocham cię całym sercem i kocham ten dom, ale nie mogę tu mieszkać, jeśli mnie nie chcesz.

– Myślałem, że skończyliśmy z tym raz na zawsze.

Wiercił się niespokojnie przy jej boku, na przemian zaciskając i rozwierając pięści. Został sprawdzony. Zamiast pogłębić bliskość, kłótnia pogłębiła jedynie zaślepienie. Wiedział teraz o Rose jeszcze mniej, niż kiedy po raz pierwszy rozmawiali w urzędzie pocztowym, stojąc obok siebie na wyszorowanych do czysta, zapadniętych deskach podłogi i czekając na przyjazd furgonetki.

Nazajutrz Mona i Sheila wstały wcześniej niż zwykle. Słyszały o świcie, jak ktoś wstaje, i to je przejęło lękiem. Nie były pewne, czy w ogóle zastaną Rose, a jeśli tak, to w jakim stanie. Ku ich zaskoczeniu była uśmiechnięta i swobodna. W kominku płonął ogień, a wszystkie meble lśniły, jakby zostały przetarte wilgotną ścierką.

– Zeszłyście przed czasem. Mogłyście skrać jeszcze kilka minut snu – zauważyła, jakby wczorajszego wieczoru nigdy nie było. Nalała im herbaty i usiadła ze swoim kubkiem przy kominku, gawędząc z nimi od niechcienia, jak co dzień rano. – Waszemu bratu nie grozi, żeby kiedyś wstał za wcześnie – powiedziała i poszła zawołać Michaela. Zszedł na dół zaspany, trąc oczy, i ze zdumieniem rozejrzał się dokoła, jakby też nie mógł uwierzyć, że ten poranek nie różni się od innych poranków. Wyglądało na to, że wszystko jest tak, jak było.

Tego dnia Moran wstał późno i zaraz po śniadaniu zniknął bez słowa w polu. Po powrocie ze szkoły dzieci stwierdziły, że nadal wszystko jest tak jak dawniej. Moran pieklił się z powodu narzędzi i taczki, które ktoś zostawił na deszczu, i narzekał, że w tym domu wyrzuca się pieniądze w błoto.

– Dlaczego ciągle musi zrzędzić? – spytała Sheila, kiedy wreszcie wyszedł, ośmielona tym,

co widziała poprzedniego wieczoru.

– Tatuś się martwi. Martwi się o nas wszystkich. – Rose włożyła w te słowa tyle empatii, że krytyczne uwagi zamarły im na ustach. Patrzyły na nią w milczeniu, ale nie zdoławszy niczego wyczytać z jej twarzy, powróciły do nauki. Już tylko kilka tygodni dzieliło je od egzaminów. Zostało im jeszcze mnóstwo pracy i powtarzania. Od wyników egzaminów zależało, jak dalej potoczy się ich życie. Zwłaszcza Sheila hołubiła marzenie o uniwersytecie. Miały wiele do zyskania, jeszcze więcej do stracenia, no i zawsze miały jeszcze Anglię.

W tym czasie Moran zamówił ogromny ładunek wapna, który zwalono na podjeździe. Żeby zaoszczędzić na kosztach, zrezygnował z wielkiego przemysłowego rozrzutnika i sam rozrzucał wapno za pomocą traktora i łopaty. Dzień po dniu cofał niewielką przyczepkę pod hałdę wapna, a potem jeździł po polu, pas za pasem, co kilka metrów zatrzymując traktor; rzucał zawartość łopaty na wiatr, który zdmuchiwał biały pył na trawę. Bez względu na to, jak ostrożnie Moran wymierzał tor rzutu, zawsze jakiś nieprzewidziany podmuch unosił pył z powrotem w kierunku traktora, tak że wieczorem całe ubranie miał powalane wapnem.

Kredowa biel twarzy i rąk podkreślała zaognione czerwone obwódki wokół oczu. Bawiła go ta teatralna bladość. „Jestem Białym Ludem!”, straszyl Rose i dzieci, uroczy jak dawniej. Rose była zachwycona, błazenada rozluźniła napiętą atmosferę, która zapanowała po stoczonym walce. Wojna będzie trwała dalej, ale miejsce Rose w domu nigdy więcej nie stanie się celem ataków. „Jestem Białym Ludem. Jestem Białym Ludem!” – rzucał się na nich w zabawie, a oni śmieli się i z krzykiem rzucali do ucieczki.

Upływał dzień za dniem, mały ruchliwy traktorek powoli wgryzał się w ogromną hałdę, której na pozór wcale nie ubywało. Moran przestał podstawiać łopatę pod wiatr, rozrzucał teraz wapno, gdzie i jak popadnie, byle tylko się go pozbyć. Niecierpliwość przynosiła ten skutek, że raz po raz wiatr sypał mu wapnem w oczy, pokrywając od stóp do głów białym pyłem. Wieczorem ledwo powłóczył nogami ze zmęczenia, miał coraz bardziej zaczerwienione oczy, twarz oblepioną wapnem, wapno w oczach, uszach i nosie, wysuszone gardło, pozlepiane wapnem włosy i grubą warstwę wapna na ubraniu, a kiedy siadał do stołu, czuł się, jakby jadł wapno.

Skończyła się ciuciubabka i udawanie Białego Luda. Chodzili wokół niego na palcach.

Rose pochylała się nad nim z czystą troską.

– Myślisz, że będzie padać? – spytał.

– Zapowiadają, że pogoda się utrzyma.

– Jeśli zaczniesz padać – zauważył ponuro – jeśli zaczniesz padać, hałda stwardnieje na beton i nigdy się jej nie pozbędziemy. – I chociaż nie zanosilo się na zmianę pogody, zaczął przykrywać na noc malejący z wolna wzgórek płachtą przezroczystego plastiku, którą obciążał kamieniami.

Dziewczęta były tak przejęte zbliżającymi się egzaminami, że kiedy Moran wracał z pola, ledwie podnosiły oczy znad książki, za to on, zmęczony i uwalany wapnem, raz po raz spoglądał na pochylone nad oświetlonymi lampą stronicami głowy swoich córek z wyrazem melancholijnego skupienia na twarzy.

– Doszedłem do ósmej klasy w Moyne. – Wymienił nazwiska czterech chłopców, z którymi był w jednej klasie. – Dalej się nie dało. Byłem tam przez dwa lata. Reszta poszła się uczyć na księży. Joe Brady został biskupem Kolorado. Umarł dwa lata temu. Pisywałem do niego do samego końca. Jeśli nie zamierzałeś zostać księdzem, musiałeś skończyć naukę na ósmej klasie.

– Nawet jeśli miałeś pieniądze? – spytała Rose.

– W Moyne nikt nie miał pieniędzy. – Uśmiechnął się, obolały ze zmęczenia, cały biały od wapna. – W ósmej klasie wszyscy uczyliśmy się dobrze, ale to ja byłem najlepszy z matematyki. – Wymienił nazwiska kolegów, którzy celowali w innych przedmiotach. – Wszyscy zostali księżmi, a potem zaczęła się wojna i ja też rzuciłem szkołę. Dziwne, ale nigdy nie spotkałem księdza, który by się nie bał śmierci. Nigdy nie potrafiłem tego pojąć. To stawia wszystko na głowie.

– W innych czasach byłbyś lekarzem albo inżynierem – powiedziała Rose.

– Nie byłbym lekarzem. – Zadrżał, przerażony samą sugestią, że mógłby być kimś innym, niż jest. – Zamięczycie się na śmierć tą nauką – zmienił temat.

– Nie, tatusiu. Powtarzamy tylko do egzaminu.

– Od tygodni mamy piękną pogodę. Po całych dniach siedzicie w szkole. Powinnyście wziąć książki i wyjść na świeże powietrze.

Nie odpuszczał, dobra pogoda się utrzymywała, i w końcu musiały wyjść na dwór. Pojechały do Oakport Woods, zostawiły rowery przed wielką żelazną bramą i z książkami pod pachą ruszyły przez trawę w kierunku zalesionego pasa nad jeziorem Oakport. Prażyło

późnomajowe słońce. Pod drzewami panował chłodny półmrok, było też tam zimne źródło.

– Nie wiem, po co wyprawił nas z domu. Na samą drogę zmarnowałyśmy mnóstwo czasu. Łatwiej nam byłoby uczyć się w domu – narzekła Sheila, idąc przez pole.

– Taki już jest – odparła Mona. – Zawsze znajdzie dziurę w całym.

Minęły kępę dzikich czereśni obsypanych delikatnym białym kwieciem. Zagniewana Sheila sadziła naprzód wielkimi krokami, Mona drobila w ślad za nią. Pomiedzy pniami drzew ukazała się rozświetlona tafla jeziora, a kiedy znalazły się na skraju wąskiego lasu, zapomniały o gniewie na widok gęstego dywanu dzwonek pod drzewami. Żeby wejść w las, trzeba było brnąć w błękanie.

– Muszą ich być tysiące.

– Miliony!

Ich stopy odciskały na dywanie z dzwonek wyraźne ślady, jak na ciemnym śniegu, rozgniatając na miazgę miękkie łożki. Położyły podręczniki na ocembrowaniu źródła i zeszły na brzeg. Lustro wody było idealnie gładkie. Lato nie zastąpiło jeszcze świeżą zielenią pszenicznosrebrnych zimowych trzciny. Rybitwy krążyły z krzykiem nad swoimi młodymi na otoczonej kamieniami kępie, która tworzyła

pośrodku jeziora Wyspę Mew. Na przystani wioślarskiej Nutleya dawno nie było już łodzi. W boku szopy brakowało kilku desek, smołowane ściany wypłowiwały.

– Nie podoba mi się tutaj – oznajmiła Sheila.

– Pamiętasz, jak przyjeżdżaliśmy tu z tatusiem popływać łódką?

– Jakżebym mogła zapomnieć? – zadrwiła Sheila.

Zanim zabrały się do nauki, wyszukały puste słomki i położyły się na brzuchach przy źródle, by napić się słynnej ze swego chłodu wody. Jakby pijąc z zimnego źródła, chciały ubłagać ducha tego miejsca o przychylność; ale i tak nie mogły się skupić na czytaniu i robieniu notatek. Na nosie usiadła mucha. Śnieżnobiały motyl tańczył w plamie światła nad skrajem wody. W dzwonek buszowały pszczoły. Jakiś strzyżyk albo rudzik awanturował się w kępie ciernistych krzaków.

– To nie ma sensu. – Sheila zamknęła podręcznik. – Nic mi nie wchodzi do głowy. Wracam do domu. Co mi może powiedzieć? Mamy za mało czasu do egzaminów, żeby go marnować.

– W każdym razie nie będzie mógł powiedzieć, że nie próbowałyśmy. – Mona też

już chciała jechać.

– Mogłyśmy przewidzieć, że tak to się skończy – burknęła z irytacją Sheila.

Ale nawet ją ogarnął lekki strach, kiedy dojeżdżały do domu. Zbyt wczesny powrót mógł wyglądać na wyzwanie rzucone Moranowi.

– Ledwo zauważyłem, że was nie było, tak szybko wróciłyście. – Z uśmiechem przywitał je przy bramie. – Widać na świeżym powietrzu nauka szybciej wchodzi do głowy.

– Nie udało nam się nic zrobić. – Sheila zwiesiła ze zniechęceniem głowę.

– Jestem zaskoczony. Kiedy zobaczyłem, że wracacie, pomyślałem, że przeleciałyście przez cały materiał jak burza. – Zaśmiał się.

– Ciągle coś nas rozpraszało, tatusiu – powiedziała Mona przepraszającym tonem.

– Szukacie wymówek – zażartował. – Zwyczajnie nie chciało wam się uczyć.

Kiedy weszły do środka i wzięły się do wkuwania tam gdzie zawsze, z domu wyszła Rose.

– Byłeś okropny, tatusiu. Kto to widział, żeby je wypędzać nad jezioro? – zauważyła łagodnie.

– Co w tym takiego okropnego? – Roześmiał się, nie tracąc dobrego humoru. – To przecież świeże powietrze!

Muszą się czasem ruszyć z miejsca. Sama

praca, bez krzty zabawy, czyni z człowieka nudziarza. Teraz lepiej docenią, jak dobrze im w domu.

Ten drobny epizod nie na długo oderwał je od nauki. Czytały i powtarzały z nieprzytomnym wyrazem twarzy, w milczeniu, błędząc w przestrzeni niewidzącym wzrokiem, uczyły się na pamięć całych stron; a kiedy jakaś idea uparcie nie dawała się uchwycić albo zrozumieć, pomagały sobie wzajemnie, czerpiąc otuchę i poczucie siły z tego, że są razem.

Moran czuł się do tego stopnia wykluczony z kręgu ich koncentracji, że musiał sobie poprawić nastrój odgrywaniem pantomimy; wchodził do kuchni na palcach, udając, że stara się najmniejszym szelestem nie zakłócić ciszy, ale za całą widownię miał tylko Michaela, a i to nie zawsze, śmiech zaś podrywał głowy dziewcząt znad książek zaledwie na ulotną chwilę.

Każdy bezchmurny dzień kwitnienia jabłoni i grusz nieubłaganie przybliżał je do momentu, kiedy po raz pierwszy wyszły z domu bez książek, by wieczorem wrócić z różowymi i niebieskimi arkuszami egzaminacyjnymi w dłoniach.

– Jak wam poszło? – z niepokojem pytał co wieczór Moran.

– Nie wiemy, tatusiu. Siostra uważa, że całkiem nieźle.

– Nie przejmujcie się. Tak czy inaczej będziemy mieli co do gęby włożyć – powiedział, czując się zagrożony w obliczu władzy, która nie leżała w jego rękach.

Wreszcie nastąpił koniec egzaminów. Mogły odłożyć podręczniki. Lecz zamiast wolności i swobody, na które czekały z utęsknieniem, nerwowe napięcie i wysiłek nauki ustąpiły poczuciu pustki. Miały przed sobą długie tygodnie beczynnego oczekiwania na wyniki, całą wieczność aż do sierpnia.

– Nie musicie się o nic martwić – powtarzał nieustannie Moran. – Nie musicie się martwić nic a nic.

W początkach lipca monotonię oczekiwania przerwał przyjazd Maggie, pierwszy odkąd wyjechała do Londynu. Miała spędzić w domu całe trzy tygodnie i wyjechać tuż przed terminem podania wyników.

Kiedy tylko zaczęły się egzaminy, Rose wzięła się do odnawiania pokoju dziennego. Teraz dziewczęta pomogły jej skończyć malowanie, wyszorować stoły i krzesła. Stare meble wystawiono na dwór, na słońce, do wietrzenia. Szorowały podłogi, aż deski zrobiły się białe, a wiekowe płyty z brązowego kamienia w sieni nabrały wilgotnego połysku. W ogródku Michaela przed domem pięknie kwitły lewkonie,

rabatki goździków i nagietków zachłannie zabierały słońce innym kwiatom – bratkom, liliom i różom. Moran umył i wypolerował samochód, aż się błyszczał, uprzątnął nawet pordzewiałe maszyny walające się wokół domu. To on był najbardziej podekscytowany ze wszystkich i bez ustanku sypał dowcipami.

W dniu przyjazdu Maggie rozważał, czy nie wyjechać po nią do Carrick, ale bał się, że może się spóźnić na pociąg, i w końcu postanowił odebrać ją z Boyle. Wyjechał sam, nim pociąg dotarł do Carrick. Nie zważając na wymówki Rose, wybrał się po córkę w starych roboczych łachach, jakby chciał przewrotnie zaprzeczyć, że ten dzień ma dla niego jakiegokolwiek szczególne znaczenie.

– Wyglądam, jak wyglądam. Wraca na wieś, więc niech lepiej nie kręci nosem.

Po jego odjeździe przywarli oczami do zegara.

– Pociąg wjeżdża do Carrick! – Wyszli w komplecie na pole za domem, wypatrywać przejeżdżającego pociągu. Usłyszeli silnik Diesla, pospieszny stukot kół o szyny i ponad kamiennym murem przemknęła gąsienica wagonów; błysnąwszy w słońcu oknami, zniknęła z pola widzenia. Przeszli przed dom, wypatrywać na drodze samochodu.

W takim napięciu odprowadzali wzrokiem każde przejeżdżające auto, że nie zauważyli granatowego forda, dopóki nie skręcił powoli w bramę pod cisem. Moran prowadził z poważną miną, wyraźnie skrepowany. Na widok domu i gromadki czekającej na nią przed drewnianą furtką, Maggie zalała się łzami. Rzucili się ścisnąć i całować, jedno przez drugie, bez ładu i składu.

– Ależ wypiękniałaś. – Rose przyjrzała jej się z przyjemnością.

– Jak ci się podoba, że tę piękną pannę przywiózł z dworca taki obszarpany staruch jak ja?

Rose roześmiała się i rozgorzała formalna bitwa o to, kto poniesie walizki.

W domu Maggie wypakowała prezenty: jaskrawoczerwony wełniany szal dla Rose; brązowy sweter z wycięciem w szpic dla Morana; Sheila i Mona dostały jedwabne chustki na głowę, a Michael szafranowy krawat, pasujący do jego włosów. Przywiozła mu także nasiona w torebkach opatrzonych rysunkami kwiatów.

– Myślisz, że tu urosną? – zapytał oszołomiony, że przyjechały aż z Londynu.

Stół okrążyła bomboniera z czekoladkami z miękkim nadzieniem. Zaparzono herbatę. Maggie była najważniejszą osobą przy stole.

Wypytywali ją zachłannie o Londyn.

– Jaki jest teraz Luke? – wypaliła Sheila.

Zamilkli jak nożem uciął. Oczy wszystkich zwróciły się na Morana, zasklepionego we własnym udreńczonym milczeniu.

– Taki sam jak przedtem.

Sheila ponieważ ugryzła się w język, a Maggie wróciła do opisywania bursy dla pielęgniarek.

Ponieważ to Maggie znajdowała się w centrum uwagi, Moran coraz bardziej wyłączał się i nudził mimo wysiłków Rose, by wciągnąć go w rozmowę.

– Myślę, że pora zmówić różaniec – oznajmił wcześniej niż zwykle, wysypując paciorki z sakiewki.

Rozłożyli gazety i uklękli. Tego wieczoru Moran wymawiał monotonne słowa modlitwy wyraźnie i z mocą, jakby rozpamiętywanie cierpienia i śmierci i błaganie o łaskę mogło odpędzić czcze próżnostki wielkiego świata; odpowiadali przyciszonymi głosami, zapewniając, że z pokorą przyjmują niewolę człowieczą, nie poprawiło mu to jednak humoru. Pokasztywanie, szelest gazety, zgrzytnięcie guzika o krawędź stołu lub o oparcie krzesła, wszystko działało mu na nerwy. Radosny nastrój podwieczorku rozwiął się bez śladu. Nagle Rose i

dziewczęta, niczym ławica ryb schwytana w rybacką sieć, zaczęły sprzątać ze stołu, zmiatać okruszki, zmywać, wycierać i odstawiać na miejsce naczynia, wykonując poszczególne czynności z tłumioną energią; szepty, żarty, złośliwe docinki „Nie, to tu nie stało”, czym prędzej łagodzone przypomnieniem, że już kiedyś popełniły ten sam błąd, nisko pochylone głowy i przepaszający śmiech. Przymilne uśmiechy i słowa wplatały się w zawrotny wir krzątania. Towarzyszyła im nieustająca świadomość obecności Morana, intensyfikująca wszystko, co robiły, groźbą, że coś stłuką albo upuszczą i w konsekwencji ściągną na siebie jego gniew. Wyostrzona precyzja ich ruchów płynęła raczej z instynktu i przyzwyczajenia niż rzeczywistego zagrożenia, lecz mimo to stanowiła faktyczny stan fizyczny. Zmywałyby w ten sam sposób, nawet gdyby nie patrzył.

Jak spoglądanie w dół z dużej wysokości wywołuje gwałtowne pragnienie, by skoczyć i w ten sposób skończyć ze strachem przed upadkiem, tak obserwujący wzrok Morana prowokował je do wypuszczenia z rąk talerza lub filiżanki, które wycierały i odstawiały na półkę. Było kilka alarmów, po których następował pełen ulgi śmiech, gdy okazały się fałszywe. Wreszcie umyły ręce i wróciły do pokoju dziennego.

Moran nadal siedział w fotelu pogrążony w myślach, kręcąc młynka kciukami.

– Przyda nam się chyba filiżanka herbaty – rzuciła w jego stronę Rose tonem wesołej zachęty, ale w odpowiedzi spojrział tylko na nią bez słowa, mówiła więc dalej, nastawiając czajnik i przygotowując imbryk: – Maggie pewnie będzie chciała się wcześniej położyć. Wyobrażam sobie, jak ją zmęczyła podróż. Najgorsza jest nocna przeprawa promem, no i całe to czekanie.

Czy to pod wpływem sugestii, czy ze zwykłego zmęczenia Maggie ziewnęła, jakby na potwierdzenie prawdziwości jej słów.

Nazajutrz dziewczęta wstały późno. Moran wyszedł już w pole. Przy długim, wystawnym śniadaniu Maggie opowiedziała Rose, Sheili i Monie więcej szczegółów ze swojego życia w Londynie, niż mogła to uczynić poprzedniego wieczoru – przyjęcia, tańce, różne zespoły i piosenkarze, chłopcy, których poznała, koleżanki.

Rose wspominała dziewczęce lata w Glasgow. Mona i Sheila, stojące na progu własnej dorosłości, z zapartym tchem słuchały opowieści o strumieniu życia, w który same miały wkrótce wstąpić. Po długim śniadaniu poszły we trzy zobaczyć, co słyhać u Morana.

Ponieważ od dzieciństwa ciężko pracowały w

polu, każdy zagon i każde drzewo, a zwłaszcza żywopłot, stały się ich serdecznym przyjacielem. Maggie odszukała starą śliwę przy miedzy McCabe'a, dziką jabłonkę i dziką wiśnię. Na niebie nie było jednej chmurki. Ani śladu wiatru. Małe ptaszki dokazywały w cieniu gałęzi, po różowych i białych kwiatach koniczyny pełzały pszczoły. Odnalazły Morana, kierując się uderzeniami drewnianego pobij aka. Wymieniał połamane słupki w ogrodzeniu z drutu kolczastego na jednej z łąk. Widok córek w sukienkach bez rękawów stanowił miłą odmianę od nudy samotnej pracy.

– Zamierzam do wieczora skończyć tę łąkę – powiedział, gdy odchodziły, i zażartował: – Twoje dłonie będą musiały trochę stwardnieć, zanim wrócisz do miasta.

– Wcale nie są takie miękkie, tatusiu.

Kiedy odchodziły pośród zieleni, pod jasnym błękitem nieba, Maggie powiedziała nabrzmiałym od uczuć głosem:

– Tatuś jest cudowny, kiedy jest taki, jak teraz.

– Nikt nie dorasta mu do pięt – dodała Mona. Pragnęły, każda na swój sposób, przygarnąć do piersi ojca i cały ten szczery, chwytający za serce dzień.

Po południu Moran był już w zupełnie innym

nastroju. Milcząc ponuro, zmienił buty i ubranie i zjadł, nie odzywając się do nikogo ani słowem. Czymkolwiek się martwił, dręczyło go to podczas jedzenia. Dobrze go znali, chodzili więc wokół niego na palcach, starając się nie robić hałasu.

Skończywszy jeść, odsunął się gwałtownie od stołu i spytał Maggie, nie patrząc w jej stronę:

– Czy ty w ogóle widzisz czasem tego swojego brata?

– Widuję, ale nie za wiele.

– Co to znaczy, nie za wiele?

– Wyszedł po mnie na dworzec...

– Boże, nie myślisz chyba, że o tym nie wiem?

– Z początku przychodził do szpitala w każdy weekend, ale teraz widzujemy się dużo rzadziej. Raz umówiliśmy się na West Endzie i poszliśmy razem do kina. – Podczas swoich wakacji w domu Maggie była gotowa stanąć na głowie, byle tylko uspokoić i udobruchać Morana.

– Jak wygląda?

– Świetnie. Tak samo jak przedtem.

– Czy nie wspominałaś w swoim liście, że zadał się z jakąś londyńską hołotą?

– To ma coś wspólnego z remontowaniem i sprzedażą starych domów. Nie wiem dokładnie, o co chodzi.

– Możesz mi wierzyć, już się o to postarał,

żebyś nie wiedziała.

– Za to uczy się w szkole wieczorowej –
niezdarnie próbowała go bronić.

– Czego?

– Księgowości. Niedługo otrzyma dyplom.

– Pytał o nas w ogóle?

– Pytał, co u nas nowego.

– Wspominał, że wybiera się do domu?

– Nie.

– I nic ci nie kazał przekazać, kiedy się
dowiedział, że jedziesz do domu?

– Tak. Kazał. Że przesyła wszystkim
najlepsze życzenia.

– Boże, nie rozumiem, co jest nie tak z tą
rodziną. – Moran wstał, zbierając się do wyjścia.

– Każdą informację trzeba z was wyszarpywać
siłą.

– Nic więcej nie wiem. – Po jego wyjściu
Maggie poskarżyła się Rose. – Powiedziałam
tatusiowi o Luke'u wszystko, co wiem.

– Nie przejmuj się – uspokoiła ją Rose. –
Tatuś taki już jest. Bierze te sprawy nazbyt
poważnie.

Kiedy kilka godzin później wrócił do domu
na noc, nadal był wzburzony i zdenerwowany.

– Nie wiem – powiedział, siadając do stołu.

– Nie wiem, czym sobie na to zasłużyłem. Nie
rozumiem, dlaczego w tym domu nie może być

tak samo, jak w każdym innym domu w tym kraju. Nie rozumiem, dlaczego to zawsze ja muszę zostać potraktowany szczególnie.

Rose nadskakiwała mu dyskretnie, ale nie mógł długo pozostać w centrum uwagi. Maggie szła na tańce, zabierała ze sobą Monę i Sheilę. Dziewczęta stroiły się do wyjścia i cały dom pulsował młodzieńczym podnieceniem. Również Rose została wciągnięta w wir przygotowań.

– Uważajcie na siebie – przestrzegł je, całując po kolei, gdy przyszły do niego, gotowe do wyjścia. – Żebyście nie przyniosły wstydu sobie ani rodzinie.

– Nie przyniesiemy, tatusiu.

– Bawcie się dobrze – życzyła im po prostu Rose.

Po ich wyjściu dom pogrążył się w ołowianej ciszy, która nie odbijała niczego oprócz siebie samej i którą tylko raz przerwał dźwięk zdejmowanych butów, gdy Moran wcześniej kładł się do łóżka.

Nazajutrz rano obudził je monotony terkot kosiarki dobiegający z dużej łąki. Moran zaczął kosić. Będzie potrzebna każda para rąk. Skończyła się wakacyjna labá. Dom ogarnęła gorączka sianokosów i strach przed załamaniem pogody, nim zdążą zebrać wszystko co do źdźbła.

Duża łąka została skoszona. Kiedy zasiedli

do późnego śniadania, Moran zapowiedział dziewczętom, że od tej chwili obowiązuje zasada „wszyscy na pokład”. Cieszył się, że udało się bez przeszkód zakończyć pierwszy etap pracy.

– Byłoby wspaniale, gdyby utrzymała się pogoda – zauważyła Rose.

– Z tańców nic chyba dzisiaj nie będzie – przyciął im Moran. – Zresztą wieczorem będziecie zbyt zmęczone, żeby tańczyć.

– Jakoś to przeżyjemy! – Uśmiechnęły się w odpowiedzi.

Jak tylko słońce osuszyło rosę, wszyscy wyszli na pole, roztrzaskując widłami ciężkie splątane kępy trawy, które przeoczyła maszyna, i zagrabiając do środka, to co zostało na brzegach. Pod wieczór, kiedy trawa zaczęła nabierać trzeszczącej suchości siana, wydawało się, że łąką potrząsają lekkie ruchy dłoni. Nic nie wskazywało na to, żeby pogoda miała się załamać. Moran z powrotem przyczepił do traktora kosiarkę, skosił drugą i trzecią łąkę. Do zmierzchu przetrząsnęli większą część dużej łąki. Bolały ich wszystkie mięśnie i byli wdzięczni, że mogą się wreszcie powlec do domu.

– Dziś nie ma mowy o żadnych tańcach.

– Bez dwóch zdań – uśmiechnęły się w odpowiedzi.

Nazajutrz rano czuły się sztywne jak deska.

Najmniejszy ruch powodował nieznośny ból mięśni, ale w południe znowu były na polu. Rose i Michael przynieśli im herbatę i kanapki. Moran albo kosił kolejną łąkę, albo roztrząsał maszyną trawę o jedną łąkę przed nimi, ale kiedy Rose przyszła z koszykiem i kanką, dołączył do grupy dziewcząt w cieniu wielkiego buka.

– Nie ma rady, trzeba brać się za robotę – powiedział, kiedy już zjedli i odpoczęli.

Rose zebrała resztki kanapek z łososiem i z sardynkami z puszki. Dziewczęta podniosły się sztywno i wyszły z zielonkawego cienia na rozświetloną łąkę. Maggie i Mona były dobrymi robotnicami. Pracowały w milczeniu, prawie nie podnosząc wzroku. Sheila nienawidziła harówki w polu. Narzekała na bąble na dłoniach i pod byle pretekstem wymykała się do domu, by uciec od monotonii wyczerpującej pracy. Chłopiec pracował zrywami, zwłaszcza kiedy pochwaliła go Rose. Kiedy indziej zatrzymywał się zniechęcony i brał się do roboty, dopiero kiedy Moran wrzasnął na niego, że może by coś zrobić, a nie tylko stał jak kołek, podczas gdy wszyscy inni wypruwają sobie żyły. Wówczas unosił gniewnie widły i udawał, że pracuje. Jedną Rose potrafiła się śmiać i przekomarzać z Maggie, pracując przy tym wydajniej niż każde z nich.

Przez pięć dni harowały w oślepiającym słońcu, wieczorami zbyt zmęczone, by myśleć o czymkolwiek poza łóżkiem. Skończyli wszystkie łąki poza ostatnią, kiedy wreszcie załamała się pogoda. Dziewczęta nie spodziewały się, że wystawią twarze na deszcz z uczuciem równie głębokiej wdzięczności. Przez cały dzień patrzyli, jak ulewa niszczy ostatnią łąkę.

– Do diabła z nią. I tak już jesteśmy zabezpieczeni. Jeśli z ostatniej łąki nie będzie siana, pójdzie na podściółkę. Gdyby nie wy, nigdy byśmy tyle nie zrobili. – Moran zdobył się na pochwałę.

– To nic takiego, tatusiu.

– To bardzo wiele. W pojedynkę jesteśmy niczym. Razem możemy wszystko.

Rose napaliła w kominku, by odpędzić przygnębiające działanie ulewy. Było im wspaniale, napawali się zbyt kownym ciepłem i obserwowali z zacisza jasno oświetlonego pokoju strugi deszczu pomiędzy drzewami. Kiedy oddalali się od ognia, by przejść do pozostałych pokoi, jednostajne kapanie spływającej z okapów wody otulało dom płaszczem spokoju.

Teraz mogły tańczyć z czystym sumieniem. W ogromnym, szarym namiocie przy moło w Carrick rozpoczął się cykl hucznych zabaw, towarzyszących regatom, ale Maggie pozostało

już tak niewiele dni wakacji, że wolała je spędzić w domu, gawędząc przy kominku z Rose i siostrami albo rozmawiając z Michaeliem pomiędzy rabatkami w jego ogródku; czasem, gdy na dłużej przestawało padać, szły w pole do Morana.

Kiedy nadszedł czas powrotu Maggie do Londynu, siostry czuły się sobie bliższe niż kiedykolwiek dotąd, połączone nie tylko więzami serdeczności, lecz także wspólnym szczęściem. Owa bliskość oddziaływała na każdą z nich z nie mniejszą siłą niż jej własne życie, chroniąc przed bólem indywidualnego istnienia. W trudnych chwilach w Londynie czy Dublinie wspomnienie domu będzie miało dla nich działanie uzdrawiające. Zapamiętane światło nad skoszoną łąką nabierze właściwości magicznych, smak sardynek pomiędzy kromkami chleba przywoła rozkoszny chłód zielonego cienia pod bukami; kiedy będą daleko, dom stanie się blaskiem i cieniem lata na całe życie.

– Jeśli słabo wypadłyśmy na egzaminach i jeśli nie znajdziemy niczego na miejscu – wypaliła Sheila, gdy zegnały się przed ogródkiem, a Moran czekał już w samochodzie z włączonym silnikiem, by odwieźć Maggie na stację – może wkrótce zobaczysz nas w Londynie.

Ostatnie dwa dni przed nadejściem wyników egzaminu Mona i Sheila nie mogły jeść ani spać z napięcia i niepokoju.

– Najgorsze jest czekanie – stwierdziła ze współczuciem Rose, widząc, jak grzebią w jedzeniu. – Kiedy otworzycie koperty, wszystko będzie dobrze.

– Nie wiem. Nie wiem – powiedziała niecierpliwie Sheila.

– Może być bardzo źle.

– Nie będzie. Najgorsze jest być zdanym na łaskę wyobraźni.

Żeby nie wypatrywać na pustej drodze listonosza, w dniu, kiedy miały nadejść wyniki, dziewczęta wybrały się, każda z osobna, na daleki spacer po polach, nie wytrzymały jednak długo w samotności; raz po raz wracały na drogę, ale ciągle była pusta. Gdy listonosz się wreszcie pojawił, musiały pójść za nim, poczekać, aż ostrożnie oprze swój rower o murek pod cisem i bez pośpiechu przejdzie ścieżką pomiędzy dwoma rzędami bukszpanów. Moran, który wypatrywał go nie mniej niecierpliwie niż córki, wyszedł mu na spotkanie do drewnianej furtki. Przez chwilę, która zdawała się wiecznością, rozmawiali przez furtkę, aż w końcu Moran ruszył z powrotem do domu, niosąc w wyciągniętej prowokacyjnie dłoni dwie koperty.

Nie będąc w stanie wytrzymać ani chwili dłużej, Sheila podbiegła do niego i zanim zdążył zareagować, wyrwała mu obie koperty, natychmiast rozdzierając swoją, drugą oddając Monie, która wydawała się niemal niezdolna do tego, by wziąć list. Moran, zaskoczony zachowaniem Sheili, nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia.

– Są dobre! Są nawet lepsze, niż myślałam... Przeczytaj. – Nie całkiem zdając sobie sprawę z tego, co robi, wcisnęła Moranowi papier. – Dlaczego nie otworzyłaś swojej? – odwróciła się do Mony. Wyjęła z jej rąk kopertę i ją rozerwała. – Tobie też poszło świetnie. – Uściskała siostrę, chwyciły się za ręce i zaczęły obtańcowywać ogródek, grożąc rabatkom stratowaniem. Obie wypadły dobrze, ale Sheili poszło wręcz znakomicie.

– To wspaniale – powiedziała Rose. – Jesteśmy z was bardzo dumni.

W odpowiedzi na ten wybuch radości Moran oświadczył twardo:

– Myślę, że trzeba to rozważyć z każdej strony.

– Co to znaczy rozważyć? – Głos Sheili zadrżał.

– Musimy się zastanowić, co z tego wyniknie. I na co nas stać. Robienie zbyt wiele

szumu przynosi pecha.

A jednak nie obeszło się bez szumu. Poszło im tak dobrze, że zakonnice zamieściły ich zdjęcia w miejscowej gazecie. Po powrocie z poczty Moran oznajmił, że Annie i Lizzie wychwalają je pod niebiosa.

– Powiedziałem im, że nie ma się nad czym rozwodzić. Nie miały nic do roboty oprócz nauki. Każdy potrafiłby tego dokonać, gdyby dać mu szansę. O mało mnie nie pobiły – oznajmił domownikom, wielce z siebie zadowolony.

Dziewczęta popatrzyły na niego z urazą. Czują, że je publicznie upokorzył.

– Pomyślą, że nie doceniasz własnych dzieci.
– Rose wyraziła to, co myślały.

– Gdybym to ja je pochwalił, Annie i Lizzie, będąc Irlandkami, musiałyby je skrytykować – argumentował Moran. – Ponieważ ich nie pochwaliłem, zrobiły to za mnie. W ten sposób będą znacznie lepszego zdania o moich córkach, niż gdybym je wychwalał. – Był zachwycony własną przebiegłością.

– Byłoby lepiej, gdyby nas chwalił bez względu na to, co mówią inni – zauważyła Sheila, kiedy zostały same z Rose, srodze zawiedziona, że ojciec, bez względu na to, czym się kierował, pomniejsza przed ludźmi ich sukces.

– Cóż, tatuś już taki jest – powiedziała Rose.
– Pewnie uważał, że sprawi wam tym przyjemność. Jest bardzo z was wszystkich dumny. Uznał, że jeśli okaże to publicznie, najpewniej wam zaszkodzi.

Mona otrzymała propozycję pracy w Ministerstwie Ziemi, Sheila zaś w Ministerstwie Finansów. Oprócz tego dostały szereg ofert zatrudnienia na bardziej podrzędnych stanowiskach, o które ubiegały się wcześniej.

– Tym, którzy mają, będzie dane za dużo. Ci, którzy nie mają, dostaną kopa w dupę – skwitował tę obfitość możliwości Moran. Uważał za oczywiste, że podejmą pracę w administracji państwowej.

I wtedy Sheili przyznano stypendium uniwersyteckie. Naraz cały świat stanął przed nią otworem.

– Ja nic nie mówię. Nie chcę nikomu stawać na zawadzie. Sama musi podjąć decyzję. Pomodlimy się dzisiaj, by Bóg wskazał jej właściwą drogę – powiedział Moran.

Zwlekała z wyborem do ostatniej chwili, w głębi serca wiedząc, że zostanie zmuszona do obrania bezpiecznej kariery urzędniczej. Poszła po radę do zakonnic. Siostra Oliver nalegała, by nie marnowała szansy pójścia na studia. Sheila przedstawiła nękające ją wątpliwości i obiekcje,

które w gruncie rzeczy sprowadzały się do braku poparcia ze strony Morana, ale zakonnica wymogła na niej, że się jeszcze zastanowi.

– Rozmawiałam z siostrą Oliver. Chce, żebym zapomniała o pracy w ministerstwie i poszła na studia – oznajmiła od progu.

– Poszła na studia? – powtórzył za nią Moran.

– Przyznano mi stypendium – odparła butnie.

– Czy to stypendium pokryje wszystkie wydatki?

– Większość.

– Skąd weźmiesz na resztę?

– Mogę pracować w czasie wakacji. – Czują, że grunt usuwa jej się spod nóg.

– Co chciałabyś studiować?

– Medycynę.

– Ile to zajmie czasu?

– Prawie siedem lat.

– Lekarzu, ulecz sam siebie – burknął pod nosem i wyszedł.

Sheila nie mogła wybrać gorszego kierunku. Księża i lekarze, a nie dawni bojownicy o wolność, cieszyli się największym prestiżem w kraju, o który walczył Moran. Fakt, że jego własna córka chciała studiować medycynę, odebrał jako bolesną zniewagę. Książ

przynajmniej płacił za swoją pozycję celibatem i modlitwą. Cała nienawiść Morana skupiła się na lekarzach.

Sheila wycofała się w gniewne milczenie. Były nawet takie chwile, że rozważała zwrócenie się o pomoc do kogoś z zewnątrz, ale nikogo takiego nie było. Maggie ledwie starczało na życie. Zastanawiała się, czy nie napisać do Luke'a – wyjęła nawet blok papieru listowego – jednak uświadomiła sobie, że oznaczałoby to otwartą konfrontację z ojcem. A na to nie potrafiła się zdobyć.

Przez cały ten czas Moran nie próbował wpływać na nią bezpośrednio, demonstrował jedynie całkowity brak poparcia dla jej aspiracji.

Dwa dni później oświadczyła zaczepnym tonem:

– Nie pójdę na uniwersytet. Przyjmę posadę w ministerstwie.

– Nic nie mówiłem, bo nie chciałem stawać ci na zawadzie, ale uważam, że to bardziej na twoją miarę.

– Że co?

– Co że co? Co że co, ty Świnio? – odpowiedział na jej złość agresją.

– O co tatusiowi chodzi? Nie zrozumiałam, co tatuś powiedział, to wszystko – szybko zmieniła ton, ale nie zamierzała ustąpić.

– Zrozumiałabyś, gdybyś chciała zrozumieć. Znasz stare powiedzenie, że najbardziej głuchy jest ten, co nie chce słyszeć.

– Przepraszam, tatusiu. Po prostu nie rozumiałam.

– Studia medyczne są bardzo kosztowne. Nawet stypendium na wszystko nie starczy. Wszystkich członków rodziny traktuję jednakowo. Nie podoba mi się, kiedy ktoś próbuje wynosić się nad innych.

– Nie miałam nic takiego na myśli. Powiedziałam tylko, co chciałabym robić – powiedziała łamiącym się, pełnym goryczy głosem.

– Jasne. To moja wina, że świat nie jest doskonały – równie gorzko poskarżył się Moran.

– To wszystko moja wina. Nieważne, co robię, zawsze są do mnie pretensje. W tej rodzinie tylko na to można liczyć.

Mona trzymała się z dala od tej awantury. Od początku zdecydowana była podjąć pracę w administracji państwowej. Przepełniona tłumioną agresją, była nienaturalnie uległa, skrzętnie ukrywając wrodzoną nieustępliwość z obawy przed brutalnymi następstwami.

Doprowadziwszy do tego, że Sheila również wybrała karierę w administracji, Moran, czy to wskutek niekonsekwencji, czy też z poczucia

winy, zaczął kokietować ją mglistymi, niezobowiązującymi propozycjami; jeśli naprawdę aż tak jej zależy na studiach medycznych, można się zastanowić, czy nie dałoby się tego zrobić, na pewno uda się znaleźć jakiś sposób, bez względu na koszt. Odmówiła. Wiedziała, że jak tylko spróbuje go złapać za słowo, natychmiast wycofa swoją ofertę.

Na tydzień przed wyjazdem dziewcząt do Dublina Moran zabrał je i Rose do miasta na zakupy w domu towarowym Bolesa.

– Kupcie wszystko, czego wam potrzeba. W Dublinie musicie chodzić z wysoko podniesioną głową. Kupujcie porządne rzeczy. Moranów nie stać na kupowanie tanich butów. Kiedy umrzemy, zostanie po nas trochę grosza.

Rose nie wzięła jego słów za dobrą monetę. Wydawała pieniądze bardzo ostrożnie.

– Kiedy możesz, wydajesz o połowę za mało – powiedział na widok rachunku.

Cierpiał wyraźnie, bo odebrał Sheili szansę studiowania, ale nie mógł postąpić inaczej, być może wskutek wyssanego z mlekiem matki strachu przed przytułkiem dla nędzarzy albo po prostu z powodu temperamentu.

– Niech się tatuś nie przejmuje – powiedziała Mona. – Zrobił tatuś dla nas wszystko, co mógł. O wiele więcej niż trzeba. –

Sheila przytaknęła jej z wigorem.

Wieczorem po wyjeździe Mony i Sheili do Dublina Michael zauważył z urazą:

– Wszystkie już sobie pojechały. – Kiedy wyjechał Luke, a potem Maggie, w domu pozostało dostatecznie dużo osób, by zagłuszyć smutek i pustkę, ale teraz, kiedy wyjechały wszystkie trzy, wydawał się zupełnie pusty. – To niesprawiedliwe.

– Obawiam się, że takie jest życie, Michaelu – powiedziała Rose.

– Jak sobie bez nas poradzą? – Łzy zmiękczyły jego rysy.

– Jak poradzimy sobie bez nich? – odparła Rose. – Dadzą sobie radę, mój Boże. Wszyscy musimy jakoś sobie radzić.

– Źle, że wyjechały.

Moran przeniósł wzrok z twarzy syna na twarz żony, ale jego własna pozostała bez wyrazu. Wstał z krzesła, wysypując paciorki różańca z sakiewki na dłoń.

– Lepiej będzie, jak zmówimy modlitwę.

Rozłożono gazety, odstawiono krzesła, ale na podłodze było tyle miejsca, że trzy klęczące sylwetki – Moran wyprostowany przy stole, Rose i Michael pochyleni przy krzesłach – nie tworzyły grupy, lecz zdawały się modlić każda z osobna. Przed Trzecią Tajemnicą nastąpiła krępująca

pauza, jakby czekali na Monę. Moran pośpiesznie odmówił Czwartą. Rose, po chwili wahania, podjęła Piątą. Na zewnątrz szalała burza i hulał wiatr, od czasu do czasu wyjąc w kominie, gnąc drzewa; ciszę po modlitwie wypełniło wzmagające się poczucie lęku. Po raz pierwszy dom wydał im się marnym schronieniem przed zawieruchą.

Modlitwa nie odegnała mroku nocy, targającego drzewami wichru ani bębniącego o szyby deszczu.

Nie czekając, aż Moran z namaszczeniem schowa do woreczka różaniec, Michael zaczął znowu narzekać.

– W domu jest okropnie, kiedy nikogo nie ma.

Rose popatrzyła na Morana, potem na chłopca, potem znów na Morana, ale zachowała milczenie.

– Wyjechały – powiedział Moran. – Dostały dobrą pracę. Spodziewam się, że niedługo zaczną przysyłać nam pieniądze. Będziemy mieć forsy jak lodu – oznajmił półzartem. Kiedy Michael zaniósł się płaczem, dotknął dłonią jego gęstych kędzierzawych włosów. – Za długo trzymałeś się ich spódnic. Pora, żebyś dorósł i nauczył się sam walczyć o swoje.

– Zrobimy herbaty. Jest ciasto z owocami,

chleb i dżem. Czuję się wykończona po tym wszystkim, co tu się działo w ostatnich dniach – oznajmiła Rose.

Kiedy Rose i chłopiec poszli spać, Moran jeszcze długo siedział samotnie przy dogasającym ogniu, nieruchomy, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Gdy wreszcie wstał, by udać się na spoczynek, wyglądał jak człowiek, który zapomniał, od czego zaczął, i pozwolił, by wszystkie myśli wypłynęły mu z głowy, pozostawiając jedynie mglistą świadomość, że on sam nadal istnieje.

Choć ogródek znajdował się w pełni późnowrześniowego przepychu, Michael zupełnie przestał się nim interesować; nie sprzątał opadających płatków, aż wreszcie kwiaty powiędły, zaścielając ziemię płataniną gnijącego zielska. Rose kilkakrotnie próbowała go zmotywować, by zrobił porządek z tym bałaganem, ale szybko tracił zapał, przerywał pracę, chwilę postał, zniechęcony, pomiędzy zapuszczonymi rabatkami i odchodził do innych zajęć. Dziewczęta chwaliły jego rękę do roślin. Zaangażowanie w uprawę ogródka okazało się zbyt słabe, by przetrwać bez ich pochwał.

Nie posiadał prawie żadnych zainteresowań. Nie grał w piłkę nożną ani żadne gry zespołowe, nie łowił ryb, nie polował, nie pływał. Wiedza i

wiadomości same wchodziły mu do głowy, utrzymywał się więc w czołówce klasy, właściwie wcale się nie ucząc. Poza matematyką nie wykazywał szczególnego zaciekawienia żadnym przedmiotem, a i upodobanie do matematyki zdawało się wynikać z faktu, że przychodziła mu bez trudu, podczas gdy inni musieli się porządnie nabiedzić, by ją zrozumieć. Wyjazd dziewcząt pozbawił go ulubionego towarzystwa i ulubionego zajęcia, bo kiedy Moran nie patrzył, uwielbiał się z nimi droczyć, a i one też były nie od tego. W wieku piętnastu lat osiągnął już swój pełny wzrost i chociaż nie miał dramatycznej urody ojca, był zdecydowanie przystojny. Po wyjeździe sióstr odkrył, że podoba się kobietom, z tym że wolał starsze od siebie. Po Moranie odziedziczył pewną pogardę do kobiet, choć jednocześnie szukał w nich oparcia, a przy tym umiał je sobie zjednywać. Szkopuł w tym, że nie miał pieniędzy. Żeby afiszować się z młodymi kobietami, potrzebne były pieniądze, a Moran nie był skłonny się nimi dzielić.

Zwrócił się więc do Rose. Dała mu trochę pieniędzy, jednak kiedy zaczął wracać do domu późno, stała się czujna. Dorabiał sobie w szkole, rozwiązując trudne zadania z matematyki za mniej bystrych kolegów. Po wyjeździe dziewcząt Moran popadł w apatię, mimo to jednak szybko

się zorientował, że Michael wraca do domu po nocy, i zareagował z całą stanowczością. Bez żadnego ostrzeżenia zaryglował wszystkie drzwi i okna i czekał na powrót syna.

Stuknięcie zasuwki w drzwiach od podwórza wyrwało go z drzemki. Słyszał, jak chłopiec sprawdza po kolei okna w całym domu. Podszedł cicho do tylnych drzwi, odsunął rygiel i gdy usłyszał kroki, otworzył je na oścież.

– Ładna pora – zauważył z sarkazmem.

– Byłem w mieście. Nie udało mi się złapać okazji i musiałem wrócić na piechotę.

– A co robiłeś w mieście?

– Poszedłem na tańce.

– Pytałeś, czy możesz?

– Nie.

– Co n i e? Co nie, Świnio?!

– Nie, tatusiu.

Moran gestem nakazał mu wejść. W wąskim przejściu chwycił go i z całej siły zdzielił w głowę.

– Pokażę ci wracać o tej porze! Pokażę ci wychodzić bez pozwolenia! Do tego pewnie jeszcze piłeś!

Oślaniany przez siostry, Michael nie był przyzwyczajony do bicia i na cios zareagował okrzykiem gniewu. Doszłoby do walki, gdyby nie zjawiała się Rose.

– Co to za pora na powrót, Michaelu! Tatuś

całą noc martwił się o ciebie.

– Nie mogłem złapać okazji. Uderzył mnie! –
wybuchnął chłopiec.

– To jeszcze nie koniec. Pokażę ci tak, że nie
zapomnisz do grobowej deski. Dopóki ja tu
rządę, nikt nie będzie wracał do domu w środku
nocy.

– Wszyscy są już zmęczeni. Kładźmy się
spać. Ta rozmowa może poczekać do rana –
powiedziała Rose.

Moran obrzucił ją wściekłym wzrokiem.
Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał
odepchnąć ją na bok i rzucić się na syna, ale się
pohamował.

– Dziękuj swojej szczęśliwej gwiazdzie, że
jest tu ta kobieta.

– Uderzył mnie – załkał chłopiec.

– Jak jeszcze raz wrócisz do domu o takiej
porze, dopiero zobaczysz, co to znaczy dostać.
Dopóki ja tu jestem, nie będziesz się tak
zachowywał.

– Wyprowadzę się – zagroził płaczliwie
Michael.

– Wszyscy są zmęczeni. Zobacz, która
godzina. Zamartwialiśmy się o ciebie, ja i twój
biedny tatuś – zbeształa go Rose. Udało jej się
jakoś zagonić obu do łóżek bez dalszych awantur.

– Porozmawiam z jaśniepanem rano –

zagroził Moran.

– Niech sobie nie wyobraża, że ujdzie mu to na sucho.

Nazajutrz Rose wyprawiła Michaela do szkoły wcześniej niż zwykle, ale to tylko odwlekło rozprawę z ojcem. W ciągu weekendu, kiedy przyjechały z Dublina Mona i Sheila, Michael przezornie trzymał się na drugim planie, odwlekając konfrontację. Moran był tak zaabsorbowany córkami i ich życiem w Dublinie, że ledwo go zauważał.

Wizyty córek, przyjeżdżających do domu z Londynu i Dublina, stanowiły dla wszystkich chwile wytchnienia. Były urozmaiceniem codziennej egzystencji, czymś, na co się czekało i rozpamiętywało, kiedy znów wyjechały. Przede wszystkim wnosily orzeźwiający powiew zewnętrznego świata, nieakceptowanego przez Morana, chyba że docierał za pośrednictwem jego własnej rodziny. Bez tego zapadliby się w siebie. Dla dziewcząt regularne przyjazdy do domu stanowiły okazję do odbudowania przejętego w nienaruszonej formie od Morana poczucia własnej wyższości, nieznanego jednak większego uznania w świecie, w którym żyły i pracowały. Owo poczucie wyższości, którego nigdy nie próbowały analizować, wystawione było na liczne ciosy i za każdym

razem, kiedy przyjeżdżały do domu, na nowo potrzebowało potwierdzenia. Gdy ojciec odbierał je ze stacji, sam jego widok wzmacniał w nich przekonanie, że są warte więcej od innych; ponownie umacniały się w tym, kiedy je całował na pożegnanie. Szeroki świat nie miał dostępu do Great Meadow. Był tylko Moran, ich ukochany ojciec; w jego cieniu, w czterech ścianach rodzinnego domu, czuły, że nigdy nie umrą; za każdym powrotem znowu stawały się pełnią, jednym ciałem: wyjątkowymi, trzymającymi się z dala od innych Moranównami.

– Chłopakowi wydaje się, że może wracać do domu, kiedy mu się żywnie spodoba. Ostrzegłem go raz i więcej ostrzegać nie będę. Całkiem możliwe, że puścił to mimo uszu, może będę potrzebował twojej pomocy, żeby przemówić mu do rozumu – zwierzył się Moran Sheili podczas jednej z tych weekendowych wizyt. Słuchała, kiwając głową. Wolą nie wiedzieć, dokąd zmierza ta przemowa. Jutro będzie z powrotem w Dublinie.

– Raz na zawsze przemówić mu do rozumu.
– Zabrzmiało to jak odległy grzmot, który mógł zapowiadać dowolną pogodę.

Ostrzeżenie, którego Moran udzielił synowi tamtej nocy, kiedy zamknął przed nim drzwi i okna, odniosło jedynie ten skutek, że Michael

zaczął knuć. Tyle lat żył osłaniany przez innych, że strach przez ojcem nie zdążył wrosnąć głęboko w jego duszę. Kiedy zamierzał wrócić późno, wymyślał jakiś powód. Moran był często zmęczony i nie chciało mu się czekać, żeby sprawdzić, o której godzinie Michael wraca. Ale największy problem stanowił brak pieniędzy.

– Wydaje ci się, że jestem zrobiony z pieniędzy. Wydaje ci się, że pieniądze rosną na drzewach. Pewnie sądzisz, że walają się na podwórku i zgarniam je grabiami jak słomę na podściółkę. W twoim wieku nie miałem ani grosza. W tym domu nikt nigdy nie miał takich pieniędzy, o jakie prosisz.

– W szkole wszyscy mają więcej pieniędzy ode mnie – odpowiedział z urazą Michael.

– Widocznie ich durni ojcowie mają więcej pieniędzy niż rozumu. Mówię ci, nie masz po co do mnie przychodzić. Zapamiętaj to raz na zawsze.

Wobec tego Michael zwrócił się do Rose. Znów zaczęła dawać mu drobne sumy. Była bardzo przywiązana do chłopca, chociaż gdyby nie źrebięca niezgrabność ruchów, ze wzrostu i siły można by już go wziąć za dorosłego mężczyznę.

Wszyscy czekali na Boże Narodzenie. Każdy kolejny wieczór zbliżał ich do świąt. Przyjadą

dziewczęta i znowu będą wszyscy razem pod jednym dachem. Monotonia jednakowych wieczorów wzmagala niecierpliwość.

Rose już zrobiła śliwkowy pudding. Czekał, zawinięty w wilgotną gazę, w puszcze po herbatnikach na kredensie. Tydzień przed Bożym Narodzeniem Moran wciągnął przez frontowe drzwi ogromny konar obsypany czerwonymi jagodami i zostawił go na środku pokoju.

– Co to tutaj robi? – spytała z przerażeniem Rose.

– Nie kazałaś mi czasem rozejrzeć się za jagodami ostrokrzewu? Bardziej czerwonych już nie znajdziesz. Nie mam pojęcia, jak uchowały się przed ptakami.

– Prosiłam o kilka gałązek, a nie całe drzewo.

– Łatwiej ściąć gałąź niż wydłubywać spomiędzy kolców jagody. Nie możesz po prostu wyrzucić tego, co zostanie?

– Och, tatusiu, potrzebujemy tylko kilka gałązek do przyozdobienia okien i obrazów. Jakie te jagody piękne! Szkoda niszczyć cały krzak dla kilku jagódek.

– I tak zezarłyby je ptaki. Lepiej mieć za dużo niż za mało. – Łagodna krytyka obsypanego czerwonymi jagodami drzewka leżącego na

środku podłogi sprawiła mu wyraźną przyjemność.

Żeby pozbyć się ogromnej gałęzi, Rose, nie zwlekając, przystąpiła do dekorowania domu. Pomagał jej Michael. W zaledwie godzinę wpletli małe gałązki ostrokrzewu we wszystkie sznurki od obrazów i ułożyli wzdłuż parapetów i półek.

– Tatuś nigdy nie robi nic na pół gwizdka – skomentowała ze śmiechem Rose, gdy wyciągali konar na zewnątrz. Zostało na nim dość jagód, by udekorować kilka domów. Śmiali się pobłaźliwie, rozbawieni szerokim gestem Morana.

W tamtych tygodniach, wypełnionych oczekiwaniem na przyjazd sióstr, Michael wrócił do roli dziecka. Trwał w zawieszeniu na niesprecyzowanej wysokości pomiędzy pragnieniem, by otaczano go troską i pieszczono jak dziecko, a chęcią, by wypuścić się na ksiuty. Maggie przyплыnęła do Dublina wieczorem na dzień przed Wigilią. Spędziła dzień w Dublinie i wszystkie trzy przyjechały do Great Meadow popołudniowym pociągiem.

Moran wyjechał na stację sam. Michael stał przed domem w mroźną zimową noc, dopóki sznur rozświetlonych prostokątów, ciągniętych przez lokomotywę spalinową, nie przemknął z łoskotem przez tonącą w ciemnościach Wyżynę.

– Przejechał pociąg! – wbiegł z krzykiem do domu. Nie bacząc na mróz, co chwila znowu otwierał drzwi. Rose przejęta i zarażona jego wzruszeniem nie miała serca nakazać mu, by je trzymał zamknięte. – Już są! – zawołał, jak tylko zobaczył na krótkim podjeździe światła samochodu. Zostawiając szeroko otwarte drzwi, wybiegli witać dziewczęta. Przy małej drewnianej furtce były łzy i uściski, stęsknione pocałunki, wykrzykiwanie imion, Sheila, Maggie, Michael, Mona, Rose, Rose, Rose, Rose, a każde z nich wyrażało radość ze spotkania. Przyjechały do domu, przyjechały do domu na święta Bożego Narodzenia. Rodzina Morana znów była w komplecie, prawie w komplecie, pod jednym dachem. Wróciły do tego, co znały najlepiej na świecie.

– Patrzcie, co wam przywiozłem na święta. – Moran roześmiał się z dumą, kiedy wreszcie weszli do środka.

– Trzy kobitki jak się patrzy.

Rozpędzone słowa wypadały z ust pary gaduł, Maggie i Sheili, zderzały się ze sobą, śmiały niecierpliwie z napotkanej przeszkody, by za chwilę znowu popłynąć wartkim strumieniem. Mona mówiła cicho albo milczała.

Pijąc herbatę, uspokoili się stopniowo i zaczęli mówić normalnie. Nie musieli wiele

robić, wystarczyło wypełniać radosne rytuały: przygotować indyka, zdjąć zasłony z okien od frontu i zapalić w każdym z nich pojedynczą świecę, uklęknąć razem do różańca, ubrać się i przyszykować do wyjścia na pasterkę. Uklękli na podłodze i Moran zaczął: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, ofiarujemy tę przenajświętszą modlitwę różańcową w intencji jedyne go członka rodziny nieobecnego dziś wieczór w domu”. Dramatyczne podkreślenie wyjątku skierowało nieprzyjemnie uwagę na zatrważającą opresyjność łączącej ich więzi.

Trzy dziewczęta, Rose i Michael wcisnęli się do małego samochodu, którym Moran zawiózł ich na pasterkę. Siedzieli jedno drugiemu na kolanach i żartowali: „Zdaje mi się, że przytyłaś od wyjazdu do Dublina”, „Masz jeszcze bardziej kościste kolana niż przedtem”, pokrywając śmiechem i docinkami niewygodę. W oknach wszystkich domów, które mijali po drodze, płonęły pojedyncze świece, migoczące punkciki światła w morzu ciemności aż po pierwsze stoki gór.

Kiedy przejechali most, kościół wynurzył się z mroku niczym rzeźbiście oświetlony okręt. Było coś cudownego i wzruszającego w zostawieniu samochodu na poboczu i wspólnym pójściu przez mróz i noc do wielkiego, jasnego kościoła.

Dziewczęta w milczeniu wzięły się za ręce i przysunęły bliżej do siebie. Kiedy przeszli przez bramę, podeszło do nich kilkoro znajomych, by je powitać w domu i życzyć im wesołych świąt, dodając szeptem, jak wspaniale wyglądają, a one kłaniały się i rozdawały uśmiechy. Z pełnego po brzegi kościoła dobiegał gwar ożywionych głosów. Wiele osób przyjechało do domu na święta, tak jak córki Morana. Każda z nich zostanie wyłowiona z tłumu i dokładnie obejrzana, kiedy będzie odchodzić od ołtarza po przyjęciu komunii, a potem obgadana przy niezliczonych świątecznych stołach: kto przyjechał do domu, gdzie pracuje i przy czym, jak wygląda, do kogo jest podobny i w co był ubrany w kościele. Będąc ładnymi dziewczętami w pierwszym rozkwicie młodości, trzy Moranówny były gwiazdami pasterki.

– Zostawię was, żebyście sobie popaplały – powiedział pobłaźliwie Moran, dopijając herbatę, którą zaparzyły po powrocie z kościoła. – Chociaż radziłbym wam, żebyście nie siedziały za długo.

– Myślę, że pójdziemy spać – oświadczyła z wigorem Sheila, niezwłocznie dodając: – Widziałyście Mary Fahey?

Poprowadziło to do kolejnych osób, z ich ubiorami, posadami i wyglądem, aż wreszcie

Rose powiedziała z tym swoim przeproszającym uśmiechem:

– Mogłybyśmy tak przez całą noc, a tatuś będzie zachodził w głowę, o czym tyle czasu gadamy.

Po jej odejściu rozmowa przestała się kleić i na hasło Sheili: „Myślę, że trzeba iść spać” – poszły na górę.

Z powodu pasterki nazajutrz mogli dłużej pospać. Kiedy wstali, wszystko potoczyło się zgodnie z góry ustalonym planem. Nie będzie żadnych niespodzianek, przyjemnych ani niemiłych. Tego dnia nie składano ani nie przyjmowano wizyt – w Boże Narodzenie nie wypadało wychodzić z domu – i dzień piął się powoli ku wystawnemu obiadowi z nadziewanym indykiem, by potem osunąć się znowu w spokojny wieczór przy kartach.

– Przypuszczam, że nie ma po co wypytywać cię o tego twojego brata? – powiedział Moran z zakłopotaniem. – Każdy normalny człowiek spędza Boże Narodzenie z rodziną. – Jakby z szacunku dla świąt, chciał jak najszybciej odfajkować wszystkie nieprzyjemne sprawy.

– Nie widuję go często. Mieszka na drugim końcu Londynu. Ode mnie jedzie się tam metrem przeszło godzinę – powiedziała ostrożnie Maggie.

– Co zrobił ze sobą w święta?
– Mówił, że wybiera się do Kentu. Ma tam przyjaciół.

– Co za jedni?
– Ludzie, z którymi pracuje.
– Czyli że ma wreszcie przyzwoitą pracę?
– Założył firmę ze znajomymi. Skupują stare domy. Mówi, że za dużo czasu spędza teraz w biurze. Wolałby więcej jeździć po budowach.

– To wszystko wyjdzie mu jeszcze nosem. Jest zależny od zbyt wielu ludzi. Na świecie roi się od oszustów, ale jaśniepan oczywiście nikogo nie słucha.

– Niewiele o tym mówi.
– Boi się, żebym się czegoś nie dowiedział. Jak teraz wygląda?

– Tak samo, jak zawsze.
– No cóż, cieszę się, że zadajesz sobie trud, żeby podtrzymywać z nim kontakty, mimo że zachowuje się, jakby już nie należał do tej rodziny. Wszyscy członkowie mojej rodziny są równi, nawet jeśli się im wydaje inaczej. Nikt nie będzie gorszy ani wykluczony. Nawet jeśli sam chce się wykluczyć.

Pokój był pełen apetycznych woni. Oba stoły zostały odsunięte od okna, zestawione razem i przykryte białym obrusem. Rozłożono talerze i sztućce. Pośrodku stołu pojawił się ogromny

brązowy indyk. Wybierali ze środka złociste nadzienie z tartej bułki przyprawionej cebulą, pietruszką i pieprzem. Do tego małe pieczone kartofle i groszek, a na deser wilgotny, nasączony brandy pudding śliwkowy. Z syfonów o srebrnych dziobkach tryskała do szklanek brązowa lemoniada.

– Jestem taki głodny, że mógłbym zjeść niemowlę – oświadczył Moran i wszyscy się roześmieli. Siedział u szczytu przedłużonego stołu. Przed ślubem z Rose zawsze jadał samotnie przy dużym stole. Posiłek rozpoczęła i zakończyła modlitwa.

Kiedy już zjedzono, pozmywano i sprzątnięto, trzeba było jakoś przebrnąć przez resztę dnia. Mona i Sheila czytały. Pozostali grali w oczko na drobne stawki. Najwięcej wygrał Moran. Przy herbacie po skończonej grze w karty słychać było tłumione ziewanie, Moran ziewał głośno i szeroko dla komicznego efektu. Po zmówieniu różańca wszyscy z ulgą poszli do łóżek, wcześniej niż zwykle.

Jakby dla zadośćuczynienia za izolację w Boże Narodzenie, w Dniu Świętego Stefana wszystkie drzwi stały otworem. Od rana do wieczora ludzie gromadnie krążyli od domu do domu, przynosząc prezenty albo ciepłe słowa, albo po prostu zaglądając na chwilę. Dom

Morana nigdy nie należał do tłumnie odwiedzanych, za to dziewczęta fetowano wszędzie, gdzie tylko się pojawiły. „Przyjechałyście do domu! Przyjechałyście do domu na święta!” i zamiast szybkiego uścisku rąk, dłonie długo przytrzymywane w dłoniach na znak siły uczucia. Michael towarzyszył dziewczętom podczas niektórych wizyt, ale siłą rzeczy pozostawał w ich cieniu. Znudzony okazywanym mu lekceważeniem, wrócił do domu, do Rose, przepełniony poczuciem krzywdy. We dwoje otwierali drzwi kolejnym grupom przebierańców, dzieciaków z sąsiedztwa wystrojonych w karnawałowe kostiumy, z maskami albo barwami wojennymi na twarzach. Mało które potrafiło tańczyć, śpiewać albo grać jak należy. Na ogół wykonywali rozpaczliwą parodię tych trzech elementów, energicznie potrząsając puszką na datki. Michaela zaczęła bawić ich nieudolność i już w znacznie lepszym nastroju próbował rozpoznawać ukryte pod maskami buzie. Pomiedzy jedną a drugą grupą dzieciaków przyjechali ciężarówką z kopalni w Arignie prawdziwi chłopcy ze strzyżykiem. Dziewczęta dopilnowały, żeby być wtedy w domu. Nie wszyscy chłopcy ze strzyżykiem zadali sobie trud, żeby się przebrać. Wysypali się z ciężarówki przy dźwiękach pojedynczego

akordeonu, do którego szybko dołączyły kolejne akordeony, skrzypce, piszczałki i bęben. Tancerze w podskokach przemierzyli ścieżkę, chwycili Rose i dziewczęta i zaczęli obtańcowywać je wokół pokoju, idealnie zestrojeni z muzyką. Słysząc było piski, śmiech, prowokacyjne przyśpiewki. Gwar ucichł jak nożem uciął, gdy zabrzmiała stara pieśń, śpiewana czystym tenorem prawie bez akompaniamentu; a potem znowu muzyka, taniec i błazenada. Zbierając się do odjazdu, chłopcy z Ardcarne gorąco namawiali wszystkich do przyścia wieczorem na wielką zabawę taneczną w stodole. Jak co roku pieniądze, które zebrali po domach, pójdą na whiskey, porter, lemoniadę, kanapki, ciastka i herbatę. Zagrają ci sami muzycy. Będzie picie, wyzerka i tańce. Miniaturowe przyjęcie skończyło się tak samo nagle, jak się zaczęło, szeptami, wyraźnymi słowami podziękowań i ostrzegawczymi: Tylko pamiętaj, że masz przyjść; melancholijnie jęknęły pakowane instrumenty.

Rose i dziewczęta próbowały namówić Morana, by poszedł z nimi na zabawę organizowaną przez chłopców ze strzyżykiem w stodole, ale ten jeden raz, kiedy był tam z Rose, wystarczył mu aż nadto.

– Jest czas, żeby tańczyć, i czas, żeby siedzieć w kącie. Dlaczego sama z nimi nie pójdziesz? – zapytał.

– Wiesz, że nie pójdę bez ciebie, tatusiu. I wiesz, że będą tam ludzie dużo starsi od nas.

– Ich sprawa – odparł i szurając nogami, wyszedł z pokoju.

Wyglądały pięknie, podniecone i wystrojone, ale najbardziej podniecony i najstaranniej ubrany był Michael. Dziewczęta nie zwracały na niego uwagi. Był wysoki, lecz przy tym gibki jak trzcina i nadal widziały w nim dziecko. Moran zawiózł ich na tańce. Wróć piechotą albo złapią okazję; perspektywa spotkania chłopca, który odprowadzi je do domu, wprowadzała aspekt seksualnej ekscytacji, która nie znajdowała ujścia w słowach.

Brama i zamknięta na cztery spusty stróżówka tonęły w mroku. W wielkim domu nie świeciło się w żadnym oknie, ale na jego tyłach sznury nagich żarówek podwieszane na słupach oświetlały ogromną stodołę pomiędzy szopami. W środku zabawa już się rozpoczęła. Na zbitym z desek podwyższeniu grało trzech muzyków, którzy wcześniej tego samego dnia przyjechali do ich domu ciężarówką z kopalni węgla w Arignie, ale nikt jeszcze nie tańczył. Przy stołach, ustawionych na kozłach wzdłuż ścian, stały

grupkami dziewczyny, popijając herbatę i rozmawiając. Starsze kobiety piły whiskey z mężczyznami w swoim wieku. Wokół beczek z porterem gromadzili się młodzi mężczyźni. Z roku na rok prawie nic tu się nie zmieniało; wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak w dniu, kiedy Moran zabrał Rose na tańce.

Michael, ze szklanką mocnego portera w dłoni, od razu przyłączył się do towarzystwa. Żadna z Moranówien nie piła. Swoboda, z jaką Michael krążył pomiędzy grupkami mężczyzn, zdumiała je nie mniej od tego, że w ogóle pije. Ich mały braciszek dorósł, a one nie zauważyły nawet kiedy. Podochocony alkoholem, zachowywał się coraz hałaśliwiej. Dorośli mężczyźni odwracali się plecami od tych manifestacji męskości. Podchwyciwszy przez salę oburzone spojrzenia sióstr, pokiwał w ich stronę szklanką i zaczął lustrować kobiety.

Nie był dobrym tancerzem, ale trzymał się prosto i poruszał z wdziękiem, tak samo jak niegdyś jego ojciec, i ofiarował Neli Morahan całą swoją uwagę. Po skończonym tańcu bezczelnie zaprowadził ją przez salę do stołu z whiskey i porterem. Ona, w tym samym duchu, poprosiła o whiskey. Córki Morana uznały jej zachowanie za bezwstydne, a nawet rozwiązały. Nie dbała o to. Wiedziała, że uważają się za

lepsze od Morahanów z Wyżyny Trzymała ich małego braciszka w swych doświadczonych rękach. Nie uląkł się dezaprobaty w ich oczach, wznosił szklankę z whiskey i wypił przez salę ich zdrowie, zmuszając je, by się odwróciły, zbijając się w ciasną gromadkę.

Neli Morahan urodziła się na małej farmie, wysoko na stokach Wyżyny. Jej ojciec, Frank Morahan, przez cały rok pracował na wielkich farmach za dniówkę. Musieli sami uprawiać swoje nędzne zagony, choć w niedzielę i wieczorami pomagał im, na ile starczało mu sił. Patrzono na nich z góry. Żadne z dzieci nie było szczególnie bystre, nie mieli więc szansy wybić się przez naukę. Neli poszła do miasta; najęła się na służącą w domu doradcy prawnego, gdzie poznała smak pierwszych seksualnych pieszczot z synami swego chlebodawcy przyjeżdżającymi na wakacje ze szkoły; nie wzbudziły bynajmniej w niej wstrętu. Następnie pracowała jako sprzedawczyni w małym miasteczku pod Dublinem, gdzie miała cały tabun chłopców z domów szeregowych, aż wreszcie ciotka wzięła ją ze sobą do Nowego Jorku. Tam ujawnił się jej rodzinny zapal do pracy, najpierw w wytwórni lodów, następnie w pralni chemicznej, a potem w restauracji. Odkryła, że dzięki pogodnemu usposobieniu i energii jako kelnerka może przez

tydzień zarobić więcej, niż w Irlandii zdołałaby zaoszczędzić przez rok. Przez jakiś czas żyła ze starszym mężczyzną, poczuła się jednak wykorzystana, kiedy zrozumiała, że on nie zamierza spełnić swoich obietnic. Z właściwym sobie podejściem praktycznym porzuciła go bez żalu i urazy. Miała teraz dwadzieścia dwa lata i przyjechała do domu na parę miesięcy, z własnymi pieniędzmi. Kupiła ubrania i buty braciom i siostram, i trochę rzeczy, które mogły się przydać w domku na Wyżynie. Sobie kupiła mały samochód, który wyjeżdżając, zamierzała zostawić rodzinie. Przede wszystkim chciała zafundować nieco rozrywki ojcu, a przy okazji i sama się zabawić. Było jej równie daleko do brzydoty, jak i do wielkiej urody, lecz była młoda, silna i pełna temperamentu. Michael Moran ledwie skończył piętnaście lat, ale był przystojny i miał seksapil. Przez całe dzieciństwo, mimo znużonych zapewnień ojca, że to nieprawda, wierzyła, iż farmy takie jak Moranów opływają we wszelkie bogactwa. Kiedy więc Michael przeszedł przez salę, by ją poprosić do tańca, było jasne, że wyjdą razem.

– Powinna mieć dość oleju w głowie, żeby nie latać za smarkaczami – warknęła ze złością Maggie.

– Oby to nie dotarło do uszu tatusia –

powiedziała Sheila.

Utworzyły zamknięty, zagniewany krąg, który mogli rozerwać jedynie mężczyźni podchodzący, by poprosić którąś z nich do tańca. Michael błaznował z Neli po całej sali. Siostry starały się nie patrzeć w ich stronę, a kiedy w końcu rozejrzały się za nimi, okazało się, że ich nie ma. Chociaż każda z nich otrzymała liczne propozycje odprowadzenia do domu, wyszły same i razem. Po ostatnim tańcu, gdy zmęczeni muzycy przygotowywali się do odegrania hymnu Irlandii, tylko Sheili starczyło agresywności, by przejść przez salę i spytać Michaela:

– Wracasz razem z nami?

– Nie, mam własną podwózkę. Znasz Neli Morahan?

Nie podając jej dłoni, Sheila skinęła sucho głową i odeszła.

– Co ją ugryzło?

– Ukradłeś jej małego braciszka – odpowiedział i zawołał w ślad za siostrami: – Nie zapomnijcie zostawić otwartych drzwi od podwórza.

Wyszły, zbite w ciasną, dyszącą oburzeniem gromadkę, gonione przez jego śmiech.

Samochód Neli parkował na podjeździe. Był czarny, lśniący i pachniał w środku nową skórą. Dwie siostry Neli i jej brat usiedli z tyłu. Michael

obok Neli, z przodu. Miał piętnaście lat i cały świat u swoich stóp.

Przez całą drogę gawędził z pasażerami z tyłu. Neli prowadziła w milczeniu. Odwiozła rodzeństwo do domku na Wyżynie, a kiedy wysiedli, zawołała: – To nie potrwa długo. Podrzucę tylko Michaela.

Przed cisem przy bramie skręciła w nieużywaną drogę i wyłączyła światła. Już w czasie jazdy jego dłoń błędziła pomiędzy jej udami. Kiedy Neli przylgnęła do niego, za bardzo się pospieszył, ale już po chwili jego młode prężne ciało stało się całkowicie posłuszne jej woli, czyniąc tylko to, co chciała, i nic więcej. Gdy osiągnął rozkosz pierwszego zaspokojenia, pozwoliła mu myśleć, że dokonał tego samodzielnie; zmierzwiła mu włosy, obsypując pocałunkami i mówiąc: „Ślicznie pachniesz. Masz taką miękką skórę”.

Tylne drzwi nie były zamknięte na rygiel. Dom tonął w ciemnościach i ciszy. Michael z butami w ręku wsunął się bezszelestnie do swojego pokoju. Ale rankiem musiał zmierzyć się z gniewem i oburzeniem sióstr. Przyjął je z podniesionym czołem i nie bez dumy. Nie mogły dłużej traktować go jak dziecko. Jadł śniadanie, obojętnie słuchając ich wymówek. Nie mogły mu nic zrobić. Nie mogły zaryzykować powiedzenia

o tym Moranowi. Odcięcie od świata, w jakim funkcjonował dom, stanowiło gwarancję, że Moran nie dowie się z innego źródła. Rose roześmiała się serdecznie, kiedy jej powiedziały, co się wydarzyło na tańcach.

– Biedny Michael znów spadł na cztery łapy. Kto by pomyślał?

– Weź pod uwagę różnicę wieku. Staniemy się pośmiewiskiem – powiedziały z gniewem.

– Za kilka miesięcy wszyscy o tym zapomną. Neli wróci do Ameryki i będzie po sprawie; tylko nie zwracajcie tym głowy tatusiowi – poradziła.

– Tatuś nauczyłby smarkacza moresu.

Cała ich złość skupiła się na Neli Morahan, która przezornie nie wchodziła im w drogę. Siostry bywały tylko na lokalnych zabawach tanecznych. Neli zabierała Michaela do Longford, gdzie nikt ich nie znał.

Skończyły się tygodniowe ferie świąteczne. Dziewczęta wróciły do pracy. Dom znów opustoszał. Zaczęła się szkoła.

Rano Rose zawołała Michaela, jak zawsze, w każdy dzień szkoły, odkąd z nimi mieszkała, i dała mu śniadanie.

– Coś mi wyglądasz na zmęczonego, Michelu – zażartowała, ale on w milczeniu tarł oczy, nie mając siły odpowiedzieć.

Tego ranka, jak zawsze, wyszedł do szkoły,

ale do niej nie dotarł. Na skraju miasta czekała na niego Neli. Pojechali do Strandhill, nad ocean. Zaparkowali obok starej armaty ustawionej na drewnianej lawecie, na zupełnie pustej ulicy.

– Latem nie ma tu gdzie szpilki wcisnąć – powiedział.

Odplyw odsłonił skały, ale fale były wielkie jak domy, a kiedy wyłączyli wycieraczki, biały deszcz, bębniący o przednią szybę samochodu, całkowicie przesłonił widok. Neli włączyła je znowu. Boczny wiatr kołysał autem. Wszystko to wydawało mu się ogromnie ekscytujące i powiedział Neli, jak fajnie jest teraz w porównaniu z tymi wszystkimi wakacjami, kiedy Moran wynajmował na dwa tygodnie domek i zjeżdżali tutaj całą rodziną.

– Jak mogłeś się nudzić nad morzem? My zawsze musieliśmy pracować latem w polu – zdziwiła się.

– To dlatego, że o n tu był. – Ryknął śmiechem, wyobrażając sobie, że powiedział coś śmiesznego; a potem, znowu zaczynając się nudzić, sięgnął po nią.

– Nie lubię tego robić rano – powiedziała.

Odsunął się nadąsany i przez półkole pozostawiane przez wycieraczki na zalanej deszczem szybie zapatrzył się na wzburzony

ocean i długą plażę, gdzie jeszcze nie tak dawno przyglądał się, jak ten sam ocean zmywa jego zamek z piasku, który zbudował za pomocą łopatk i wiaderka. Ku niezadowoleniu Neli położył nogi na desce rozdzielczej i nie chciał ich zdjąć. Po deszczu natychmiast się przejaśniło, jakby to był zupełnie inny dzień. Fale połyskiwały w promieniach słabego zimowego słońca. Wyszli z samochodu i czepiając się poczerwiałych skał, zeszli nad wodę. Wiatr, dmący wzdłuż płaskiej plaży, targał ich włosy i szarpał ubrania. Michael wygłupiał się i baraszkował dookoła niej, próbował iść tyłem pod wiatr, aż o mało się nie przewrócił, a potem chwycił ją za rękę i oboje pobiegli pod wiatr. Im bliżej cypla, tym marsz stawał się łatwiejszy. Na cyplu osłoniły ich wysokie wydmy graniczące z polem golfowym; jakby patrzyli z zacisznego pokoju na szalejącą zawieruchę, przez którą dopiero co udało im się przebrnąć. Kiedy tym razem po nią sięgnął, padła mu w ramiona. Jej włosy i twarz smakowały solą morską. Pozostawili za sobą cichą plażę i czepiając się kęp szorstkiej trawy, niezdarnie wspięli się na wydmy. Wilgotny piasek wsypywał im się do butów. W zagłębieniu pomiędzy wysokimi wydmami rozłożyli swoje płaszcze od deszczu i zrzucili obuwie. Półkłęząc, ściągnęła bieliznę i

przytuliła się do niego, żeby się ogrzać. Zsunął ubranie i wszedł w nią, tak jak go nauczyła pierwszej nocy, bardzo delikatnie, a nawet trochę nieśmiało, hamując straszliwe pragnienie. Wiatr gwał nad nimi czubki najwyższych traw, gdzieś daleko szumiał ocean. Kiedy wszedł w nią po raz trzeci, była już gotowa szukać własnej rozkoszy, a on był w stanie poczekać. Przeraziła go drzemiąca w niej siła. Krzyknęła, chwyciła go za biodra i zmusiła, by przyspieszył; a kiedy było po wszystkim, otworzyła oczy, ujęła w dłonie jego twarz i pocałowała szybko, z wdzięcznością, której nie zrozumiał. Słabe zimowe słońce stało wysoko na niebie. Zmarznięci i mokrzy, ubrali się, wytrząsnęli piasek z butów, otrzepali płaszcze i zeszli na dół, na brzeg. Na długiej pustej plaży nie było nawet psa uganiającego się za patykiem, tylko kilka ptaków spacerowało statecznie przy linii wody, która teraz sięgała znacznie wyżej. Jakby jakiś moralny obowiązek nakazywał im dokończyć rozpoczętą wyprawę, zawrócili, minęli armatę i doszli aż do ruin kościoła na cyplu po drugiej stronie zatoki. Pomimo swojej młodzieńczej brawury Michael się niepokoił. Za kilka godzin, nie bacząc na splendory nowo odkrytej męskości, będzie musiał wrócić z tornistrem do Morana. Neli miała własne zmartwienia. Za kilka tygodni

będzie z powrotem w Bronksie. Michael był zbyt młody. Chłopski rozum mówił jej, że należy brać to, co można, póki można, ale to nie było takie proste. Zawsze chciała więcej. Mieli dla siebie całą długą pustą plażę Strandhill i cały dzień. Nie ma nic trudniejszego do uchwycenia niż dzień.

– Myślisz, że to było bezpieczne? – zapytał.

– Typowy mężczyzna, pytać o to teraz – powiedziała Neli. – Nie masz się czego obawiać.

Na skalach pod pozbawionym dachu kościołem zbierali czerwone wodorosty i zbadali kilka sadzawek przejrzystej wody pomiędzy kamieniami. Pływało w nich mnóstwo drobnych żyjątek, ale nie było ani jednej ryby.

– Nie rozumiem cię, kiedy mówisz, że się tu nudziłeś. To nie była odmiana?

– Boże. Szkoda, że tego nie widziałaś. Przywoził całą ciężarówkę torfu, żeby zapłacić za pobyt. Musieliśmy sprzedawać go po domach. Przecież o n nie będzie tego robił.

– To chyba nic wielkiego, kiedy jest się dzieckiem?

– Chodzenie od drzwi do drzwi było koszarne. – Ujawnił poczucie odrębności, które wpoił im ojciec, najwyraźniej niełatwiające sprzedawania torfu. – Miałem ochotę zapaść się pod ziemię.

Żeby wrócić do samochodu, musieli znów

brnąć pod wiatr. Byli głodni. Wszystkie lokale przy promenadzie pozamykano na zimę, pojechali więc do Sligo. Na Castle Street znaleźli tanią restauracyjkę, gdzie zjedli hamburgery z chlebem i frytkami i wypili dzbanek gorącej jak ukrop herbaty. Zmęczeni, przeszli się po mieście. Chętnie by obejrzeni western z Alanem Laddem w roli głównej, wyświetlany w Gaiety, ale nie mieli już czasu. Przez całą drogę powrotną Michael milczał; wysadziła go kilka mil przed Great Meadow. Pomachał jej dziarsko na pożegnanie.

– Jak było w szkole? – przywitała go Rose.

– Tak samo, jak zwykle – odparł. Zazwyczaj myślał o swoich sprawach, udając, że słucha paplaniny Rose, ale tamtego wieczoru uważnie wsłuchiwał się w każde słowo jej pogodnej opowieści o tym, jak minął dzień.

– Zjedz teraz obiad, Michaelu.

Wywnioskował, że nie dowiedzieli się o jego wagarach.

– Dzięki, Rose.

Wkrótce wrócił Moran, ale nie był w nastroju do rozmowy. Kilka razy zerkał w stronę syna, który nie wyściubiał nosa z książki.

– Masz mi pomóc przy owcach – powiedział, wstając.

– Kiedy mam tatusiowi pomóc?

– Teraz.

Już wcześniej, razem z psem, zapędził owce na podwórze, gdzie stały teraz zbite w trzęsące się z przerażenia stadko. Na widok Morana i chłopca rzuciły się do panicznej ucieczki, szukając schronienia w przeciwległym rogu podwórza.

– Ale głupie. – Michael śmiał się jak dziecko z ich strachu.

– Zupełnie jak niektórzy ludzie – odparł krótko Moran.

Michael odmierzał do małej buteleczki lekarstwo i przytrzymał owcę, kiedy Moran wlewał je do jej gardła. Następnie przewracali zwierzę na grzbiet, żeby przyciąć i umyć drobne kopytka. Przed wypuszczeniem każdą owcę znaczyli niebieską farbą. Zwierząt było ponad sześćdziesiąt, praca szła wolno i była monotonna. Michael znudził się i zaczął popełniać błędy. Moran prawie go uderzył, kiedy Michael pozwolił się wyrwać przerażonej owcy, która o mało nie zbiła go z nóg, a potem upuścił blaszankę z lekarstwem.

– Boże, o Boże, o Boże! Szkoda, że nie mogę zrobić tego sam. Nie potrafisz chociaż przez chwilę uważać, co robisz? – Moran wściekle złapał blaszankę i sam odmierzył lekarstwo.

– Nie prosiłem się do tej roboty! – z

jednakową wściekłością krzyknął chłopiec.

– Oczywiście, nigdy nie prosisz się do roboty. Siedziałbyś tylko na tyłku i zabawiał kobiety.

– Robię to tak, jak umiem. To nie moja wina, że wymsknęła mi się blaszanka – odparował Michael.

– Kończymy robotę czy będziesz biadolił do wieczora? – spytał Moran i nadąsani powrócili do pracy.

Kiedy skończyli, Moran stanął i patrzył, jak owce wybiegają z podwórza. Przez następne dwa miesiące nie trzeba będzie nic przy nich robić. Przepełniony wdzięcznością, odwrócił się, by podziękować chłopcu. Zapomniał już, jak dobrze się pracuje we dwóch. Człowiek, który pracuje sam, niewiele może. Gdyby Michael chciał się do niego przyłączyć, we dwóch mogliby się porwać na wszystko. Poprowadziliby gospodarkę jak się patrzy. Z czasem mogliby przejąć inne farmy, miał takie marzenie w związku ze starszym synem: razem mogliby przejąć, co tylko zechcą.

Michael odszedł, nie zapytawszy o pozwolenie. Rozgoryczony Moran zamknął za owcami bramkę na pole. Sprawdził, czy krowy są oporządzone na noc. Kiedy wrócił do domu, Michael był już przebrany i z pewną siebie miną stał przy kominku.

– Szybko się zmyłeś – powiedział Moran. – Nim skończyłem wypuszczać owce, już cię nie było. Odwróciłem się, żeby ci powiedzieć, a tu nikogo.

– Myślałem, że skończyliśmy.

– Mogłeś zapytać.

– Nie widziałem potrzeby. Myślałem, że skończyliśmy.

– Pospolita grzeczność nakazywałaby zapytać, ale nie sądzę, żeby miało sens oczekiwać od kogokolwiek w tym domu grzeczności – powiedział Moran.

Na pola za oknem gwałtownie spływała ciemność. Uwijająca się przy kominku Rose spojrzała na Michaela z wyrzutem, przeniósł się więc do stołu. Demonstracyjnie rozłożył książki i zeszyty.

– Ogrzałam ci skarpetki, tatusiu. W maglu masz zmianę bielizny. Lepiej się poczujesz, kiedy wyskoczysz ze starych łąchów.

Moran zdjął gumki i w samych skarpetkach siedział w dużym fotelu samochodowym. Drgnął, kiedy się do niego odezwała, ale nie odpowiedział, dalej wpatrując się tępo w pustą przestrzeń pokoju.

– Kogo to obchodzi? – mruknął do siebie. – Kogo to w ogóle obchodzi?

Chociaż spędzili ze sobą cały dzień, Michael i

Neli umówili się, że spotkają się znowu wieczorem. Miała czekać na niego w samochodzie przed bramą pałacu Rockingham. Michael nie mógł wyjść z domu przed odmówieniem różańca. Czekał, niecierpliwiąc się coraz bardziej, ale nic nie mógł zrobić. Opuszczenie domu przed modlitwą oznaczałoby otwartą konfrontację z ojcem. Tamtego wieczoru Rose musiała przypomnieć Moranowi, że nie odmówili jeszcze różańca. W chwili gdy rzucał na betonową podłogę gazetę i klękał, Neli siedziała już w samochodzie przed wielką bramą parku. Michael cierpiał boleśnie z powodu niespójności swojego położenia – jeszcze kilka godzin temu mężczyzna z kobietą nad morzem, a teraz klęczący na podłodze chłopiec. Kiedy przyszła jego kolej, odmówił trzeci dziesiątek głosem nabrzmiałym złością. Moran rzucił mu ostre spojrzenie, ale nie przerwał modlitwy. Dopiero kiedy podnieśli się z kolan, zauważył:

– W osobliwy sposób zmówiłeś swój dziesiątek. – Atmosfera wezbrała przemocą. – Na moje nędzne ucho był w tym pewien brak szacunku.

– Nie chciałem okazać braku szacunku – wycofał się Michael.

– Miło mi to słyszeć. Jak ktoś za bardzo podskakuje, może rozkwasić sobie nos.

Michael nie odpowiedział. Wolał nie ryzykować, nie powiedział więc, że wychodzi. Wymknął się z domu, chwytając po drodze płaszcz. Włożył go po ciemku, biegnąc do bramy. Mimo że spóźnił się ponad godzinę, Neli nadal czekała tam, gdzie się umówili.

Nazajutrz rano pojechali do Sligo. Tym razem obejrzeliby western na porannym seansie w Gaiety. Przez kilka kolejnych tygodni jeździli wszędzie, gdzie tylko im przyszła ochota, nawet aż do Galway. Byli w Mullingar i Langford. W Ballymote stali razem przed wystawą każdego sklepu, jaki był w mieście. W pewien bezchmurny czwartek przekroczyli granicę i trzymając się za ręce, spacerowali pomiędzy długimi rzędami straganów w Enniskillen. Na hinduskim straganie przed wejściem na targ kupiła mu tani zegarek na rękę. Nigdy dotąd nie miał własnego zegarka. Chociaż była zima, wiele razy jeździli nad ocean, nie tylko na dziką plażę w Strandhill, lecz także na Rosses Point, do Mullaghmore i Bundoran. Za każdym razem wracał z tornistrem do Rose i Morana, jak tylko zaczynało się ściemniać.

Sheila i Mona przyjechały z Dublina na weekend. Tym razem Michael nie obnosił się ze swoimi eskapadami, raczej starał się je ukrywać. Siostry przyglądały mu się podejrzliwie, ale w

poniedziałek musiały wrócić do biura i nie miały czasu przeprowadzać śledztwa. Z powodu izolacji, w jakiej żył Moran, nikt nie przyszedł do niego powiedzieć, co się święci, nikt też nie zamierzał ryzykować wygadania się przed Rose, kiedy robiła zakupy w mieście.

Dla Neli były to najlepsze tygodnie jej życia; będzie wracała do nich pamięcią jako do czasu utraconego szczęścia, które przypadkiem wpadło jej w ręce na zabawie tanecznej w Dniu Strzyżyka, lecz potem tajemniczo się z nich wyśliznęło. Przez cały czas trwania romansu to ona wykazywała się większą odpowiedzialnością. Ponieważ sama nie chodziła do szkoły ani dnia dłużej, niż nakazywał obowiązek szkolny, i całe życie pracowała fizycznie, ceniła wykształcenie wyżej niż ci, którzy mieli do niego łatwy dostęp.

– Jesteś pewien, że nie zaszkożysz sobie, opuszczając szkołę?

– Skończyłem ze szkołą. Już do niej nie wrócę. To nie ma nic wspólnego z tobą.

Kierowało nim przede wszystkim niepohamowane pragnienie zerwania z dotychczasowym życiem. Nie mógł dłużej wytrzymać w domu. Postępując tak, jak postępował, zmierzał pewną drogą do katastrofy. Katastrofy, która nadciągnie z zewnątrz. Dopóki to nie nastąpi, nie musiał stawiać jej czoła.

– Nie będziesz miał drugiej szansy skończenia szkoły – powiedziała.

– Nie będę miał drugiej szansy na nic.

– Więc co zamierzasz zrobić?

– Może mógłbym pojechać z tobą do Ameryki?

Pod wpływem jego dzieciennego egotyzmu i niewinności, na moment uległa szaleństwu marzeń; jednak chłopski rozum podpowiadał jej, że to niemożliwe, że cały świat stanie im na drodze.

– Nie będzie ci łatwo w Ameryce.

– Dam sobie radę. – Roześmiał się ufnie. – Skoro nie możemy pojechać do Ameryki, może pojedziemy do Sligo?

Spędzili w Sligo cały następny dzień, ale czas ich bycia razem zbliżał się do końca. Neli wydała już prawie wszystkie pieniądze. Czuła się trochę winna, że tak wiele czasu i pieniędzy poszło na Michaela, zamiast na jej rodzinę, chociaż nie był pod tym względem wymagający i każdą niewielką sumkę, jaka wpadła mu w ręce, również wydawał na nią.

– Niedługo będę musiała wyjechać, Michaelu – powiedziała pewnej nocy, gdy siedząc w samochodzie, patrzyli na biały księżyc nad Lough Key, którego blask kładł się jasnym gościńcem na wzburzonych falach jeziora.

Rozpłakał się nagle, bez żadnego ostrzeżenia, niepewny, czy płacze nad swoją własną stratą, czy nad Neli, która będzie musiała porzucić sielską Irlandię, by znowu stawić czoło nieczulej Ameryce. Przyciągnęła go do siebie, tuląc w ramionach i głaszcząc po włosach, dopóki na nią nie spojrzał.

– Powinieneś wrócić do szkoły – tłumaczyła.

– Dzięki temu dostaniesz później lepszą pracę.

– Nie – odparł. – Skończyłem ze szkołą.

– To co zrobisz?

– Może mógłbym przyjechać do ciebie do Ameryki? – spytał ją znowu. Zostało to powiedziane z taką słodyczą, że odechciało jej się kwestionować ani w ogóle myśleć o tym, co zrobią później, jeśli w ogóle coś później zrobią.

Jeśli chciał sobie ułatwić podjęcie decyzji, prowokując działanie z zewnątrz, nadeszło ono z zatrważającą szybkością już następnego wieczora. Rano Michael i Neli przekroczyli granicę, by pójść na czwartkowy targ w Enniskillen. Jak zwykle wrócił do domu z tornistrem około szóstej. Moran, nieruchomy jak głaz, siedział w samochodowym fotelu. Rose krzątała się po domu. Na stole nie było nakrycia dla Michaela, więc wyczuł niebezpieczeństwo, nim padło pierwsze słowo.

– Mieliliśmy dzisiaj gościa – oznajmił Moran.

– Kogo?

– Spokojnie – powiedział Moran z przekąsem. – Twojego przyjaciela, brata Michaela ze szkoły. Przyszedł zapytać, jak się miewasz. Myślał, że jesteś chory. Wygląda na to, że od świąt nie pojawiłeś się w szkole.

– Nie byłem w stanie dłużej tam chodzić. – Rozplakał się.

– A czemuż to, jeśli wolno spytać?

– Po prostu miałem jej dość.

– Zdumiewasz nas, Michaelu – wtrąciła Rose.

– Co robiłeś po całych dniach?

– Wagarowałem.

– Gdzie byłeś?

– Tu i tam.

– Gdzie jest to tu-i-tam? Nigdy nie słyszałem o takim miejscu.

– Chodziłem po mieście – rzucił, przyparty do muru.

– Do tego jeszcze kłamiesz i kręcisz! Kiedy brat Michael poszedł sobie, udało mi się dowiedzieć paru rzeczy. Okazuje się, że panna Morahan, co to przyjechała do domu z Ameryki, obwozi cię po całym kraju.

Dalsza dyskusja nie miała sensu.

– Nie rozumiem, dlaczego nam to zrobiłeś, Michaelu – powiedziała Rose.

– Rose i ja karmimy cię, dajemy ci dach nad głową, posyłamy do szkoły, a ty tak nam za to odpłacasz.

Michael milczał. Przerwy w płaczu stawały się coraz dłuższe.

– Nie masz nic do powiedzenia. Nawet nie przeprosiłeś.

– Przepraszam. – Pociągnął nosem.

– Obawiam się, że będę musiał dać ci nauczkę. Chcę, żebyś poszedł teraz do swojego pokoju i zdjął ubranie. Za chwilę do ciebie przyjdę. Może uda się załatwić tę sprawę między nami. – Zostało to powiedziane cichym, nieznoszącym sprzeciwu tonem i Michael rzeczywiście zrobił krok, by pójść do swojego pokoju; nagle jednak uświadomił sobie, czego Moran od niego żąda, i stanął jak wryty.

– Nie! – krzyknął z oburzeniem i strachem.

– Jeśli chcesz zostać w tym domu, masz zrobić, co ci każę. – Moran błyskawicznie poderwał się z fotela, ale chłopiec był za silny. Bez trudu odepchnął ojca i wybiegł z domu.

– Będzie musiał tu wrócić. – Moran oddychał ciężko. – A kiedy wróci, stłukę jaśniepana na kwaśne jabłko.

Michaelowi ani w głowie było wracać do domu. Poszedł na piechotę aż do Morahanów, wysoko na stokach Wyżyny. Samochód stał

przed krytym azbestem domkiem. Drzwi otworzyła mu młodsza siostra Neli. Zaprosiła go do środka. Uśmiechnął się blado.

– Dzięki Brigid, ale nie. Chcę się zobaczyć z Neli. – Kiedy Neli podeszła do drzwi, powiedział:

– Dowiedział się o szkole. Wpadł w szal. Mógł kogoś zabić. Uciekłem z domu.

– Chcesz tam wrócić?

– Wyjeżdżam do Anglii – oznajmił stanowczo. – Jeśli uda mi się dostać do Dublina, dziewczyny dadzą mi pieniądze na bilet. Pomyślałem, że może mogłabyś mi pożyczyć na pociąg.

– Kiedy masz pociąg?

– Rano.

– Gdzie przenocujesz?

– Gdziekolwiek. Znajdę jakąś szopę albo coś w tym rodzaju – powiedział dramatycznym tonem.

– Jesteś pewien, że chcesz tak po prostu wyjechać?

– Złapię okazję, jeśli nie możesz pożyczyć mi na bilet.

– Zawiozę cię do Dublina – powiedziała. – Może wejdiesz do środka i zaczekasz, aż się przyszykuję?

– Nie chcę się pokazywać w takim stanie.

– To poczekaj w samochodzie.

Siedział w samochodzie i słuchał radia, kręcąc gałkami. Ile razy pomyślał o Moranie, zaczynał trząść się z gniewu i strachu, a zaraz potem litować się nad sobą. Kiedy przyszła Neli, miał już dosyć słuchania radia. Była ubrana do podróży i niosła walizkę, którą położyła na tylnym siedzeniu.

Minęli dom i szkołę, przejechali przez Longford i Mullingar, miasta, w których byli szczęśliwi za dnia. Działały jeszcze tylko bary, na oświetlonych ulicach królowały ziąb i pustka, wzdłuż krawężników ciągnęły się cmentarne rzędy zaparkowanych samochodów.

– Kazał mi pójść do mojego pokoju. Powiedział, żebym zdjął ubranie i zaczekał na niego. Uciekłem z domu.

– Musi być pomyłony.

– Kiedyś kazał Luke'owi pójść do pokoju i zdjąć ubranie. A potem słyszeliśmy, jak go lał.

– Luke pomoże ci w Londynie?

– Na pewno. Luke zawsze robi to, co powiedział.

– Nie ma sensu jechać o tej porze do twoich sióstr.

Możemy przenocować w hotelu. Zawiozę cię do nich z samego rana.

– Wpuszczą nas do hotelu?

– Jeśli to będzie duży hotel. – Roześmiała

się. – I jeśli możemy zapłacić.

– Jesteś pewna, że cię stać?

– Za tydzień będę w Ameryce – powiedziała.

– Napiszę do ciebie – obiecał, a ona ścisnęła czule jego kolano.

Przejeżdżali przez Enfield. Kiedy minęli Maynooth, kazała mu rozglądać się za hotelem. West Country na przedmieściach wydawał się dostatecznie duży i nijaki i mieli wolne pokoje. Uwydatniając amerykański akcent, zapłaciła gotówką; dziewczyna z recepcji ledwo rzuciła na nich okiem, kiedy wypełniali formularze i brali od niej klucze. Pokój był skromny, ale wygodny. Uświadomili sobie nagle, że są straszliwie głodni. W restauracji na dole nie było żywej duszy, ale była jeszcze otwarta.

– Równie dobrze możemy dzisiaj zaszaleć. – Neli zachęciła go, żeby wybrał z karty, na co tylko ma ochotę. Wzięła stek, a on olbrzymi zestaw mięs z rusztu i do tego frytki. Dłużej czekali w pustej sali, aż zostaną obsłużeni, niż im zajęło samo jedzenie. Michael, nienawykły do tego rodzaju miejsc, ściszał głos do szeptu. Tylko kiedy się śmiał, robił to na całe gardło.

Kochali się przez całą noc. Młodzieńcza niecierpliwość prędko ustąpiła miejsca czułości i bezbrzeżnej wdzięczności. Za każdym razem, kiedy myślała, że wreszcie już zaśnie, wchodził w

nią jeszcze raz. Przyjmowała go jak mężczyznę i jak dziecko, jego smukłość kompensowała siłą, niepewność dumą; brała go znowu i znowu, jakby uważnie, powoli żegnała się z młodością, która upłynęła jej, nie wiedzieć kiedy, na ciężkiej harówce. Dopiero rano zasnęli z wyczerpania. Obudziła go, jak tylko sama wstała, i odwiozła do dzielnicy, w której mieszkały jego siostry.

– Napiszę – powiedział na pustej o poranku ulicy.

– Masz adres?

– Mam. – Poklepał kurtkę.

– Ja też będę pisała.

– Zobaczymy się w Nowym Jorku. – Zanim ruszyła, uderzył pięścią w zapadnięty dach samochodu na znak uczucia.

Ulica sprawiała wrażenie pogrążonej we śnie. Mleczarz ustawiał pod drzwiami butelki z elektrycznego wózka, który przemieszczał się z warkotem silnika. Michael musiał długo pukać, zanim z domu, w którym mieszkały Sheila i Mona, dobiegły jakieś oznaki życia. Wreszcie otworzyło się okno na piętrze i wychyliła się z niego Mona ubrana w nocną koszulę. Na jej twarzy zaskoczenie walczyło z całkowitym niedowierzaniem.

– Co tu robisz? – zapytała.

– Uciekłem.

- Po co przyjechałeś?
- Wyjeżdżam do Anglii.
- Zejdę na dół – powiedziała, zamykając okno.

Słyszał, jak mówi coś szybko do kogoś znajdującego się w tym samym pokoju, pewnie do Sheili. Wydawało mu się, że minęły wieki, zanim ktoś wreszcie zszedł na dół. Otworzyły mu drzwi, obie już kompletnie ubrane.

– Jak ci się udało tutaj dotrzeć? – spytała Sheila.

- Okazją.
- Po nocy?
- Paru gości podrzuciło mnie kawałek, a rano złapałem ciężarówkę z mlekiem. – Powiedział im o swojej ucieczce mniej więcej to samo co Neli, z tym że zupełnie pominął jej udział. – Kazał mi pójść do pokoju, zdjąć ubranie i czekać, aż przyjdzie.

- Zabije nas, jeśli ci damy pieniądze na bilet.
- Muszę je skądś wytrzasnąć. Nie wrócę do domu.

Podsmażyły kielbaski, jajka i bekon, zrobiły mu herbaty i tosta. Małżeństwo, do którego należał dom, zeszło do kuchni i oni też usłyszeli, co się stało. Mąż, w mundurze listonosza, prawie się nie odzywał. Mimo że się bały, dziewczętom zaczęło się udzielać podniecenie wywołane

dramatyzmem sytuacji; kiedy musiały iść do pracy, Sheila wzięła ze sobą Michaela do biura na Kildare Street. Nastrój podniecenia się utrzymywał. W krótkim czasie, zdawałoby się, cały budynek odwiedził Sheilę. Młody człowiek, grzeczny i przystojny, uciekł z domu. Urzędnikom o siwych skroniach przypomniło to blask ich własnej młodości. Gdyby nie konieczność przestrzegania obowiązujących procedur, zapewne z miejsca ofiarowałiby mu posadę w administracji państwowej.

– To okropne. Nie wiemy, co robić – powtarzała Sheila, ale w gruncie rzeczy było jej przyjemnie, że znajduje się w centrum uwagi.

W skrytości ducha zdecydowała już, jak załatwi tę sprawę, ale dalej pytała o radę, przysparzając tym sobie sympatii i współczucia. Miała teraz chłopaka, który tak jak ona pracował w urzędzie państwowym. Przyszedł, razem z Moną, zjeść z nimi obiad w olbrzymiej stołówce. Michael świetnie się bawił. Otaczali go ludzie, podniecenie, gwar. Uwolnił się od dusznej atmosfery domu Morana. Jego wdzięk działał tutaj niegorzej niż gdzie indziej. Ale Sheila miała inne plany.

– Nie możesz wyjechać do Anglii – oświadczyła.

– Dlaczego? Nie wrócę do domu.

– Nie skończyłeś jeszcze szkoły. Kiedy skończysz szkołę, będziesz mógł wyjechać, dokąd zechcesz. Jeśli teraz ją rzucisz, do końca życia będziesz zwykłym robotnikiem.

Nie zważała na protesty, że to jego sprawa. Wieczorem spotka się z Moranem i Rose. Jeśli Moran nie zgodzi się przyjąć go z powrotem, Michael może mieszkać z nimi w Dublinie. Zostały mu jeszcze tylko dwa lata nauki, potem będzie mógł wybierać. Może nawet zostać robotnikiem, jeśli to mu najlepiej odpowiada. Jeśli wyjedzie teraz, pozbawi się możliwości wyboru.

Po południu pojechała pociągiem do Great Meadow stawić czoło Moranowi. Upłynęło tyle czasu bez żadnej wiadomości od Michaela, że zaczęli się niepokoić i na jej widok poczuli ulgę. Moran nie miał żadnego powodu, by sądzić, że Sheila nie stanie murem po jego stronie.

– A więc uciekł do was – powiedział.

– Złapał okazję.

– Mam co do niego pewien plan – oświadczył Moran.

Plan był prosty. Przywiozą Michaela do domu i wszystkie razem przytrzymają, kiedy Moran będzie go lał. W ten sposób obejdnie się bez komplikacji, również z prawem; zresztą Moran był już za słaby, by poradzić z nim sobie

w pojedynkę.

– Dostanie nauczkę, której nie zapomni do końca życia.

– Nie przyjedzie z nami tylko dlatego, że go o to poprosimy. Wróci do domu i do szkoły pod warunkiem, że wszystko pójdzie w niepamięć.

– Nie musisz mu nic mówić.

– Będę musiała mu powiedzieć – obstawała przy swoim Sheila.

– Oczywiście nie mam prawa oczekiwać w tym domu żadnego szacunku! – ryknął, ale niewiele mógł zrobić.

Sheila wróciła do Dublina i kilka dni później, razem z Moną, przywiozła Michaela do domu. Musiały mu obiecać, że jeśli znowu będą kłopoty, pomogą mu zostać w Dublinie albo wyjechać do Londynu.

– Postaraj się – napominały go. – Jeśli się nie uda, pomożemy ci. Za dwa lata skończysz szkołę i będziesz mógł wyjechać, gdzie będziesz chciał.

Wszedł do domu, w stanie takiej czujności i lęklivego napięcia, że było to niemal śmieszne.

– Witaj. – Moran z nieszczęśliwą miną podał mu rękę, nie patrząc w jego stronę. – Wszyscy członkowie mojej rodziny, bez wyjątku, mogą zawsze wrócić do domu.

Chłopak Sheili, Sean Flynn, przywiózł ich

wszystkich swoim samochodem. To na nim przede wszystkim skupiła się uwaga Morana, który założył, że Sheila nie wciągałaby go w sprawy rodziny, gdyby nie zamierzała za niego wyjść. Seanowi schlebiało zainteresowanie Morana; zawsze starał się wszystkich zadowolić. Rozmawiali o polityce, o ziemi uprawianej przez Flynnów w hrabstwie Clare, o licznej rodzinie Seana i obaj zgodzili się, że rodzina stanowi podstawę wszelkiego społeczeństwa i każdej cywilizacji. Moran dobrze się bawił i poczuł się oszukany, kiedy Mona, Sheila i Sean zaczęli się zbierać do powrotu do Dublinu.

– Następnym razem musisz przyjechać z prawdziwą wizytą – powiedział, ściskając mu dłoń, kiedy zegnali się przy samochodzie.

– Jeśli zostanę zaproszony – zażartował Sean Flynn, kierując te słowa do Sheili.

– Zostaniesz zaproszony. – Moran się roześmiał. – Nie pozwól kobietom, żeby tobą rządziły, bo nim się obejrzysz, wejdą ci na głowę.

Wyglądało na to, że Sean Flynn przypadł do gustu jej ojcu.

– Tak będzie dobrze. – Sheila zajęła się układaniem rzeczy na tylnym siedzeniu, by w ten sposób ukryć zmieszanie i zadowolenie.

Michael czekał w środku, blady i wylękniony, ale Moran nawet na niego nie spojrział, wchodząc

z powrotem do domu.

– Ten Sean Flynn sprawia wrażenie inteligentnego i dobrze wychowanego młodzieńca – zauważył, wyjmując z sakiewki różaniec.

– Cieszę się za Sheilę – powiedziała Rose. – Potrzebuje spokojnego mężczyzny.

Kiedy skończyli modlitwę, powiedziała łagodnie do Michaela:

– Przygotowałam ci łóżko. Na pewno jesteś wykończony.

– W takim razie chyba się położę. – Chłopiec nie wiedział, czy ma się po cichu wymknąć z pokoju, czy jak zwykle podejść do ojca i spróbować pocałować go na dobranoc.

– Idź pocałować tatusia – szepnęła Rose, widząc jego wahanie.

Moran nadstawił twarz do pocałunku. Oczywiście miał prawie zupełnie zamknięte. Wyglądał jak człowiek, który przyzywa siły wyższe, by pomogły mu spełnić ojcowski obowiązek. Chłopiec dotknął ustami bardziej szczeciny na policzku niż samych warg i szybko się cofnął.

– Dobranoc, tatusiu.

– Dobranoc, synu. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Już nazajutrz musiał się zmierzyć ze szkołą. Zakonnicy powitali go serdecznie, jakby wracał

po długiej chorobie, ponieważ Sheila zajęła do klasztoru w drodze powrotnej do Dublinu i wyjaśniła jego nieobecność kłopotami rodzinnymi.

– Przecież sam wiesz, że jesteś jednym z najzdolniejszych uczniów w całej szkole – brat przełożony Gerald polecał delikatnie jego próżność. – Jeśli teraz przyłożysz się do nauki, możesz dokonać wielkich rzeczy. Cały świat stanie przed tobą otworem. Ale jeśli się poddasz, będziesz nikim.

Była to stara śpiewka, która już mu się serdecznie znudziła. Nowe zainteresowanie, a nawet pochlebstwa kolegów działały mu tylko na nerwy. Miał po dziurki w nosie szkoły – wchodzenia gęsiego do klasy, słuchania jałowych wykładów, przerysowywania z tablicy bezsensownych wykresów, jakby wszystko to zostało wymyślone specjalnie po to, by go doprowadzać do szału.

Wiedział, że tego nie ścierpi. Neli wyjechała. Życie toczyło się gdzie indziej.

Na drodze minął go ciemnoniebieski samochód z którymś z młodszych Morahanów za kierownicą. Pomachali do niego, ale nawet nie próbowali się zatrzymać. Kiedy został sam, zaczął krzyczeć i kłać. Kołysanie się przydrożnych olch i wierzb, i brunatnych kęp

uschniętego sitowia na zalanych brzegach Drumharlow nie było przyjacielskim pozdrowieniem starych przyjaciół. To tylko zarośla, i to gorzej niż wrogie, bo bezużyteczne. Nie mógł tu zostać. Nie mógł odejść. Bez żadnego określonego planu postanowił zachowywać się w taki sposób, że będą musieli go odrzucić.

Tamtego wieczora Michael porzucił pełną szacunku postawę, którą zawsze przyjmował wobec ojca. Nie był jawnie nieuprzejmy, tylko wycofany i trudny. Morana drażniło jego zachowanie, obserwował go bacznie, ale zachowywał spokój. Ciągnęło się to kilka dni. Szkoła nadal była nie do zniesienia. Koledzy zauważyli, że Michael jest pochłonięty własnymi myślami, a w grach brutalny. Zaczęli go ignorować. Siedział na lekcjach, użalając się nad sobą. Atmosfera w domu z każdym dniem stawała się coraz bardziej napięta. Rose była bliska rozstroju nerwowego. Jedyne, co mogła zrobić, to próbować zagadać napięcie potokami radosnej paplaniny, którą jednak i ojciec, i syn puszczali mimo uszu. Wydawało się, że samo powietrze jest naciągnięte do granic wytrzymałości i albo coś się zmieni, albo pęknie. Kiedy wreszcie nastąpił wybuch, wywołał go taki drobiazg jak solniczka.

– Sól – zażądał Moran.

– Jaka sól?

– Są tu dwie sole? Podaj sól!

Zamiast podać solniczkę, Michael pchnął ją po stole w stronę ojca. Kipiąc z gniewu, Moran patrzył, jak szklana buteleczka przewraca się, zawadziwszy o fałdkę na obrusie.

– Nawet psu nie podaje się tak soli. – Podniósł się od stołu. – Czy ty w ogóle wiesz, komu podajesz sól?

– Nie chciałem, żeby się przewróciła. – Siedząc, Michael znajdował się w rozpaczliwie niekorzystnej pozycji.

– Rzuciłeś mi ją jak psu.

– Mówię przecież, że nie chciałem...

– Ja ci pokażę! – Moran uderzył go z całej siły, ale Michaelowi udało się częściowo odparować cios. Zerwał się na nogi, przewracając krzesło. – Niech ci się nie wydaje, że będziesz mi tu chamił!

Drugi cios Michael przyjął na ramiona, jednak i tak poleciał na stojącą pod ścianą maszynę do szycia. Czuł nacisk metalu na plecy, ale nie czuł bólu ani strachu. Używając pedału staroświeckiego urządzenia jako odskoczni, rzucił się do przodu i złapał podniesioną do uderzenia rękę Morana. W krótkiej, bezgłośniej walce chłopiec okazał się silniejszy. Moran

upadł, pociągając go za sobą, lecz nie starczyło mu już siły, by pchnąć go na kredens. Tłukli się na oślep, tarzając po podłodze. W końcu to chłopiec przygwoździł ojca do ziemi, ale kiedy próbował przytrzymać go za ramiona, z góry posypały się ciosy na jego głowę. Z okrzykiem bólu odskoczył na bok. Rose stanęła między mężczyznami z ciężką szczotką w rękę.

– Zdumiewasz mnie, Michaelu – powiedziała z naganą i spróbowała pomóc Moranowi. – Nic ci nie jest, tatusiu? Nic ci nie jest?

Odsunął ją na bok, dźwignął się z trudem i ciężko dysząc, usiadł na krześle.

– Wszystko dobrze, tatusiu? – zapytała znowu.

– Będzie dobrze za chwilę – odparł. – Jeszcze z nim nie skończyłem. Jeśli jaśniepan myśli, że może się zachowywać w tym domu, jak mu się żywnie spodoba, to widocznie nie wziął pod uwagę jednej rzeczy.

I wtedy, z chłodnym rozmysłem, utkwił wzrok w śrutówce stojącej przy drzwiach w przeciwległym kącie pokoju. Czy myślał poważnie o użyciu strzelby, czy też chciał, żeby Michael myślał, iż gotów jest jej użyć, nigdy nie będzie wiadomo. Jeśli chciał, żeby Michael myślał, że mógłby jej użyć, dopiął swego. Przez

resztę wieczoru jego syn nie spuszczał oka ze śrutówki. Za każdym razem, kiedy Moran znalazł się pomiędzy nim i drzwiami, napinał się do skoku. Oddałby wszystko, żeby wiedzieć, czy jest naładowana, ale nie miał jak tego sprawdzić. Uspokajał się, że Moran zawsze kazał ją rozładowywać przed zbliżeniem się do domu i przy przechodzeniu przez płot.

Gdyby nie lało jak z cebra, Michael najpewniej uciekłby z domu jeszcze tego samego wieczoru. Ucieknie rano. I tym razem już nie wróci. Musiał tylko przeczekać jakoś noc. Posłusznie wypełnił wieczorne rytuały. Poza zmówieniem różańca Moran nie odezwał się ani słowem. Michael powiedział dobranoc Rose, ale było jasne, że nie potrzebuje już mówić dobranoc Moranowi. Jak tylko wszedł do swojego pokoju, zastawił drzwi łóżkiem i zamknął okno. Odetchnął z ulgą, słysząc, że ojciec i Rose się kładą, ale i tak nie zasnął. Nad ranem, mniej więcej godzinę przed zwykłą porą, o której wstawała Rose, przemknął się do kuchni. Wszystkie drzwi były uchylone, więc nie robił żadnego hałasu. Czując, jak serce wali mu młotem, sięgnął do kąta i podniósł strzelbę. Wyniósł ją do sieni i dopiero tam otworzył. Kiedy zamek szczyknął, przez chwilę nasłuchiwał w napięciu, ale z sypialni nie dobiegł żaden dźwięk.

Spodziewał się, że komora nabojoowa będzie pusta. Zobaczył mosiężne dno łuski i zadrżały mu ręce. Gdyby była pełna, przeczyłoby to wszystkim głoszonym przez Morana zasadom obchodzenia się z bronią; ale kiedy wyjął łuskę z komory, okazało się, że jest pusta. Oddychając z ulgą, włożył ją z powrotem i po cichu odstawił strzelbę do kąta. Wrócił do łóżka i zasnął głębokim snem. Rose musiała nim potrząsnąć, żeby się obudził. Ubrał się szybko i zwinął w węzełek kilka sztuk odzieży, które chciał ze sobą wziąć. W pokoju dziennym z Rose był uważny, milczący i trochę przygnębiony. Po raz ostatni wykonywał w tym pokoju drobne poranne czynności. Już nigdy więcej żadnej z nich tu nie powtórzy. Jego młodzieńcze zaabsorbowanie sobą graniczyło z komizmem. Nigdy więcej nie odkroi czubka jajka na miękko, patrząc przez okno na murek McCabe'a. Każdą kolejną czynnością sentymentalnie żegnał swoją młodość. Rose wzięła jego milczenie i nastrój lekkiego przygnębienia za skruchę z powodu wczorajszego ścięcia z Moranem.

– Nie martw się, Michaelu – powiedziała. – Wystarczy, że po powrocie ze szkoły go przeprosisz, i będzie po sprawie. Twój ojciec świata za tobą nie widzi.

– To nie była moja wina. Nic nie zrobiłem.

Solniczka sama się przewróciła.

– Dobrze wiesz, że nie chodzi tylko o solniczkę.

– Ostatnio bez przerwy mnie się czepia.

– Znasz twojego ojca. Już się nie zmieni. Wystarczy, żebyś okazywał mu posłuszeństwo, a zrobi dla ciebie wszystko. Chce tylko naszego dobra.

– Dzięki, Rose. – Uśmiechnął się, wstając od stołu. Jej przemowa doprowadziła go niemal do płaczu. Chciał wyjść, zanim się na dobre rozkrochmali.

Rose dostrzegła łzy w jego oczach i jej też się zebrało na płacz. Była pewna, że wszystko wróci do normy. Jak tylko Moran wstanie, zamieni z nim słówko na temat porannej skruchy Michaela i dopilnuje, żeby doszło do pojednania i znów zapanowała ślepa miłość, jaka przepełniała jej własne serce.

Furgonetka z pieczywem dowiozła Michaela do samego Longford, skąd ciężarówką z krowami zabrał się do Maynooth. Pod Maynooth spędził dłuższy czas, czekając na następną okazję, aż wreszcie zabrał go do miasta jakiś ksiądz. Minęła już pora obiadu i maszerując od mostu O'Connella do budynków rządowych, gdzie pracowała Sheila, ślaniał się na nogach z głodu. Portier, który pamiętał jego poprzednią wizytę,

zawiózł go windą do biura Sheili.

– Co tu znowu robisz? – zapytała surowo, choć znała odpowiedź.

– Wyjeżdżam do Anglii – odparł.

– Kiedy?

– Dzisiaj, jeśli się uda.

Opowiedział jej o bójce z Moranem, o tym, że Rose uderzyła go w głowę szczotką i że Moran siedział, wpatrując się w strzelbę w kącie pokoju. Brzmiało to zbyt znajomo, by było zmyślane. Zadzwoiła do Mony, która powiedziała, że spotka się z nimi w stołówce. Już wcześniej wspomniał, że umiera z głodu. Zostawiła go nad ogromną porcją frytek, jajek, kiełbasek i krwawej kiszki, i herbatą, i wróciła na górę, by zatelefonować do Londynu do Maggie. Dodzwoniła się od razu. Maggie obiecała wziąć dzień wolnego i wyjść po niego rano na dworzec Euston.

– A więc gniazdo wreszcie jest puste – powiedziała Maggie, kiedy już wszystko zostało ustalone. – Wszystkie ptaszki wyfrunęły. Trochę to smutne po tylu latach.

Sheila była zbyt przygnębiona, by odpowiedzieć. Zadzwoiła jeszcze do Seana Flynna, który powiedział, że wyjdzie z pracy i spotka się z nimi w stołówce. Bezwzględne pierwszeństwo wobec innych spraw było tak

oczywiste, że mogli natychmiast wyjść z pracy, nie narażając się na najmniejsze przykrości. W istocie, zaangażowanie sióstr wzbudziło podziw ich przełożonych. Sheila usłyszała wiele słów współczucia i otrzymała liczne propozycje pomocy.

– Nadgonisz robotę, kiedy będziesz mogła – powiedzieli.

Gdy wróciła do stołówki, Mona była już z Michaeliem. Po chwili dołączył do nich Sean Flynn. Uśmiechał się przymilnie, uradowany, że został dopuszczony do rodzinnego dramatu.

– Odbierze go rano z dworca Euston – obwieściła Sheila.

– A my mamy go wsadzić na statek? – z ważną miną upewniła się Mona.

– Ktoś z nas będzie musiał – powiedziała Sheila. – Coś nie za bardzo się starałeś po tym, jak ostatnim razem odwieźliśmy cię do domu.

– Staralem się, jak mogłem – odparł.

– Bardzo wątpię. Jak myśmy sobie radziły, kiedy byłyśmy w twoim wieku?

– Byłyście tam wszystkie trzy.

– Przewrócił się na ostatniej przeszkodzie – wybuchnął śmiechem Sean Flynn.

Sheila zmroziła go spojrzeniem. Mógł, za jej pośrednictwem, zostać dopuszczony do rodziny, ale to jeszcze nie znaczy, że do niej należał. Nikt

obcy nie miał prawa śmiać się ze świętości, jaką była rodzina.

Nie zostało wiele czasu. Prom odpływał za dwadzieścia dziewięć wieczorem. Wstali od stołu, żeby złapać pociąg do portu. Na miejscu, jak zwykle, wszystkim zajęła się Sheila. Kupiła mu bilet, dała pieniądze na podróż i wdarła się na pokład, gdzie odszukała głównego stewarda, który obiecał zaopiekować się Michaeliem i wsadzić go do pociągu do Londynu. Wszyscy, z którymi rozmawiał, nim dopłynęli do Holyhead, oferowali mu jakąś pomoc; tak jakby każdy z nich w swoim czasie też uciekł z domu, a przynajmniej chciał z niego uciec.

Długo odprowadzali wzrokiem odpływający statek. Dziewczęta miały łzy w oczach. Sean Flynn otoczył plecy Sheili ramieniem i w końcu odwrócili się od morza i granitowego muru, w którym połyskiwały kawałki miki.

– Teraz już wszyscy odeszliśmy z domu – powiedziała Sheila między jednym i drugim tłumionym szlochem.

– To musiało się kiedyś stać, chociaż może mogło stać się w lepszy sposób – zauważyła Mona.

– Może nie ma lepszego sposobu. – W głosie Sheili odezwała drwiąca nuta.

Sean Flynn rozsądnie zmilczał.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy odpływał prom do Holyhead, Moran ukląkł, by zmówić różaniec.

– Chyba już nie przyjdzie – powiedziała z niepokojem Rose. Trzymała kolację dla Michaela w ciepłym piekarniku, chociaż jedzenie dawno straciło swój smak.

– Musiał znowu pojechać do dziewcząt – ciągnęła zdenerwowana. – Zawsze był pierwszy do wywoływania współczucia. Jutro na pewno dadzą nam znać. I może przyjadą z nim w weekend.

– Obawiam się, że będzie musiał zmienić zachowanie, jeśli zamierza tu zostać.

– Nie wiem, co w niego wstąpiło. Rano mówił, że mu przykro. Zamierzał wieczorem cię przeprosić.

Moran niecierpliwie zagrzechotał wyjętymi z woreczka paciorkami. Światło dnia gasło pomiędzy drzewami za oknem, ale kamienny mur otaczający ziemię McCabe'a nadal wyraźnie odcinał się od ciemniejszego nieba, jasny i masywny. Pod nieobecność chłopca zmuszony był sam zmówić trzeci dziesiątek. Po modlitwie siedział ponuro w fotelu, w zaciekłym milczeniu wpatrując się w dogasające światło. Rose zapaliła lampy, zaciągnęła zasłony i zaczęła szykować

kolację. Moran podniósł się, żeby włączyć radio. Nadawali muzykę. Chwilę postął, słuchając, z ręką na gałce i wyłączył radio tym samym gwałtownym gestem, którym je włączył. Wypił szybko herbatę, zjadł kromkę chleba i schylił się, żeby rozwiązać sznurowadła.

– Nie ma go – powiedział w zadumie. – Już ich wszystkich nie ma.

– Możliwe, że nie dalej jak pojutrze będzie z powrotem – próbowała pocieszyć go Rose.

– Kto go tu chce? Kto w ogóle ich tu chce? Nie ma ich, i dobrze!

Mona i Sheila nie mogły się zdecydować, czy zawiadamiać ich telegraficznie o tym, co się stało, czy lepiej nie. W końcu postanowiły nie wysłać telegramu, żeby nie wywoływać paniki, napisały tylko krótki list, informując, że Michael wyjechał do Londynu i że wyjaśni wszystko, kiedy przyjadą do domu na weekend. Przyjechały razem pociągiem.

Zwykle Moran czekał na nie na peronie i jeśli był w dobrym humorze, od razu zaczynał żartować, ale w tamten piątek nie mogły go nigdzie dostrzec, nawet kiedy peron zupełnie opustoszał. W końcu znalazły go w samochodzie przed stacją.

– Myślałyśmy, że nie przyjechałeś – powiedziała nerwowo Mona, ale nie

odpowiedział. Uruchomił silnik i wyjechał z miasta, skupiając całą uwagę na prowadzeniu samochodu.

– Michael pojechał do Londynu – wypaliła Sheila, byle tylko przerwać milczenie. – Próbowaliśmy ściągnąć go do domu, ale tym razem się nie dało. Nie chciał nas słuchać. Postanowił sobie, że wyjedzie. To nie było tak jak poprzednio.

– Skąd wziął pieniądze na bilet? – spytał cierpko Moran.

– Myśmy mu dały. Musiałyśmy. Zagroził, że popłynie na gapę, a kiedy go złapią, poda nazwisko Luke'a.

– Gdyby go złapali, mógłby się przekonać, że to nie takie proste.

– W każdym razie uparł się, że wyjedzie, i uważałyśmy, że powinnyśmy dać mu pieniądze na bilet. Zadzwończyłyśmy do Maggie, żeby wyszła po niego na dworzec.

– Przypuszczam, że mnie przed wami oczernił.

– Powiedział, że się pobiliście. I że bał się strzelby – zaatakowała Sheila, zmęczona odpieraniem napastliwości Morana.

– Wiedziałem, że mnie oczerni. Nigdy nie skrzywdziłbym żadnego członka mojej rodziny. Robiłem tylko to, co moim zdaniem leżało w

waszym interesie. Mogłem się czasem mylić, ale zawsze chodziło mi wyłącznie o wasze dobro. – Ilekroć Moran uderzał w moralizatorski ton, dziewczęta wiedziały, że sprawa rozejdzie się po kościach.

Światła samochodu wydobyły z mroku ciemną sylwetkę cisu przy bramie. Rose była zbyt zdenerwowana, by wyjść im na powitanie. Zaszyła się w kuchni, udając, że nie słyszała powracającego samochodu. Gdy weszły, podbiegła do nich, pospiesznie wycierając ręce, maskując przesadnym wybuchem radości i czułości niepokój, który ją dręczył od pierwszej ucieczki Michaela.

– Pojechał do Londynu. Musiały dać mu pieniądze na bilet – oznajmił Moran.

Po raz pierwszy od wyjazdu z Dublina dziewczęta opuścił strach. Serdecznie uściskały Rose.

– Musiałyśmy dać mu pieniądze – powiedziała Mona.

– Nie dał się przekonać do powrotu do domu.

– Biedny Michael – westchnęła Rose. – Wydaje mu się, że w Londynie ulice są wybrukowane złotem, a dziewczęta będą same rzucały mu się w ramiona.

– Szybko przejrzy na oczy – stwierdził

Moran.

Ta krótka wymiana zdań wyczerpała temat i nagle wszyscy chcieli jak najprędzej wrócić do codziennej rutyny. Rose usmażyła na kolację kielbaski i krwawą kiszkę, jakby to była jakaś szczególna niedziela. Przez cały posiłek paplała jak najęta, coraz to wybuchając śmiechem, a przy zmywaniu zarzuciła dziewczęta nowinami – o modelach i fasonach sukni, w jakich pokazywały się w kościele kobiety, które przyjechały do domu z Anglii i Ameryki, i jak już myśleli, że zgubili nożyczki i trzeba będzie kupić nowe, ale właśnie przedwczoraj znalazła je przypadkiem w starym bucie tatusia; musiały tam wpaść...

– Nikt nie jest bardziej ślepy od tego, co nie chce widzieć – zauważył wesoło Moran.

– Och, tatusiu, wiesz przecież, że wszędzie szukałam – zaprotestowała Rose, przyłączając się do ogólnego śmiechu.

– Nikt nie jest bardziej ślepy – powtórzył, śmiejąc się jeszcze głośniej.

Zrobiło im się lżej na sercu. Moran się rozchmurzył. Jak tylko wytarły naczynia i sprzątnęły pokój, zaproponował, żeby ukłękli zmówić różaniec. Na samym końcu dołączył specjalną modlitwę za Michaela i nieobecnych członków rodziny, żeby nie spotkało ich w Londynie nic złego. Przez resztę wieczoru grali w

karty.

W ciszy przy kartach, zakłócanej jedynie szumem drzew za oknem, Sheila bardziej pomyślała na głos, niż zapytała:

– Ciekawa jestem, co robią w tej chwili w Londynie?

– Prawdopodobnie siedzą w pokoju, dokładnie tak samo jak my – odpowiedziała łagodnie Rose, by zamknąć temat, zanim zepsuje nastrój.

– Wyszedłem w kiery – przypomniał energicznie Moran. – Proszę mi tu jeszcze nie zasypiać.

– Niech tatuś się nie martwi – powiedziała z uczuciem Mona, pochylając się, by pocałować go na dobranoc. – Michael da sobie radę.

– Nie lękaj się o mnie, lecz o siebie i dziatki swoje – zacytował wieloznacznie Moran tym samym żartobliwym tonem, którego się trzymał przez cały wieczór.

– Maggie się nim zaopiekuje. – Sheila postanowiła zignorować cytat.

– Byłoby lepiej, gdyby starczyło mu manier przyjąć nauczkę ode mnie – te słowa Moran wypowiedział powoli i tym razem bez wątpienia własnym głosem. – Teraz będzie musiał przyjąć ją od obcych. A ci nie będą mieli dla niego żadnych względów.

– Dobranoc, tatusiu. – Sheila pocałowała Morana.

– Niech Bóg ma was w swojej opiece – odpowiedział.

Dziewczęta podeszły do Rose, żeby ją też pocałować.

Nazajutrz była sobota. Kiedy wstały z łóżek, ogień już dawno się palił i przed piecem wygrzewała się szara kocica.

– Myślałam, że nie pozwalacie jej wchodzić do domu – powiedziała Mona, pochylając się, żeby pogłaskać kotkę. Kochała wszystkie zwierzęta.

– Nie pozwalaliśmy – odparła Rose. – Ale Michael zaczął ją wpuszczać. Czasem pozwalamy jej zostać. Ona uważa, że jej się to należy.

W pokoju było ciepło i przyjemnie. Mogły dostać na śniadanie, co tylko zechcą, nawet kotlety jagnięce z rusztu, ale wybrały sok pomarańczowy, gorącą owsiankę, herbatę i tosty. Moran przyszedł z dworu, usiadł przy ogniu i napił się z nimi herbaty. Był w cudownie doskonałym humorze, docinał im, że tak długo spały. Przyjechały do domu, oczekując wyrzutów i awantury, a znalazły w nim przyjemne ciepło i dobry nastrój. Było im wstyd, że się bały. Pragnęły z całego serca odwdzińczyć się za serdeczność. Dostały więcej, niż trzeba im było

do szczęścia. Mona przetarła kółko w zaparowanej szybie i patrzyła na ukochane pola i drzewa w kadrze odcinającym się od dalekiego nieba.

Nagle dostrzegła psujący widok róg nowej szopy sąsiada. Sheila nie posiadała się z oburzenia, kiedy podeszła do okna.

– Ja już się przyzwyczałam – powiedziała Rose. – To nic strasznego.

Chociaż Moran miał żal o szopę, teraz udawał, że mu się podoba, po to tylko, żeby podpuścić dziewczęta. Po śniadaniu wzięły starego owczarka i wyszły na spacer przez pola, by obejrzeć z bliska to paskudztwo.

Pałaca potrzeba bycia razem, nieobecność pozostałych zbliżyła ich do siebie. Wieczorem pojechali wszyscy do miasta na zakupy. Moran zaczekał w samochodzie, aż dziewczęta i Rose załatwią sprawunki. Rose знаła wielu ludzi w mieście i co chwila przystawała, żeby się z kimś przywitać. W porównaniu z nią dziewczęta były sztywne i skrupowane w kontaktach z ludźmi, niepewne, jak się zachować.

– Tatusiowi nie podoba się, kiedy rozmawiam ze zbyt wieloma osobami. Uważa, że to strata czasu, ale nie sposób nigdy nie tracić czasu – zwierzyła im się, jakby miała coś na sumieniu, kiedy biegiem wracały do samochodu.

– Wiecie, że tatuś nie znosi, jak mu się każe długo czekać.

Zaparkował samochód za pocztą, przy ogrodzeniu zapadniętych kortów tenisowych, i siedział za kierownicą, patrząc na przechodzących ludzi. Nie kłaniał im się, oni też nie kłaniali się jemu. Na widok wracających kobiet z wysiłkiem otrząsnął się z letargu.

– Musiałyście wykupić całe miasto – powiedział, kiedy otworzyły drzwiczki.

– Nie miałyśmy czasu – odparła Rose. – Ani pieniędzy.

– Założę się, że i tak kupiłyście masę rzeczy.
– Uruchomił silnik i zawiózł je do domu.

Dołożyli drew do pieca, zaparzyli herbatę, zmówili różaniec i grali w karty, dopóki nie poszli spać, odcięci od świata w czterech ścianach domu. Moran przez cały weekend był czarujący. Nie musiał się bardzo starać. Nauczyły się akceptować jego humory; wystarczyło, by nie wpadł w furję, i już były szczęśliwe, reagowały niezmierną wdzięcznością na najmniejszy objaw dobrej woli, na traktowanie, jakie z trudem by zniosły ze strony kogoś równego sobie.

– Dziękuję za wszystko, co zrobiłyście dla Michaela – zaskoczył je następnego wieczoru, kiedy czekali w samochodzie przed stacją.

– Przepraszamy, że nie udało nam się

ściągnąć go do domu – bąknęła Mona.

– Wiem, że się starałyście. Wszyscy możemy się tylko starać.

Kiedy pociąg wjechał na peron, pocałował je na pożegnanie. Obiecały, że niedługo znowu przyjadą. Milczały, kiedy pociąg przejeżdżał przez Shannon i pędził pośród pustych pól. Gdy wjechał na stację w Dromod i zatrzymał się przy peronie, na którym czerniał tłum podróżnych, podobnie jak one powracających do Dublina po skończonym weekendzie, Mona powiedziała nabrzmiałym od uczuć głosem:

– Mogą sobie mówić, co chcą, tatuś potrafi być cudowny.

Sheila energicznie jej przytaknęła.

– Kiedy jest miły, jest po prostu wspaniały. Nikt mu nie potrafi dorównać. – I nawet białe kamyki pod latarniami na peronie nabrały szczególnego blasku.

Po powrocie ze stacji Moran wyszedł na drogę, zamykając za sobą bramę pod cisem. Nasłuchiwał pomruku lokomotywy spalinowej na Wyżynie za domem, ale już przejechała. Zaczynało się zmierzchać, lecz jemu nie chciało się jeszcze wracać do domu. Wybrał się na metodyczny obchód swoich włości, pole po polu. Dorastał gdzie indziej, ale były bliskie jego sercu, jakby się na nich wychował. Kupił je za

pieniądze, które dostał, odchodząc z wojska. Z niewielkiej emerytury nie dałoby się wyżyć, ale razem z tym, co wyciągał z ziemi, starczało na przyzwoite utrzymanie. Uznał, że w ten sposób będzie na swoim i, po raz pierwszy w życiu, z dała od ludzi. Teraz obchodził kolejno pola, już nie tak starannie utrzymane jak dawniej – żywopłoty były nierówne, z kamiennych murków wykruszały się kamienie – ale właściwie już ich nie potrzebował. Nie wydawał wiele na siebie i Rose.

Myślenie o tym, jak szybko przeminął czas, przypominało chwytanie dłonią wody. Już prawie wyczerpał swój zasób lat. Było to zgodne z naturą rzeczy, a jednak budziło w nim gniew i poczucie zdrady, i jeszcze świadomość, że niewiele z tego wszystkie rozumie. Czasem czuł, że to nie on wykorzystywał ziemię, lecz ona jego. Niedługo będzie musiała znaleźć sobie kogoś innego do wykorzystywania. I raczej nie będzie to żaden z jego synów. Próbował wyobrazić sobie, że po jego śmierci na tych polach gospodarzy ktoś inny, ale nie potrafił. Szedł przed siebie jak człowiek, który próbuje przejrzeć na oczy.

Wrócił do domu, kiedy było już zupełnie ciemno. Rose pozmywała naczynia i sprzątnęła po wizycie dziewcząt, ale tego nie zauważył. Nie

zapytała go, gdzie był, tylko zerkała na niego ze skrywanym niepokojem. Wolałaby już złość albo wymówki. Jak tylko usiadł przy stole, podała mu kolację. Sprawdziła, czy ma w zasięgu ręki wszystko, czego może potrzebować, a potem spytała, czy herbata jest dostatecznie mocna.

Mona i Sheila przyjeżdżały regularnie co drugi weekend, a Maggie dwa razy do roku. Po długiej podróży pociągiem i promem zatrzymywała się na dzień i noc w Dublinie u sióstr. Tyle miały sobie do powiedzenia, że czas mijał, nie wiadomo kiedy. Wszystkie trzy były w rozkwicie młodości i miały wielu adoratorów. Moran zawsze wyjeżdżał po nie na stację. Chociaż czekał na ich przyjazd w nerwowym podnieceniu, z byle powodu wpadając w irytację, gdy już przybyły, spotykał je chłodny i zamknięty w sobie. Rose witała je z radością, miarkowaną nieco wskutek wrodzonej czujności, ale wystarczała wspólnie spędzona godzina, by znów całkowicie się z nimi oswoiła; żartowała, śmiała się, wciągała je do różnych prac domowych, poświęcając im całą swoją uwagę, a one traktowały ją, jakby była jeszcze jedną siostrą, a nie żoną ich ojca.

Jeśli Moran był akurat w polu, Rose wypalała czasem „skandalicznego” papierosa.

– Wiem, że tatuś tego nie lubi, ale to

szczególna okazja.

– Palenie to nic złego – odpowiadały chórem, chociaż same nie paliły.

– Zły nawyk, którego nabrałam w Szkocji – mówiła lekceważąco, wybuchając śmiechem. – Oczywiście, przy nim też palę, choć mu się to nie podoba.

– Już się nie zmieni.

– Nie, raczej mało prawdopodobne, żeby się jeszcze zmienił.

Bez względu na to, jak daleko zapuściły się w rozmowie, niczym przyciągane magnesem, zawsze wracały do tego, co by się tatusiowi spodobało, a co nie, co by zaaprobował, a co zganił. Bagatelizowały nieprzewidywalne wybuchy wściekłości, jakby to były fochy niesfornego dziecka. W ciągu jednego dnia wiele razy przechodził od nastroju do nastroju, właśnie jak małe dziecko, a Rose nauczyła się dopasowywać swoje zachowanie do tych zmian nawet lepiej niż one. Czasem bywał uroczy, prosił na przykład którąś z nich, żeby wyszła z nim na łąkę doglądać krów, w taki sposób, jakby zapraszał ją do specjalnego miejsca w swoim sercu.

– Rose już nie chce doglądać ze mną krów – droczył się, czekając, aż włoży na siebie robocze ubranie.

– Posłuchajcie go tylko – wyrzekała radośnie Rose. – Kto robił wszystko przy krowach, kiedy przed Bożym Narodzeniem przez tydzień leżałeś chory w łóżku?

– I wystarczy – kwitował pobłaźliwie.

Kiedy Morana nie było w domu, rozmowa często schodziła na Luke'a i Michaela. Rose gorliwie wypytywała o Michaela. Zdążył już kilka razy zmienić posadę – pracował w biurze, jako robotnik fizyczny, nocny portier w hotelu, a nawet kucharz.

– Biedny Michael! Przy garach! – Rose śmiała się, aż dostała kolki. – Nie chciałabym jadać w tej restauracji.

– To była stołówka, ale poparzył kogoś wrzącym olejem i go wyrzucili. Pracuje teraz na budowie.

– Miewa dziewczyny?

– Dziewczyny? – powtórzyła Maggie. – Nie przepuści żadnej spódniczce. A lgną do niego jak pszczoły do miodu.

– Jest młody – powiedziała Rose. – Wspominał, że wybiera się do domu?

– Mówi, że przyjedzie latem, ale musi najpierw odłożyć trochę pieniędzy.

– Ma żal o to, co się stało? – spytała z niepokojem.

– Ani trochę. Słyszałam, jak opowiadał o

naszym domu jednej z tych swoich dziewczyn. Hindusce. Uśmiełabyś się. Brzmiało to, jakby jej opisywał raj.

– Tak czy inaczej to była jego wina. Zresztą znacie tatusia.

– Michael nie jest taki jak Luke. Nie nosi długo urazy. Od razu wszystko puszcza w niepamięć.

Rose nie chciała rozmawiać o Luke'u, a może jeszcze nie była na to gotowa; jak tylko padło jego imię, zaczęła mówić o planowanej wyprawie na zakupy.

Każdą z tych rozmów skwapliwie powtarzała Moranowi: stanowiły główny temat, kiedy byli sami, zbierała więc je jak bezcenne skarby. Ilekroć ktoś wspominał o Luke'u, robił taką urażoną minę, że Rose początkowo sądziła, iż nie chce o nim słyszeć, bo to dla niego zbyt bolesne; szybko jednak się zorientowała, że w istocie jest na odwrót, tyle że nie potrafi się przemóc, żeby zapytać dziewczęta. Znosiła mu więc wszystko, czego się od nich dowiedziała.

Luke zrobił dyplom księgowego, ale nadal pracował w firmie, która wykupywała stare domy w okolicy Notting Hill i przerabiała je na mieszkania. Firma się rozrosła. Zdaje się, że był jednym z czterech współdziałalców. Miał dziewczynę, Angielkę; poznał ją w pracy. Nie

były pewne, czy mieszkają razem, ale wydawało im się, że tak. Była wysoka i ciemnowłosa, niezbyt ładna, ale chyba można ją nazwać atrakcyjną; nie przepadały za nią.

– Z plebsu? – zapytała półżartem Rose.

– Zdaje się, że jej ojciec pracował w banku – odparła Maggie.

– Tatuś byłby zachwycony, gdyby Luke przyjechał do domu, chociaż nie chce się do tego przyznać – stwierdziła Rose.

– Mówiłam mu to – powiedziała z żarem Maggie. – Spytałam go, czy boi się wrócić do domu i jaki ma problem. Potraktował mnie grubiańsko – jak na mnie spojrział! Nigdy nie wiesz, co o czymś myśli.

– Co ci powiedział?

– Że trzeba być kobietą, żeby wytrzymać z tatusiem.

– Coś jest z nim nie tak. Nie potrafi wybaczać – dodała Sheila.

Maggie wolała mówić o Marku O'Donoghue, młodym człowieku z Wexford, pracującym na londyńskich budowach. Zaręczyli się w sekrecie, był to jednak sekret, z którego zwierzała się wszystkim, łącznie z Rose, a ona oczywiście opowiedziała o wszystkim Moranowi. Chciała, żeby każdy, kto pozna Marka, był nim tak samo zachwycony jak ona. Jej wściekłość na Luke'a

wynikała częściowo z faktu, że kiedy przedstawiła mu Marka, mimo jej łzawych nalegań, nie chciał się zadeklarować, co o nim myśli. „Dla mnie może być”, to była cała aprobata, jaką udało jej się z niego wycisnąć. Ale tak naprawdę, chodziło jej o aprobatę Morana.

Przywiozła go do domu na Wielkanoc. Po podróży promem przenocowali u Mony i Sheili. Chociaż obie siostry dużo słyszały o Marku O'Donoghue, zanim go jeszcze poznały, kompletnie je zaskoczył swym wyglądem. Rzeczywiście był tak zgrabny i przystojny, jak im mówiono, ale czarne spodnie rurki, buty z czarnego zamszu, fryzura na Elvisa i kurtka z ciemnej wełny nabijana kawałkami metalu, które błyszczały, gdy padło na nie światło, niemal zbiły je z nóg.

– Dobry Boże, to bikiniarz – orzekła Sheila, kiedy zobaczyła go razem z Maggie na peronie.

– Tatuś dostanie zawału – dodała z przerażeniem Mona.

Kiedy zasugerowały Maggie, że Mark powinien kupić sobie na ważną wizytę w domu ciemny garnitur albo tweedową marynarkę, zdenerwowała się i pogniewała. To, co Mark miał na sobie, było ostatnim krzykiem mody. Zgromadzenie całego zestawu kosztowało go fortunę. W żadnym innym ubraniu nie będzie

czuł się dobrze, w żadnym innym też nie będzie tak dobrze wyglądał; kiedy zobaczyły łzy w jej oczach, przestały nalegać.

Wieczorem poszli razem do pubu. Mark, czarujący, przystojny mężczyzna w towarzystwie trzech młodych kobiet, wypił kilka pint i przez cały wieczór tryskał humorem. Maggie też piła piwo. Jej siostry szybko zorientowały się, z jakiego środowiska pochodzi urodziwy młodzieniec w błyszczącej kurtce – z małomiasteczkowej biedoty. Było im go trochę żal, ale ze względu na Maggie, a także na ich wspólną przyszłość, ich własne uczucia zeszły na dalszy plan wobec nieprzepartego pragnienia, by został zaakceptowany przez Morana. Było jasne, że Maggie za niego wyjdzie i Mark na stałe wejdzie w ich życie.

W pociągu wypił w barze wiele butelek smithwicksa. Maggie to nie niepokoiło, bo nigdy nie upijał się piwem. Dla siebie zamówiła herbatę.

– Dlaczego nie napijesz się piwa? – spytał.

– Czuję się dziwnie, witając się z tatusiem po piwie.

– To jakaś kompletna bzdura. – Roześmiał się. – Ale rób, jak uważasz. Tak czy inaczej herbata jest tańsza.

Kiedy minęli Mullingar, zaczęła się

denerwować. Za Longford zamknęła się na długo w toalecie. Kiedy wróciła do baru, Mark zauważył, że nie tylko przyczesła włosy i poprawiła makijaż, lecz również zdjęła z palca pierścioneł zaręczynowy, który od niego dostała. Ostrem tonem zapytał, co z nim zrobiła.

– Włożyłam do torebki.

– Dlaczego?

– Nie powiedzieliśmy tatusiowi o naszych zaręczynach. Jeśli będę miała pierścioneł, będzie wyglądało, jakbyśmy się zaręczyli bez jego zgody.

– Tak właśnie było.

– To zrobi złe wrażenie.

– A co, jeśli nie przypadnę staruszkowi do gustu?

– To nic nie zmieni, najdroższy. Wiesz, że cię kocham. Na pewno cię polubi. Wszyscy cię lubią. Wyglądasz cudownie. Zaufaj mi. Zrobimy tak, jak mówię.

– Jak uważasz – powiedział, wzruszając ramionami.

Na następnej stacji mieli wysiąść, wzięli więc bagaż i stanęli w korytarzu.

– Tam jest nasz dom. – Pokazała wysokie drzewa daleko za polami, poprzecinanyimi murkami z kamieni. Mimo wypitego piwa, w jakimś stopniu udzieliło mu się jej przejęcie.

Milczał, gładząc ją po włosach.

Schowany głęboko w cieniu Moran patrzył, jak wysiadają z pociągu. W tym spokojnym miejscu, gdzie ubiory były konserwatywne, a przemoc ukryta, Mark robił wrażenie postaci z bożonarodzeniowej pantomimy. Moran uśmiechnął się ponuro i czując, że przewaga jest po jego stronie, wystąpił pewnie z cienia. Maggie nerwowo pocałowała ojca i przedstawiła sobie obu mężczyzn.

– Witam – powiedział Moran pozbawionym ciepła głosem, ściskając dłoń Marka.

– Miło mi cię poznać, Michaelu – odpowiedział Mark. Ustalili z Maggie, że tak właśnie będzie się do niego zwracał, skoro nie chce mówić tatusiu. Uznali, że to pasuje do jego stylu. Moranowi nie spodobała się ta poufałość. Prowadził samochód, nie odzywając się ani słowem. Maggie relacjonowała nerwowo, jak Luke i Michael radzą sobie w Londynie, ale Moran sprawiał wrażenie, jakby tego nie słuchał.

– Te autka są bardzo ekonomiczne – zauważył Mark, kiedy znowu zapadło milczenie.

– Jeżdżą – odparował Moran ze wzrokiem wbitym w drogę.

W domu było łatwiej. Rose przyjęła go serdecznie, stawiając przed nim gorący obiad i zachęcając, żeby się porządnie najadł po długiej

podróży. Obdarzył ją swoim czarującym uśmiechem, ale choć odwzajemniła go promiennie, poczuł, że to na nią nie działa. Dostrzegł czujność kryjącą się pod jej ujmującym zachowaniem. Wszyscy tu byli czujni. Jakby poruszali się po zaminowanym gruncie. Kiedy po raz pierwszy zobaczył Maggie pewnej soboty w Legionie, gdzie przyszedł nieźle wstawiony z pubu Pod Koroną, jej wyraźnie zaznaczana odrębność i poczucie wyższości wywarły na nim piorunujące wrażenie. W tym domu te cechy zniknęły, jakby ich nigdy nie było. Ta zawsze pewna siebie dziewczyna naraz stała się nerwowa i ostrożna, starannie ważyła każde słowo i gest.

Nagle wpadł w złość.

– Masz dom, co się zowie, Michaelu – powiedział z samczą zaczepnością.

Moran spojrział na niego, ale Mark nie odwrócił wzroku, domagając się stosownej odpowiedzi na te słowa uznania. Moran odsunął talerz i filiżankę na środek stołu.

– Dziękuję – odparł. Obie kobiety uśmiechnęły się, odzyskując zdolność ruchu. – Tu wyrosły moje dzieci. Przypuszczam, że nie wszystko zostało zrobione idealnie, ale robiliśmy, cośmy mogli i tak, jak nam na to rozum pozwalał. Nikt nie chodził głodny. Nikogo

o nic nie prosiliśmy. – Nagle zmienił temat. – Przypuszczam, że skoro już się posililiśmy, możemy teraz zmówić różaniec.

Wyjął z kieszeni woreczek z paciorkami i nie czekając na ich odpowiedź, wysypał je na stuloną dłoń. Rzucił na podłogę gazetę i ukląkł tam, gdzie jeszcze przed chwilą siedział wyprostowany przy stole. Zaczekał, aż pójda za jego przykładem. Maggie podała Markowi gazetę i gestem pokazała, żeby ukląkł obok stołu albo krzesła. Uniósł do góry brwi, ale postąpił zgodnie z jej wskazówką.

– Obawiam się, że nie mam różańca – oznajmił ku przerażeniu Maggie, rozglądając się bezradnie wokół siebie.

– Masz palce – powiedział Moran i zaczął: – „Panie, otworzysz wargi moje”. – Jeszcze nigdy te słowa nie zabrzmiały w jego ustach tak władczo.

Trzecią Tajemnicę zmówiła Maggie. Kiedy skończyła, zapadła długa cisza. Musiała syknąć: Mark, żeby zrozumiał, że teraz jego kolej. Z początku szło mu opornie i Maggie wiała się w mękach na myśl, że Moran uzna, że nie umie się modlić; ale kiedy doszedł do *Zdrowaś Mario*, podchwycił wreszcie monotony rytm i mogła odetchnąć z ulgą. Pamiętał, żeby liczyć na palcach. Jako dziecko nie liczył na niczym

innym. W jego domu modlono się po cichu. Każde z dzieci modliło się samo, dopóki nie porzuciło tego zwyczaju w okresie dorastania. Jego matka niemal co wieczór chodziła do kościoła, przypuszczał jednak, że robi to raczej, by się wyciszyć po zgiełku dnia, niż z autentycznej potrzeby modlitwy – na tej samej zasadzie, na jakiej jego ojciec w chwilach wzburzenia kierował swe kroki do baru O'Connella na rogu. Moran zmówił pięty dziesiątek, ale na tym nie skończył. Modlili się dalej: *O Święta Królowo*, litania, modlitwa do błogosławionego Olivera Plunketta, do świętego Judy, o dobrą śmierć, za nieobecnych członków rodziny. Mark zorientował się, że wystarczy odpowiadać głośno i wyraźnie i można myśleć o czymś innym; wyobrażał sobie, kto jest teraz Pod Trzema Kosami i co pije. Kumple Murphy'ego pewnie rzucają strzałkami, na barze, pośród pintowych szklanic, stoją pojedyncze butelki jasnego piwa. Z zamyślenia wyrwał go chrobot odsuwanych krzeseł. Maggie i Rose podnosiły się z klęczek. Moran, nie spiesząc się, schował różaniec do czarnego woreczka i dopiero wtedy dźwignął się z kolan.

– Mówią, że rodzina, która się razem modli, pozostaje razem – powiedział. – Uważam, że rodzina może pozostać razem, nawet kiedy jest

rozrzucana po świecie, o ile jest do tego wola. Wola to ważna rzecz.

I nieznośnym sprzeciwu tonem zaczął przepytować Marka: jakimi przedmiotami interesował się w szkole, co robił, zanim wyjechał do Anglii, i co robi w Londynie.

– Najłatwiej jest zarobić na budowie – powiedział Mark.

– Ale nie, kiedy posuniesz się w latach – odparł Moran.

– Uczę się kierować maszynami.

– Jakimi maszynami?

– Koparką i wywrotką. Najlepiej płacą operatorom dźwigów.

– Jak się tego uczysz?

– Trzeba ich namówić, to znaczy chłopaków, którzy obsługują maszyny, żeby po pracy pokazali ci, jak to się robi.

– I jak ich do tego namawiasz?

– Dobrze jest, jak cię lubią, no i musisz im postawić kilka pint. Jak im postawisz odpowiednio dużo, nauczą cię wszystkiego, co trzeba.

– Zdaje się, że mój najstarszy syn również pracuje w tej branży. – Moran niezgrabnie zmienił temat.

– Nie. Zajmuje się renowacją domów – wyjaśnił cierpliwie Mark. – Kupują stare domy i

przerabiają na mieszkania. Ja pracuję tylko na wielkich budowach.

– Być może – odparł cierpko Moran. – Nie uważa za konieczne informować mnie, czym się zajmuje.

– Daleko zaszedł. Jest dyrektorem firmy.

– Być może. – Moran miał już serdecznie dosyć. – Nawet jeśli tak, co za różnica. Traktuję wszystkie moje dzieci jednakowo, bez względu na to, jaką osiągnęły pozycję. Także każdego, kogo postanowią wprowadzić do rodziny, będę traktował jednakowo.

Rose zaczęła przygotowywać herbatę, którą pili zawsze przed położeniem się spać. Mark uświadomił sobie, że została jeszcze dobra godzina do zamknięcia pubów. Po długim, pełnym napięcia wieczorze i przesłuchaniu przy kominku straszliwie go suszyło.

– Chciałbym wyskoczyć na piwo – powiedział do Maggie.

– Najbliższa gospoda jest cztery mile stąd – odparła oschle.

– Na pewno zostały jakieś likiery ze świąt – zaproponowała Rose.

– Chciałbym wyjść do baru. Nie moglibyśmy pożyczyć samochodu?

Maggie zamarła z przerażenia. Pałaca potrzeba, żeby się napić, pchnęła Marka do

otwartej konfrontacji z Moranem, sprawującym w tym domu niepodzielną władzę.

Najwolniej, jak to było możliwe, Moran wyjął z kieszeni kluczyki i pogardliwym gestem rzucił je na stół.

– Nie podoba mi się pomysł prowadzenia po pijanemu – powiedział.

– Będziemy uważać. Wypijemy jedno, najwyżej dwa piwa. Chcemy się tylko trochę przewietrzyć.

– Ciekaw jestem, jak wytrzymasz tu cały tydzień, skoro już teraz koniecznie musisz się przewietrzyć – zauważył z przekąsem Moran, ale Mark już tego nie słyszał. Dostał kluczyki. W myślach widział już się w obcym barze, wdychał woń świeżego portera i smakował białą pianę.

Maggie włożyła płaszcz i podeszła do Morana życzyć mu dobrej nocy. Pozwolił się pocałować, ale nie odwzajemnił pocałunku.

Mark, z kluczykami w ręku, zapytał, by przerwać nieznośne milczenie:

– Na pewno nie wybierzecie się z nami?

W uszach Morana propozycja zabrzmiała jak nedorzeczne echo błyszczącej kurtki. Roześmiał się chrapliwie.

– Nie, Mark. Nie wybierzemy się z wami, ale bawcie się dobrze.

Trwało dłuższą chwilę, zanim udało mu się

uruchomić silnik. Słyszając, jak odjeżdżają, Moran zauważył refleksyjnie:

– Teraz dopiero jesteśmy ustawieni. Będziemy mieli w rodzinie małomiasteczkową biedotę.

– Nie przejmowałabym się tak kurtką. To tylko moda. Zmieni się – powiedziała ostrożnie Rose.

– Nie chodzi o kurtkę. Chodzi o człowieka. Mieliśmy kilku takich w batalionie. Potrafią stroszyć piórka, ale jak zaczynają się kłopoty, nie ma z nich żadnego pożytku.

– Jest przystojny i podoba się Maggie. Sprawia wrażenie dobrego człowieka.

– Nigdy mnie nie ciągnęło do dobrych ludzi, ale nie martw się, Rose. Jeśli odpowiada Maggie, to mnie też.

Położyli się, ale kiedy Mark odstawił samochód do szopy, jeszcze nie spali. Trzasnęły drzwi i rozległ się donośny głos Marka. Słyszeli, jak Maggie upomina go szeptem, żeby mówił ciszej.

– Tak właśnie będzie wyglądało ich życie – powiedział Moran. – Zarobić i przehulać, znowu zarobić i znowu przehulać. Nie będzie im łatwo. W razie potrzeby zawsze pomogę moim dzieciom, ale nie zamierzam łożyć na hulanki.

W następnych dniach atmosfera trochę się

rozluźniła. Maggie zawsze była najbardziej towarzyska z sióstr. Miała znajomych we wszystkich okolicznych domach. Nareszcie mogła pokazać Marka. Rozkwitała, kiedy chwalono jego urodę, i sama piękniała od tych pochwał. Niemal wszędzie oprócz zwyczajowej herbaty do ciasta czy herbatników stawiano przed nim pełną szklankę whiskey. Rozgrzany okazywaną mu uwagą i alkoholem, wracał do domu na przygotowywane przez Rose posiłki w wyśmienitym nastroju. Mimo surowego stylu życia Moranów zaczęło mu pochlebiać, że jest związany z ich domem, z domem, który zajmował centralne miejsce w życiu Maggie. W takim duchu, za namową Maggie, szedł na pole pogawędzić chwilę z Moranem. Nie widząc w nim zagrożenia dla siebie, Moran traktował go pobłażliwie. Patrząc, jak wracają we dwóch do domu, Maggie przeżywała tak intensywną radość, że nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Dopiero wieczorem, przed zmówieniem różańca, Moran pogrążał się w złowrogim milczeniu, które przerywał jedynie, by wygłosić jakąś ciętą uwagę, zmuszając ich do nieustającej czujności, dla Marka zaś najtrudniejsza była sama modlitwa; ale potem mógł wziąć samochód i pojechać do pubu. Znalazł sobie w mieście ulubiony bar i zaprzyjaźnił się z właścicielem i

paroma stałymi bywalcami.

Kilka godzin przed umówioną porą wyjazdu na stację Maggie wyszła, drżąca z niepokoju i sama, poszukać w polu Morana. Znalazła go zajętego rozpinaniem drutu kolczastego, który obluzował się na ogrodzeniu oddzielającym ziemię Morana od ziemi sąsiada. Przymocowywał go do nowych słupków. Jak tylko ją zobaczył, od razu odgadł, po co przyszła.

– Dziś wyjeżdżamy, tatusiu.

– Wiem. Odwiozę was na stację, ale jeszcze nie czas.

– Chciałabym wiedzieć, co tatuś sądzi o Marku.

– Dlaczego pytasz?

– Zamierzamy się pobrać.

Wypuścił kawałek drutu, który trzymał w rękach, i spojrzał jej prosto w oczy.

– Jeśli tobie pasuje, Maggie, mnie też będzie pasował.

– Więc nie ma tatuś nic przeciwko niemu? – Liczyła, że powie coś więcej.

– Traktuję wszystkie moje dzieci jednakowo. Każdy, kogo postanowią wprowadzić do rodziny, też będzie traktowany tak samo. Jeśli wyjdiesz za Marka, będzie znaczył tyle samo co każdy inny członek rodziny. Ani mniej, ani więcej. Coś chcę ci jednak powiedzieć. Każdemu bym to

powiedział. Nie wydaje mi się, żeby latanie co wieczór do pubu było najlepszym przygotowaniem do udanego małżeństwa.

– To tylko dlatego, że jesteśmy na wakacjach, tatusiu.

– Bardzo bym chciał w to wierzyć – powiedział twardo.

– Więc mogę za niego wyjść?

– Jeśli tobie pasuje, Maggie, mnie też będzie pasował. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa.

Pocałowała go z oczami pełnymi łez. Kilka tygodni później ta niechętna zgoda na ślub urosła w jej głowie do rozmiarów entuzjastycznego przyjęcia Marka do rodziny przez wszystkich jej członków.

Gdy nadszedł czas pożegnania, Rose przesunęła dłońmi wzdłuż jej rąk, od barków w dół, i przytrzymała ją na odległość ramion, przyglądając się z podziwem.

– Masz piękną figurę, Maggie. To cudowne widzieć, jak dwoje przystojnych młodych ludzi zaczyna wspólne życie.

Moran odwiózł ich na stację i zaczekał z nimi na peronie.

– Dzięki za wszystko, Michaelu – powiedział mężnie Mark, gdy ściskali sobie dłonie.

– Niech Bóg da, że będziecie szczęśliwi – odparł Moran.

– Dzięki, tatusiu. – Kiedy Maggie wspięła się na palce, by go pocałować, po jej policzkach popłynęły łzy.

Jak tylko pociąg ruszył, Mark powiedział:

– Muszę wypić piwo. I to nie jedno. Czuję się, jakbym wyszedł z więzienia.

– Mogłeś chodzić, gdzie chciałeś. – Maggie poczuła się dotknięta podtekstem jego słów. – Tatuś nawet dawał ci codziennie samochód.

– Nie skarzę się. Tak się po prostu czułem. Cokolwiek zrobiłem, zawsze było źle.

– Tatuś taki już jest. Lubi cię, tylko nie umie tego okazać. Bardzo się ucieszył, że zamierzamy się pobrać.

– I tak byśmy się pobrali, czy mu to się podoba, czy nie.

– Ale znacznie przyjemniej będzie pobrać się z jego zgodą. – Wyjęła z torebki pierścionełk zaręczynowy i wsunęła go z powrotem na palec. Podniosła dłoń do okna i trzy drobne kryształy górskie zaiskrzyły się w powodzi światła. – Już nigdy więcej go nie zdejmę – oświadczyła.

– Przynieść ci piwo? – spytał Mark.

– Pójdę z tobą. Możemy napić się razem w barze.

W lipcu tego samego roku wzięli ślub w Londynie. Byli na nim wszyscy, z wyjątkiem Morana i Rose. Druhną była Mona. Luke, w

zastępstwie Morana, poprowadził Maggie do ołtarza. Przyjęcie weselne odbyło się w dużej sali nad Trzema Kosami. Po posiłku i toastach tańczono przy dźwiękach pianina. Wśród gości przeważali dwudziestoparolatkowie, młodzi mężczyźni opaleni na brąz od pracy na budowie i dziewczęta ze szpitali. Moran napisał, że Londyn jest za daleko, by on i Rose, w ich wieku, wypuścili się w taką podróż, i dołączył czek, który pokrył prawie cały koszt przyjęcia.

– Tatusiowi byłoby za ciężko przyjechać do Londynu na twój ślub. – Mona i Sheila wspólnie próbowały pocieszyć rozczarowaną nieobecnością ojca Maggie. – Ani on, ani Rose nie są już młodzi.

Jakby ślub wykopał przepaść, której za nic nie chciały poszerzyć, tego lata i zimy dziewczęta lgnęły do domu bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Nie było weekendu, żeby nie przyjechała Mona albo Sheila, często też przyjeżdżały obie razem. Wzięły urlop w okresie zwożenia siana, jedynym już teraz momencie w roku, kiedy w gospodarstwie był nawał pracy, i pomogły Moranowi i Rose uporać się z robotą.

Michael złamał nogę w wypadku na budowie. W zimie przyjechał na kilka tygodni rekonwalescencji. Dawne niesnaski pomiędzy ojcem i synem poszły w niepamięć; Michael

wybuchnął śmiechem, kiedy ktoś przez przypadek wspomniał o tamtej sprawie. Rose była zachwycona, że ma przy sobie Michaela. W odróżnieniu od dziewcząt, był dla niej jak jej własne dziecko. Kiedy zostawali sami, gadali bez wytchnienia, milknąc instynktownie na widok Morana. Powiedział Rose, że po powrocie do Londynu zamierza skończyć z dorywczą pracą na budowach. Luke obiecał znaleźć mu posadę w City, która pozwoli zrobić uprawnienia księgowego, o ile zda egzaminy. Już teraz, czekając, aż zrośnie się złamanie, uczył się z książek, które dostał od Luke'a. Rose przekazywała wszystko Moranowi.

– Już dawno miałyby dyplom w kieszeni, gdyby pilnował się w szkole. Zawsze był bystry. Ale obrał trudniejszą drogę.

Ilekcją rozmowa zeszła na Luke'a, Moran milkł i posepniał, podobnie jak oni dwoje, kiedy to jego pojawienie się przerywało ich radosną paplaninę. Rose powiedziała dziewczętom, że Moran boleje nad zerwaniem z synem, i im więcej o tym rozmawiały, tym większe narastało w nich oburzenie. Uważały, że Luke postępuje nienaturalnie i okrutnie, kierując się pamiętliwością. Każdej z nich zdarzało się mieć o coś żal, ale po co zapiekać się w niechęci?

Należało się z Lukiem rozmówić. Maggie

zgłosiła się na ochotnika. Zadzwoiła do niego do pracy. Chętnie przystał na spotkanie w małym pubie niedaleko stacji metra na Leicester Square. Maggie przyszła z Markiem. Kiedy weszli, Luke już na nich czekał, siedząc samotnie przy stoliku. Chociaż Mark nalegał, żeby zamówił pintę, wziął tylko małe gorzkie i sącył je przez całe spotkanie.

Mark osuszał pintę za pintą, Maggie zamawiała małe jasne. Byli wystrojeni do wyjścia i zachowywali się, jakby zamierzali spędzić cały wieczór w pubie.

– Co tobie? Nie wyglądasz mi na chorego – powiedział ze śmiechem Mark. Był odprężony i gotów roztaczać swój wdzięk.

– Po prostu mnie to nie kręci. – Luke podniósł szklanę.

– Mam nadzieję, że mnie to nigdy nie spotka!

– Tatuś martwi się, że przez tyle lat ani razu nie byłeś w domu. Zestarzał się. Chce, żebyś przyjechał.

Mimo wysokiego wzrostu Luke zawsze był szczupły i nie zmieniło się to z wiekiem. Miał jasne, uczciwe spojrzenie. Napięty, czujny i skryty, stanowił dokładne przeciwieństwo promiennej urody swojego młodszego brata.

– Zbyt długo chowasz urazę – powiedziała

Maggie.

– Nie chowam urazy. To byłoby głupie. Ale mam dobrą pamięć.

– Twój ojciec chce, żebyś przyjechał do domu. – Mark poparł Maggie.

– Gdyby chciał się ze mną spotkać, mógł przyjechać na wasz ślub i byłoby po sprawie. Ale on chce wszystko na swoich warunkach.

– Tatuś jest już stary.

– Dużo starsi od niego przyjeżdżają do Londynu na śluby swoich córek. Nie mam problemu z jego wiekiem. To jego szopek nie mogę znieść.

– Tatuś się zmienił.

– Jakoś w to nie wierzę.

– Zmienił się – podkreślił Mark.

– Nie wierzę, żeby ludzie się zmieniali; owszem, zmieniają się okoliczności i czasem to trochę wpływa na ich zachowanie, ale to nie jest prawdziwa zmiana.

– To mnie przerasta – powiedział Mark. – Idę po następne piwo.

– To moja kolejka, Mark.

– Przecież nie pijesz.

– Nieważne. – Zamówił pintę dla Marka.

Maggie podziękowała za następne piwo.

– Oszczędzasz na sobie? – zakpił Mark.

– Mam jeszcze coś do zrobienia.

– Praca i tak cię przeżyje – powiedziała Maggie.

Nic na to nie odpowiedział, trwał w nieustępliwym milczeniu.

– Na pewno odłożyłeś już tyle, że mnie by starczyło do końca życia – zażartował Mark, wyluzowany alkoholem.

Luke nadal milczał. Uśmiechał się tylko, uprzejmie, lecz z dystansem.

Mark dopił swoją pintę i wstał, żeby pójść do baru po następną kolejkę.

– Dla ciebie ciągle nic? – spytał z zakłopotaniem kogoś, kto sam ostro ciągnie.

– Nie skończyłem jeszcze tego, co mam, a za chwilę muszę się zbierać.

– Myślałam, że spędzimy razem wieczór – powiedziała z urazą Maggie. – Tak rzadko się widzimy.

– Zadzwoń do was. Może wpadniecie do mnie kiedyś na kolację?

– Wieczorem pijamy herbatę – powiedział napastliwie Mark, wracając do stołu.

– Możecie też dostać herbatę. Co wolicie.

– Pojedziesz do domu zobaczyć się z tatusiem?

– Nie. Powiedziałem, że nie.

– To sprzeczne z naturą.

– Wiem. Nie wybierałem sobie ojca. On też

mnie nie wybrał. Gdybym miał wybór, nie chciałbym go znać. Nie wątpię, że on postąpiłby tak samo. – Luke roześmiał się po raz pierwszy tego wieczoru.

– To wcale nie jest śmieszne – powiedziała ze złością Maggie.

– Może to sprzeczne z naturą, ale taka jest prawda.

– Więc nie pojedziesz do domu?

– Nie.

– Dobrze. W takim razie zapomnij o zapraszaniu nas na kolację do twojego słynnego domu – powiedziała Maggie konfrontacyjnym tonem.

– Przykro mi. – Luke wstał, żeby się pożegnać. Zakłopotany, ociągał się chwilę z odejściem, ale kiedy nie wykonali żadnego gestu, wzruszył ramionami i wyszedł z baru.

– Nie ma co, masz dziwną rodzinę. Moim zdaniem ten twój braciszek jest jeszcze gorszy od twojego ojca. Nie wydaje mi się, żeby mogli ze sobą spokojnie rozmawiać – zauważył po jego wyjściu Mark.

– Tatuś wcale nie jest taki zły – zaprotestowała bliska płaczu Maggie.

– Są siebie warci.

– Tatuś jest inny. Ma swoją specyfikę. Nigdy nie myślałam, że Luke potrafi być taki zawzięty.

Mam nadzieję, że ja nie jestem dziwaczna.

– Ani trochę. Zamierzam cieszyć się tym piwem. Nie można cieszyć się piwem, kiedy ktoś patrzy na ciebie takim wzrokiem.

Przez wiele dni dom żył wiadomością, że Luke odmówił przyjazdu do Great Meadow, nie pozwoliły jednak, by dotarła ona do uszu Morana. Dziewczęta zgodnie uznały, że postawa ich brata jest nie do przyjęcia. Spodziewały się, że czas i odległość zatrą dawnie konflikty, poza tymi najbardziej ostrymi, ale teraz obawiały się, że minęło już zbyt wiele czasu. Mogły różnić się w wielu sprawach, lecz łączyło je przekonanie, że rodzina z natury rzeczy stanowi jedność. Razem tworzyli świat sam w sobie i razem mogli stawić czoło zewnętrznemu światu. Pozbawione tego poczucia jedności stawały się niczym, rozproszonymi po świecie, dezorientowanymi jednostkami. Były gotowe zgodzić się na wszystko, byle tylko zachować poczucie przynależności. Za nic w świecie z tego nie zrezygnują. Nikomu nie powinno się pozwolić tak po prostu sobie odejść.

– Jesteś pewna, że powiedziałaś mu to, co trzeba? – spytała Sheila. – Na twoim ślubie wydawał się całkiem do rzeczy.

– Był ze mną Mark. Zapytaj go, jeśli chcesz.

Och, Luke potrafi być czarujący – wybacz – kiedy się go nie prosi o coś, czego nie chce zrobić.

– A z nami jest inaczej? – odparła Sheila z wyraźnym sarkazmem.

– Nie ma potrzeby mówić o tym tatusiowi. Niepotrzebnie by go to zmartwiło – zawyrokowała Rose, kiedy jej o tym powiedziały.

Chwyając się ostatniej deski ratunku, dziewczęta postanowiły wysłać Michaela, żeby przemówił Luke'owi do rozumu. Bracia umówili się na spotkanie. Luke zaprosił Michaela na lunch i wybrał włoską restaurację niedaleko jego pracy. Posiłek w luksusowej restauracji stanowił dla Michaela atrakcję, był podekscytowany, dużo się śmiał. Miał podobny stosunek do rodziny jak jego siostry; lunch z bratem w takim miejscu to było coś ważnego.

Luke pytał, jak idzie mu w pracy, o egzaminy, czy może jakoś pomóc. Michael odpowiadał, że dopóki nie otrzyma dyplomu, nic nie da się zrobić. Delektowali się jedzeniem, luksusem, winem, poczuciem uprzywilejowania płynącym z przebywania w miejscu, gdzie wszystko służyło pojedynczemu, krótkotrwałemu aktowi pokrzepiania ciała; nie przywiodły ich tu interesy, nie mieli nic do sprzedania.

– Zadowolony? – spytał Luke, kiedy zjedli.

– Można wytrzymać – zaśmiał się Michael. – Myślę, że dałbym radę się przyzwyczaić. Trzeba ci jednak wiedzieć, że zostałem obarczony pewną misją.

– Jaka misją?

Michael uniósł dłoń w prześmiewczo obronnym geście.

– Przysyłają mnie siostry. Mam cię poprosić, żebyś pojechał do Great Meadow.

– Po co?

– Tatuś chce cię zobaczyć.

– No cóż, ale ja go nie chcę widzieć.

– Powiedziałem, co miałem powiedzieć. Nic więcej ode mnie nie usłyszysz.

– Ten facet to wariat. W każdym razie tak go zapamiętałem.

Michaela tak rozbawiły te słowa, że ryknął śmiechem, ściągając na siebie uwagę gości przy sąsiednich stolikach.

– Mówię poważnie – zastrzegł Luke. – Są przecież na świecie szaleńcy, prawda? Więc muszą też być ojcowie szaleńców i synowie szaleńców. Któryś z nas jest szalony, albo ja, albo on.

Michael ryczał ze śmiechu, przyciągając zdziwione spojrzenia.

– Nie bierz sobie tego do serca – poradził Luke. – Nie przestawaj jeździć do domu. Wiesz

lepiej ode mnie, jak tam teraz jest.

– Tatuś jest w porządku. Zestarzał się. Nie może już tak się stawiać. Można nie zwracać na niego uwagi. Nie wiem, jakby poradził sobie bez Rose.

– Nie widzę żadnego powodu, żeby tam wracać. Wiele mnie kosztowało, żeby się stamtąd wyrwać.

– To nie wracaj. Powiem im, że nie przyjedziesz.

– Będą zachwycone.

– I co z tego? – spytał Michael.

– Nic! – odparł Luke i poprosił o rachunek.

Na chodniku przed restauracją, w tłumie przechodniów, Michael powiedział:

– Chyba mimo wszystko lubię starego drania.

– A ja nie. I w tym cały kłopot.

– Potrafi być w porządku – rzucił na odchodnym Michael. W ów chwiejny sposób, w jaki ludzie budują swoje wyobrażenie o sobie, podobnie jak dziewczęta szukał w Great Meadow potwierdzenia nieprzerwanej ciągłości swojego istnienia.

Kiedy zdawał relację ze spotkania, Maggie wydało się podejrzanym, że usłyszał to samo co ona i Mark.

– Był bardzo miły. Postawił mi wystrzałowy

lunch, ale nie ma zamiaru jechać do domu.

– Przypuszczam, że przeciągnął cię na swoją stronę.

– Nie. Powiedziałem mu, że jeśli o mnie chodzi, mimo wszystko lubię tatusia. Uważa, że tatuś jest stuknięty. Ujął to tak jasno i wyraźnie, że o mało nie umarłem ze śmiechu. – Nie musząc się już krępować, jak w restauracji, zaniósł się gromkim śmiechem.

– Nie wiem, który z was jest gorszy – powiedziała Maggie, powiększając tylko rozbawienie Michaela.

Latem Maggie urodziła swoje pierwsze dziecko, syna, i miesiąc później zabrała go do Great Meadow. Ku jej głębokiemu rozczarowaniu Moran nie przejawiał większego zainteresowania wnukiem. Musiała go długo namawiać, żeby zgodził się sfotografować w ogródku przed domem z niemowlęciem na rękach.

– Kto chciałby patrzeć na takiego starego dziada jak ja? – narzekał i nie było to bynajmniej żartobliwe narzekanie.

– Dzieciak jest za mały, żeby go wozić wte i wewte – powiedział Rose. – Lepiej przyoszczędziliby pieniędzy i zostali w domu.

– Wiesz, jakie są młode matki. Wyobrażają sobie, że słońeczko świeci tylko na ich

maleństwo.

– Z dupy im będzie świecić – odparł kwaśno Moran i do końca wizyty zdecydowanie wolał towarzystwo Marka od kobiety z dzieckiem. Markowi pochlebiało jego zainteresowanie i chętnie prowadził z nim męskie rozmowy o życiu. Prędzej czy później musiały zejść na synów Morana.

– Michael jest młody i tylko dziewczyny mu w głowie, ale z czasem się ustatkuje. Jest normalniejszy od Luke’a – powiedział Mark, choć w gruncie rzeczy nie lubił Michaela. – Luke jest inny. Nie sposób odgadnąć, co myśli. Zrobił się z niego prawie Anglik.

– Wspominał o przyjeździe do domu? Można by sądzić, że po tylu latach coś o tym napomknie.

– Zapytaliśmy go z Maggie wprost. Powiedzieliśmy mu, że powinien przyjechać do domu, ale odparł, że nie ma zamiaru.

– Podał powód?

– Powiedział, że nie interesują go sprawy rodzinne. Dasz wiarę?

– Ma dużo znajomych?

– Przeważnie Anglików, z którymi pracuje. Jest wiecznie zajęty. Mówiłem ci, Michaelu, zrobił się z niego prawie Anglik. Spotyka się z Angielką. Nie mam pojęcia, czy jest jego dziewczyną, żoną czy kochanką. Zdaje się, że

razem mieszkają.

– Nie chcę o nim słuchać. Niektórzy twierdzą, że mieliśmy już inne życie przed tym, które mamy teraz. Jeśli to prawda, musiałem popełnić w poprzednim życiu jakąś straszliwą zbrodnię. Nie umiem inaczej wyjaśnić tej sprawy z Lukiem.

Kiedy czekali na peronie na pociąg, który miał zawieźć młodych do Londynu, Moran odczekał, aż Mark pójdzie po papierosy, i powiedział do Maggie:

– Nauczyłem się doceniać twojego męża. Wygląda na to, że naprawdę interesuje go nasza rodzina.

Podczas ich wizyty i bezpośrednio po niej Moran zaczął spędzać coraz więcej czasu w łóżku, raczej z powodu braku energii niż problemów zdrowotnych. Siano zostało zebrane. Nie było wiele pracy. Wystarczyło, jeśli Rose dwa razy dziennie rzuciła okiem na krowy. Jeśli coś będzie nie tak, powie Moranowi, zresztą trzymali już tylko krowy na mięso. Były zdrowe, tłuste i stały po pędny w potrawie.

Rose z utęsknieniem czekała na tę porę roku, kiedy minęła już gorączka sianokosów, a nie nastąpiła jeszcze sroga zima. Dom zdawał się opływać w czas i przestrzeń. Mogła w spokoju przygotowywać do zimy swoje rabatki,

zostawiając otwarte drzwi, by w razie czego usłyszeć wołanie Morana. Zebrała w sadzie ostatek śliwek i trochę jabłek. Co weekend przyjeżdżały z Dublina Mona i Sheila. Po skończonej robocie siadała z nimi przy kawie i papierosie; pojedyncze drobinki kurzu tańczyły w potokach spokojnego słonecznego blasku lejącego się z okien. Czasem tak się zagadywały, że Moran wpadał w złość i krzyczał na nie ze swojego pokoju.

Dzięki regularnym przyjazdom dziewcząt Rose znowu mogła odwiedzać rodzinny dom nad jeziorem, pozostawiając Morana pod opieką córek. Powrót do starego zwyczaju odbył się bez wstrząsów. Przez długie lata czuła, że porzuciła swój własny dom dla Great Meadow. Nie brała jednak samochodu. „Boję się, że tatuś nie poleżałby długo w łóżku, jakby usłyszał, że w coś stuknęłam!”. Jeździła rowerem, z trzciniowym koszykiem przy kierownicy pełnym śliwek, jabłek i słoików dżemu.

– Po ślubie tatuś myślał, że wywożę połowę domu. Teraz w ogóle nie zauważa, że coś ze sobą biorę – powiedziała do dziewcząt.

– Skąd wiesz, że nie zauważa? – zapytała z uśmiechem Sheila, ale tak cicho, że wcale nie zabrzmiało to jak żart.

– Nie wiem. Przypuszczam, że zdążył się

przyzwyczać. Tatuś jest dziwny.

– Tatuś się starzeje – stwierdziła rzeczowym tonem Sheila, kiedy Rose znalazła się poza zasięgiem jej głosu. Mona wstrzymała na chwilę oddech, jakby ogarnął ją nagle strach, a potem skinęła głową.

Nie podał żadnego wyjaśnienia, dlaczego położył się wtedy do łóżka. Nikt też nie ośmielił się go zapytać. Jakby przeleżenie w łóżku sporej części końca lata, a potem wstanie, jak gdyby nigdy nic, żeby krzątać się po domu i obejściu, było rzeczą całkowicie normalną.

Jesienią Sheila ogłosiła swoje zaręczyny z Seanem Flynnem i odtąd jej wizyty w Great Meadow stały się rzadsze. Tłumaczyła się, że szukają z Seanem domu do kupienia. Mona za to przyjeżdżała co weekend, jakby chciała w ten sposób zrekompensować nieobecność siostry. Znacznie bardziej niezależna od Maggie, Sheila zaręczyła się bez dobrodziejstwa zgody Morana. Sean był łatwy w obejściu, starał się wszystkim przypodobać i w nim także Moran nie dostrzegał zagrożenia dla siebie. Sheila od początku wodziła rej w tym związku, ale kiedy Moran podczas ich ostatniej wizyty próbował potraktować Seana bezceremonialnie, bez namysłu stanęła w jego obronie.

Tak jak niegdyś chciała iść na uniwersytet,

tak teraz wymarzyła sobie czerwcowy ślub w bieli w małym wiejskim kościółku. Moran nie mógł się na to zgodzić. Musiałby przeprowadzić ją przez nawę na oczach ludzi, których przez całe życie unikał, a niektórych z nich zaprosić do Royal Hotel i jeszcze zapłacić za to, co zjedzą i wypiją. Nie zniósłby tego.

Rose bała się, że Moran kategorycznie odmówi udziału w uroczystości, a tego ślubu nie można było ukryć w Londynie. Znalazła wyjście z sytuacji.

– Będzie prościej, jeśli weźmie ślub w Dublinie. Nie będziemy musieli zapraszać wszystkich. Tylko rodzina pana młodego i panny młodej. Nie musimy wyprawiać wesela w Shelbourne czy Gresham. Jest wiele małych hoteli. W pobliżu Harcourt Street będzie nawet taniej niż w Royalu – klarowała Moranowi.

– Może tak właśnie trzeba będzie zrobić. Nie rozumiem, dlaczego ludzie nie mogą wziąć ślubu bez tego całego zamieszania. Dlaczego nie starczy im takie wesele, jakie myśmy mieli?

– Zapomnij o tym, tatusiu. Dzisiejsze dziewczęta chcą mieć swój wielki dzień. Trudno się dziwić. Widzą, jak inni zadają szyku, i chcą tego samego dla siebie – powiedziała Rose.

Sheila popłakała trochę, kiedy się okazało, że nie przysięgnie Seanowi przed tym samym

ołtarzem, przy którym przystępowała do pierwszej komunii i bierzmowania, że nie wyjdzie z kościoła w cień strzelistych choin, które strzegły jej dzieciństwa. Zależało jej jednak, żeby Moran był na jej ślubie. Postawiona przed wyborem, wołała Morana od bliskiego sercu ołtarza czy ukochanych drzew.

– Zresztą, ile razy je widzę, zawsze przypomina mi się Perliczka Flanagan.

Mówiła o chłopcu, który wdrapywał się na drzewa i naśladował dzikie wrzaski perliczki, kiedy całą klasą czekali w mroźne zimowe wieczory na księdza przygotowującego ich do bierzmowania.

– Może i lepiej, że nie będę musiała w dniu własnego ślubu myśleć o takiej głupocie – przekonywała sama siebie, ale uraza ujawniła się, gdy zaprosiła Luke'a, nie pytając nikogo o zdanie.

Rose udało się nakłonić Morana, by na kilka dni opuścił farmę. Jej krewni zgodzili się pod ich nieobecność doglądać bydła. W Dublinie zatrzymali się u brata Rose i wieczorem w przededniu ślubu Sheila zabrała ich pokazać nowy dom, który kupili z Seanem. Był to niziutki parterowy domek z ogrodem na osiedlu dwustu identycznych domków z ogródkami, których ziemię wciąż jeszcze pokrywał betonowy pył. Za

niektórymi z nich powiewały już na sznurkach rzędy pieluch. W domu były dywany, zasłony i schludne, niedrogie meble. Sheila oprowadzała ich po pokojach – wymieniając ceny poszczególnych mebli – przepelniona wzruszającą dumą.

– Brawo, dziewczyno, zaczniesz nowe życie w porządnie urządzonej domu – powiedziała z uznaniem Rose, przytulając Sheilę do piersi.

– Sean się martwi, że za dużo wydaliśmy – wyznała Sheila.

– Nie przejmuj się – szepnęła Rose. – Mężczyźni już tacy są. Póki masz okazję, kup sobie wszystko, czego potrzebujesz.

Moran wędrował po domu, który przypominał pustą scenę czekającą na początek małżeńskiego życia. Widać było, że szuka czegoś, co mógłby powiedzieć, ale nic nie przychodzi mu do głowy.

– To wszystko musiało kosztować niezłą sumkę – zauważył w końcu.

– Obawiam się, że będziemy ją spłacać do końca życia – odpowiedziała z zakłopotaniem Sheila.

– Mamy nadzieję, że będziesz tu szczęśliwa. Jeśli będziesz szczęśliwa, reszta nie będzie miała znaczenia. Można mieć wszystko, czego dusza zapragnie, ale jaki z tego pożytek, jeśli się nie jest

szczęśliwym? – powiedział. Chciał jak najszybciej stamtąd wyjść.

– Patrzcie, ledwie tatuś gdzieś wejdzie, nie może się doczekać, żeby wyjść – zażartowała Rose, choć z nią było dokładnie tak samo.

W drzwiach Sheila powiedziała im wreszcie, że Luke będzie na jej ślubie. Rose spojrzała z przestrawieniem na Morana. Sposepniał i na jego twarzy pojawił się wyraz powagi.

– Cieszę się, że go zaprosiłaś – powiedział. – Nie chciałbym myśleć, że ktoś z mojej rodziny został pominięty. – Ale nie sprawiał wrażenia uradowanego.

Luke, Maggie i Michael przylecieli razem. Luke wracał do Londynu wieczornym lotem. Michael i Maggie wzięli po kilka dni urlopu, żeby pojechać do Great Meadow.

– Proszę cię, postaraj się nie rozzłościć tatusia – powiedziała błagalnie Maggie do Luke'a, kiedy samolot zaczął schodzić do lądowania.

– Oczywiście. Będę się zachowywał, jakby mnie nie było.

– Co masz na myśli? – spytała zaniepokojona.

– To wielki dzień Sheili. Nie wypada, żebym skupiał uwagę na sobie.

Luke włożył czarne buty, ciemny garnitur w

prążki, krawat w kolorze głębokiej czerwieni i prezentował się bardzo dystyngowanie na tle Michaela, który miał na sobie garnitur w oślepiającym odcieniu błękitu. Na lotnisku wzięli taksówkę i przyjechali do kościoła jako pierwsi. Kiedy czekali na pustym betonowym placu przed kościołem, Luke, nawet jeśli odczuwał zdenerwowanie, nie dał tego po sobie poznać. Uśmiechał się uspokajająco w odpowiedzi na nieme pytania Maggie. Michael sprawiał wrażenie rozbawionego sytuacją i kilkakrotnie wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

– Cieszę się, że to wszystko tak cię bawi. – Rzucona ostrym tonem uwaga Maggie wywołała kolejną salwę śmiechu.

– Inaczej nie umiem tego przyjąć.

– Czego? – spytała z irytacją.

– Całego tego cholernego układu. – Śmiał się. – Starego rozstawiającego nas wszystkich po kątach.

– Jest to jakiś sposób – pospiesznie przyznał Luke, by uspokoić Maggie. – Z pewnością istnieją gorsze sposoby i gorsze układy.

Pierwszy przybył pan młody ze swoją rodziną. Sean Flynn szybko dokonał prezentacji.

– Chyba powinniśmy wejść do środka – powiedział Sean.

– Zaczekam tu na pannę młodą – odparł

Luke i wszyscy troje zostali.

Sheila, Rose, Mona i Moran przyjechali jednym samochodem. Mona była druhną. Uściskawszy Sheilę i Monę, Luke przywitał się z Rose i Moranem oficjalnym uściskiem dłoni.

– Cieszę się, że tu jesteś – powiedział ponuro Moran.

– Ja też się cieszę, że tu jestem.

– Lepiej wejdźmy do środka – powiedział Moran.

– Ostatnio widujemy cię tylko na ślubach – palnęła ze zdenerwowania Sheila.

– Czyż są lepsze okazje od ślubów? – odparł Luke. – Zwłaszcza kiedy to jest twój ślub, Sheilo.

– Lepiej wejdźmy do środka – powtórzył Moran.

Sheila wsparła się na jego ramieniu i w milczeniu poprowadził ją przez kościół do ołtarza, gdzie czekał Sean Flynn ze swoim bratem. Tylko raz podczas całej ceremonii młodzi spojrzeli na siebie, a ich wzrok wyrażał współczucie z powodu przykrości, na które postanowili się nawzajem narazić.

Sfotografowali się przed kościołem. Wiatr pędził po betonowym placu starą gazetę, kobiety przytrzymały dłońmi kapelusze i woalki. Sypnięto konfetti. Samochód z białymi chorągiewkami zawiózł ich do hotelu Avonmore.

Długa metalowa rączka ukośnie przekreślała szklane drzwi, osłonięte od wewnątrz firanką.

W środku, za recepcją w kształcie podkowy, otwarte drzwi prowadziły do sali z długim, zastawionym stołem. Honorowe miejsce u szczytu stołu zajął młody ksiądz, który udzielił ślubu; rodziny panny młodej i pana młodego usiadły naprzeciw siebie, przedzielone wąskim blatem. Podano sherry i whiskey, ale większość gości wolała sok pomarańczowy. Ci, którzy pili, uważali, że grzeczniej będzie poprosić o sherry. Było jasne, że gdyby nie aluzje księdza, mogliby przejść od zupy do kurczaka i biszkoptu z sherry i kremem bez jednej przerwy na mowę czy toast. Najdłużej przemawiał Moran, podkreślając znaczenie rodziny. Chwilami sprawiał wrażenie, jakby przygniatało go poczucie własnej ważności, nie na tyle jednak, by zgubił wątek utrzymanego w poważnym tonie, starannie skomponowanego przemówienia.

Dawny zwyczaj pisania listów dobrze mu się przysłużył. Gdy skończył, w oczach Rose i dziewcząt lśniły łzy. W przeciwieństwie do Morana, ojciec pana młodego z najwyższym trudem wydukał całe jedno krótkie zdanie, którym przyjął Sheilę do rodziny. Kiedy mówił, jego potężna dłoń obejmowała nóżkę kieliszka z sherry, jakby to było źdźbło trawy.

Gdyby to była huczna impreza z muzyką, pijaństwem i tańcami, niezręczność całej sytuacji nie rzucałaby się może tak w oczy. Jedyne poorana zmarszczkami twarz matki Seana wyrażała żywe uczucia. Był jej pierworodnym, najukochańszym dzieckiem. Od wczesnego dzieciństwa zachęcała go do nauki i chroniła przed ciężką pracą na farmie; zdarzało się nawet, że dostawał do jedzenia co innego niż bracia i siostry. W czasie długich wakacji, kiedy wracał do domu ze szkoły z internatem, pilnowała, by mógł się swobodnie uczyć i chodzić na spacer, podczas gdy jego siostry musiały pomagać w polu. Był jej ulubieńcem. Pewnego dnia ona ukłęknie i będzie patrzeć, jak syn podnosi do góry hostię w wiejskim kościółku, a po jej śmierci odprawi mszę za jej duszę. Gdy zamiast kontynuować naukę w seminarium w Maynooth, przyjął posadę urzędnika, przez wiele miesięcy odczuwała niemal fizyczny ból rozczarowania. A teraz traciła go dla innej. Będzie z nią żył jak pierwszy lepszy mężczyzna z pierwszą lepszą kobietą. W milczeniu obserwowała przygotowania do odjazdu. Kiedy ją objął na pożegnanie – „Uważaj na siebie, mam!” – wreszcie znalazła ulgę w płaczu. Odprowadzała wzrokiem dwie głowy w tylnym oknie samochodu wiozącego ich na lotnisko, dopóki

nie zniknęły w powodzi ulicznego ruchu. Ani razu się nie obejrzał.

Przed odjazdem Sheila podeszła do Luke'a.

– Teraz, kiedy odnalazłeś drogę, będziesz musiał częściej przyjeżdżać do domu.

– Mam nadzieję, że będziecie ze sobą szczęśliwi – odparł. Chociaż ucałowała go serdecznie, dała mu wyraźnie odczuć, że zauważyła, iż uchylił się od odpowiedzi.

Przez całe popołudnie zachowywał niezmacony spokój, słuchając z uwagą, kiedy ktoś do niego mówił, zadając uprzejme pytania, uśmiechając się, podnosząc kieliszek. Siedział pomiędzy Moną i Michaeliem i ponieważ Moran nie patrzył w jego stronę, dopóki obiad się nie skończył i goście nie zaczęli się z ulgą rozchodzić każdy w swoją stronę, wszystko szło gładko. To Moran bardziej jawnie unikał Luke'a. Stał, otoczony nimbem krzywdy moralnej. Widząc to, Luke ruszył w jego stronę. Na widok brata, zmierzającego w kierunku Morana, dziewczęta zamarły z przerażenia.

– Chcę ci podziękować – powiedział Luke.

– Za co? – spytał Moran.

– Za obiad, za ten dzień, za wszystko.

– Mam nadzieję, że nigdy nie dojdzie do tego, żebyś musiał dziękować swojemu ojcu za obiad.

Luke uklonił się Rose, która była bliska płaczu z napięcia.

– Muszę komuś podziękować.

– I to już wszystko? Nie wydaje ci się, że po tych wszystkich latach powinieneś zajechać trochę dalej? – spytał Moran, kiedy jego syn zbierał się do odejścia.

– Wieczorem muszę być w Londynie.

– Po co?

– Mam pracę.

– Praca cię przeżyje.

– Wiem, ale to już nie będzie moja praca – odparł Luke, po raz pierwszy i jedyny tego dnia okazując cię stanowczości.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece – powiedział Moran.

– Do widzenia. Jeśli będziecie kiedyś w Londynie, z przyjemnością się z wami spotkam.

– Nie będziemy w Londynie. – Moran nie przyjął podanej ręki.

Przed odjazdem na lotnisko Luke powiedział do Maggie:

– Jak widzisz, dotrzymałem słowa. Zachowywałem się, jakby mnie nie było.

– Po takim czasie mógłbyś się zdobyć na coś więcej – odparła z wymówką. Zostawiła synka w Londynie pod opieką szwagierki, żeby móc przyjechać na wesele, a potem spędzić dwa

tygodnie w Great Meadow.

– Zrobiłem tyle, ile mogłem – powiedział. –
Minęło wiele lat, odkąd opuściłem Irlandię.

– Wszyscy opuściliśmy Irlandię –
zachichotał Michael, który stał obok. – Boję się,
że poumieramy w Irlandii, jeśli się szybko stąd
nie zabierzemy. – Zaśmiał się jeszcze głośniej z
własnego dowcipu. On też jeszcze tego samego
wieczoru jechał do Great Meadow.

Mały samochód wyjechał z miasta pełny.
Mona, Maggie i Michael tłoczyli się z tyłu. Moran
prowadził w milczeniu. Siedząca obok niego
Rose starała się urozmaicić monotonię powolnej
podróży lekkimi uwagami, będącymi bardziej
otwartymi sugestiami dla innych niż wyrazem jej
własnych opinii.

– I tak oto straciliśmy Sheilę – powiedziała
w końcu.

– Myśleliście, że mnie też się pozbędziecie,
ale ciągle jestem z wami – odparła Maggie.

– Robiliśmy, cośmy mogli, ale się nie udało
– powiedział Michael.

– W twoich ustach brzmi to bardzo
niewłaściwie – napomniała go Rose.

– Tylko żartowałem.

– Nikt nie jest stracony dla rodziny, chyba że
sam tego chce – wtrącił beznamiętnie Moran,
jakby recytował refren.

– Ciekawa jestem, jak biedna Sheila ułoży sobie stosunki z teściami – powiedziała Rose. – Wiecie, jaka jest wymagająca.

– Wyglądali na porządnych, ciężko pracujących ludzi – zauważył Moran.

– Matka pana młodego chyba nie bawiła się zbyt dobrze – powiedziała Maggie.

– Biedaczka, wyglądała na zmartwioną. Pewnie to wszystko było dla niej dość niezwykle.

– Albo po prostu Sheila ukradła jej ukochanego synka.

– Przypuszczam, że to ta sama stara historia co zawsze – powiedział Moran, ale nie wyjaśnił, jaką starą historię ma na myśli. Wszystkim ulżyło, że w końcu dał się wytrącić z milczenia.

Dojechali do Longford zmęczeni i zdrętwiali, ale Moran nie zaproponował postoju.

– Jeśli teraz zmówimy różaniec, będziemy mieli jedną rzecz mniej do zrobienia po przyjeździe do domu.

– To ma sens – powiedziała Rose.

– Ofiarujemy ten przenajświętszy różaniec za szczęście Sheili – zaczął Moran. Szmer *Chwała Ojcu, Zdrowaś Mario i Ojcze nasz* wtórował monotonnemu pomrukowi silnika, kiedy jechali przez Dromod, Drumsna i Jamestown. Tylko raz Michael szturchnął w bok recytującą swój dziesiątek Maggie, chcąc zmusić

ją do obrazoburczego śmiechu, ale oddała mu kuksańca z taką siłą, że odechciało mu się żartów. Ostatnia modlitwa dobrzmiała, kiedy wjeżdżali na most w Carrick. Potem już głównie milczeli, nie licząc wymienianych półgłosem nazw mijanych po drodze domów.

– Dojechaliśmy! – obwieścił Michael, jak tylko zobaczył ciemną sylwetkę cisu przy bramie.

– Marzę o filiżance herbaty – powiedziała Rose i wszyscy jednocześnie zaczęli się przeciągać, zmęczeni, ale szczęśliwi, że wreszcie będą mogli rozprostować kości, odetchnąć świeżym powietrzem i odzyskać swobodę ruchów.

Sheila i Sean spędzili miodowy tydzień na Majorce i prosto stamtąd przyjechali do Great Meadow, żeby przez ostatni tydzień urlopu pobyć z rodziną. Od wielu lat w domu nie było tyle osób naraz. Michael musiał się przenieść do składziku od podwórza, żeby zrobić miejsce nowożeńcom. Mało przebywał w domu, wracał późno w nocy z tańców albo randek i często spał do wczesnych godzin popołudniowych. Całkiem nieźle dogadywał się teraz z Moranem, głównie dlatego, że schodzili sobie nawzajem drogi.

Moran bardziej interesował się nowym zięciem. Wypytywał go o pracę, poglądy na życie, ambicje. Sean oczekiwał, że będzie lubiany bez

żadnego wysiłku ze swojej strony. Odpowiadał leniwie, z pobłażliwym uśmiechem. Morana to straszliwie irytowało, poza tym wciąż miał żywo w pamięci rachunek za przyjęcie weselne. Atak nastąpił bez żadnego ostrzeżenia.

– Co to znaczy, że nie cenisz aż tak wysoko pracy urzędnika administracji państwowej?

– Praca jak praca. Nie da się dużo więcej o niej powiedzieć. To nic nadzwyczajnego.

– Chyba żartujesz – zadrwił Moran.

– Praca to nie wszystko. W życiu liczą się również inne rzeczy.

– Chcesz powiedzieć, że dobra, czysta, stała praca z zapewnioną emeryturą nie ma dla ciebie większego znaczenia? Chyba mówisz o tamtym świecie.

– Po prostu uważam, że praca to nie wszystko. – Flynn bronił, jak umiał, swojego stanowiska.

– Widzę, że musisz dorosnąć. Mogłeś tak myśleć, kiedy byłeś sam. Teraz masz żonę. Oczekuję większej dojrzałości od członków mojej rodziny.

– Bezpieczeństwo nie jest najważniejszą rzeczą w życiu. Zdaniem niektórych stabilizacja to śmierć. – Sean dalej obstawał przy swoim, ale Moran uznał dyskusję za zakończoną.

Sheila wpadła w furję, kiedy usłyszała, co

zaszło.

– W domu Seana nikt nigdy mnie tak nie obraził! Luke miał rację, kiedy wiele lat temu powiedział, że on ma maniery psa – powiedziała w emocjach do Rose.

– Tatuś nie miał nic złego na myśli.

– Nie miał nic złego na myśli? – Sheila powtórzyła z gniewnym sarkazmem jej słowa. – Chyba żartujesz.

Wcale niełatwo przyszło jej wystąpić otwarcie przeciwko Moranowi.

– Widzę, że nie oszczędzasz już nawet gości.

– Uświadomiłem jedynie twojemu mężowi kilka podstawowych prawd o życiu.

– Zdaje się, że zapominasz, że jest twoim gościem.

– Teraz jest członkiem rodziny, jak wszyscy.

– Będzie nim, jeśli zechce – odcięła się z żarem Sheila. – Nie przyjechał tutaj, żeby go obrażano.

Nigdy nie szanował Seana. A teraz gardził nim za to, że pobiegł poskarżyć się babie. Był wściekły, że własna córka podważa jego autorytet.

– Jeszcze nie jest ze mną tak źle, żebym musiał cię pytać, jak mam się zachowywać w moim własnym domu.

– A szkoda, bo może byś się czegoś nauczył.

– Mam łąkę do skoszenia – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Idź ciosać kołki na głowie swojemu mężowi, jeśli koniecznie musisz to robić. Widzę, że masz smykałkę do tej roboty. – Wyszedł, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Według prognozy pogody przez kilka dni miał być upał. Ponieważ w domu nie brakowało rąk do pracy, Moran postanowił skosić wszystkie łąki naraz. Przez wiele godzin dobiegał ich terkot kosiarki i warkot to zbliżającego się, to oddalającego traktora. Kiedy Moran nie wrócił z pola na podwieczorek, Rose i Maggie zaniósł mu kankę osłodzonej herbaty i kanapki. Przeszły po pokosie dwóch skoszonych łąk, tylko na środku trzeciej został jeszcze wąski pasek nieściętej trawy, i czekały na poprzecznym zagonie, patrząc, jak trawa z drzeniem ściele się za kosiarką. Z ostatniego skrawka nieskoshzonej łąki wyskoczyły dwa młode zające.

– Zdążyły w ostatniej chwili – powiedziała z westchnieniem ulgi Rose. – Tatuś nie cierpi ich zabijać, ale nie widać ich w trawie.

Zajączki odbiegły kawałek i zatrzymały się zdezorientowane, ale widząc zawracający traktor, czmychnęły z łąki i nikt ich więcej nie widział. Zawracając, Moran dostrzegł czekające kobiety; skosił ostatni pas trawy i wyłączył silnik. Skoszona łąka wydawała się idealnie pusta i

czysta. Brnąc przez trawę do miejsca, w którym stał traktor, o mało się nie potknęły o siedzącą na gnieździe samicę bązanta. Zdziwiły się, że nie odleciała, ale zrozumiały dlaczego, kiedy zobaczyły pióra na trawie. Maszyna odcięła jej nogi. W błyszczących oczach wciąż tliło się życie, szyja i ciało trwały w napiętym bezruchu, skamieniałe w instynktownej pozie.

– Nieszczęsne stworzenie – westchnęła Rose. – Dalej tam siedzi.

Żadna z nich nie odważyła się spojrzeć za siebie.

– Trafiłeś samicę bązanta – powiedziała Rose, podając Moranowi kubek herbaty i rozkładając na masce traktora kanapki.

– Wiem. Nie widać ich w trawie. Przynajmniej zającom udało się uciec.

Kiedy skończył jeść, zapytał:

– Gdzie zakochana para?

– Poszli na spacer.

– W najbliższym czasie nie będą potrzebowali spacerów. Będą mieli dość ruchu. Została mi już tylko ostatnia łąka. Jeżeli nie zbierzemy wszystkiego do końca tygodnia, przepadnie.

Spakowały to, co zostało z kanapek i herbaty, i już miały zejść z pola, kiedy usłyszały, jak silnik zacharczał i zgasł. Moran zlął z traktora.

Patrzyły z niepokojem, jak majstruje przy jakichś drutach i pompie paliwowej. Kiedy ponownie spróbował uruchomić traktor, silnik zarzęził, ale zaskoczył.

– Myślę, że tylko Henry Ford lepiej się zna na traktorach od tatusia – powiedziała Rose, schodząc z łąki. Był to czysty wyraz uczucia, ponieważ Moran nie miał głowy do maszyn, a jego traktor to było stare porsche.

Zostawił skoszoną trawę na łące i dopiero nazajutrz pod wieczór roztrząsnął ją zgrabiarką. Kiedy był młodszy, rozważnie kosił każdą łąkę osobno, ale teraz, mając pełen dom pomocników, wolał zaryzykować skoszenie wszystkich naraz, niż ryzykować, że cała ta koszmarna robota spadnie na niego i Rose.

Z samicy bażanta zostały tylko kępki puchu i pierza na schnącym sianie. Lis albo kot, a może wrona, kto to wie... ?

Rankiem ciemnozielone sylwetki buków na skraju łąki tonęły w mlecznobiałej mgle; sandałami rozbryzgiwali zielone kałuże na zasnutych pajęczynami pastwiskach. W sadzie z gałęzi śliw i jabłoni zwisały białe nitki babiego lata. Zapowiadał się gorący, suchy dzień. Nawet wieczorem nie będzie deszczu. Nie mogli zacząć pracy, dopóki słońce nie osuszy mgły i skoszonej trawy. Rose usmażyła ogromną patelnię

kielbasek i krwawej kiszki, które zjedli z ciemnym chlebem sodowym, popijając dzbankiem parującej herbaty. Dopiero wieczorem znajdą czas na następny spokojny posiłek, a wtedy będą zbyt zmęczeni, by jeść. Moran zasiadł do śniadania w wyśmienitym nastroju, zadowolony z pewnej pogody, dużej liczby pomocników i dobrych widoków na wygranie zakładu z naturą. Do wieczora większa część siana zostanie zabezpieczona i będzie miał je z głowy aż do przyszłego roku.

– Produkowaliście dużo siana, Sean? – spytał tonem przyjemnej pogawędki, nakładając na talerz kielbaski i plasterki krwawej kiszki.

– Tak, i trochę kiszonki, jeśli lato było kiepskie.

– Więc pewnie dobrze znasz się na tej robocie?

– Nie za bardzo. Moje rodzeństwo pomagało przy sianie. Ja musiałem się uczyć.

– Co za pożytek z uczenia się w lecie? – rzucił bez troski Moran.

– Ogromny. Można przeczytać podręczniki do następnej klasy. Ma się lepszy start w szkole – odpowiedział Sean bez namysłu.

Przy stole zapanowała nieprzyjemna cisza. Wszystkie dzieci Morana od dziecka musiały pomagać w polu. Wielokrotnie nauka wchodziła

w konflikt ze żniwami, sadzeniem albo wycinaniem torfu.

– Osobiście uważam, że zbyt wielką wagę przykładają się do ślęczenia nad książkami. Albo człowiek jest zdolny, albo nie.

– Bez ślęczenia nad książkami daleko się nie zajdzie. – Uparto obstawanie przy swoim jedynie zaogniło wrogość Morana.

– Masz absolutną rację – poparła męża Sheila.

– Ty pójdziesz gościńcem, ja polną ścieżką, a i tak będę w Szkocji przed tobą. – Pogwizdując, Moran wstał od stołu.

Wyszedł na łąkę. Siano nie było jeszcze całkiem suche, podregulował więc trochę maszynę do roztrząsania. Starcie z Seanem nie poprawiło mu humoru. Niepokoił się. Nie było sianokosów, żeby nie uszkodził maszyny, a w tym roku cała rodzina będzie mu patrzeć na ręce. Zaczął roztrząsać siano na płaskiej części łąki. Gdy Rose usłyszała traktor, skrzyknęła wszystkich i poprowadziła ich przez sad, na łąkę, żartując i dowcipkując, by pokryć własny niepokój.

Zgrabiarka zgarniała siano w szerokie, pszeniczożłote wały, oddzielone zielonymi pasami równo przystrzyżonej trawy. Moran siedział na traktorze sztywno, jakby kij połknął,

coraz to odwracając się, by spojrzeć na obracające się zęby rozgarniające siano na obie strony.

– Można pomyśleć, że tatuś i traktor stanowią jedność – powiedziała Rose.

Chwycili widły i zaczęli układać siano w kopki. Rose pracowała sprawnie, Michael też, kiedy był w odpowiednim nastroju, a tego dnia chciał pokazać wszystkim, jaki jest szybki i silny. Energicznie przerzucał ciężkie siano. Sucha trawa szeleściła rozkosznie, kiedy nabierał ją na widły. Rose ograbiała kopki, a on parł do przodu i tam, gdzie jeszcze przed chwilą leżała skoszona trawa, wyrastały równe rzędy kopek. Dziewczęta pracowały dobrze, z wyjątkiem Sheili, która bardziej skupiała się na mężu niż na pracy. Chociaż starał się z całego serca, nie umiał posługiwać się widłami i bardziej przeszkadzał, niż pomagał.

– Niewiele z niego pożytku – mruknął do siebie Moran, patrząc, jak Sean bezproduktywnie macha rękami. – Jeszcze zrobi komuś krzywdę.

Z domu w kępie drzew wysoko nad łąkami wyszedł stary Ryan, emerytowany dyrektor szkoły. Oparł się o mur i przyglądał, jak pracują.

– Mnie to, oczywiście, nie przeszkadza, ale moja stara już zaczyna zrzędzić – sparodiował go Michael, wywołując salwy tłumionego śmiechu,

tylko Sheila rzuciła mu ostre spojrzenie, myśląc, że robi sobie żarty z Seana. Michael, zachwycony reakcją dziewcząt, zarechotał rubasznie, nabierając kolejną porcję siana, co jeszcze bardziej je rozbawiło.

Moran skończył roztrząsać siano na płaskiej części łąki, zatrzymał traktor i podszedł do nich. Przerwali pracę i napili się zmieszanego z wodą mleka z blaszanej kanki.

– Idziecie jak burza – rzekł niemal z wdzięcznością. – Najłatwiejszą część mamy za sobą. – W jego głosie słyhać było niepokój. – Ile razy roztrząsam na tym stoku, zawsze coś musi mi się przytrafić.

– Jeśli ty sobie z tym nie poradzisz, nikt sobie nie poradzi – powiedziała Rose, ale tylko spojrzał na nią z irytacją.

– Stary Ryan już gapi się na nas z za swojego murka. Będzie zachwycony, jak coś się popsuje. W tym kraju tylko to jedno potrafią – gapić się.

– Mnie to wcale nie przeszkadza, ale moja stara już zaczyna zrzedzić – Michael powtórzył swój numer, lecz Moran się nie roześmiał. Obrzucił syna lodowatym spojrzeniem i wrócił na traktor.

Udało mu się dwa razy bezpiecznie okrążyć kawałek gruntu na stoku, ale obok buka zęby z nieprzyjemnym szczękiem uderzyły o korzeń

albo kamień. Traktor stanął w miejscu. Wbili widły w ziemię i podeszli do drzewa.

– Znowu te cholerne korzenie – powiedział Moran, oglądając pokrzywione zęby.

– Ile się złamało? – spytała Mona.

– Tylko dwa. W porę wrzuciłem na luz.

– Taka felerna łąka.

W pewnym sensie czuł ulgę, że zęby wreszcie się złamały. Nie miał wielkiej nadziei, że uda mu się roztrząsać siano na nierównym gruncie. Teraz przynajmniej mógł przestać się bać.

Rose przyglądała się bacznie.

– Jeśli tatuś nie zdoła go uruchomić, to nikt nie zdoła.

Spojrzał na nią z wściekłością, jakby to stwierdzenie samo w sobie głęboko go kompromitowało; nie mógł go jednak odrzucić.

– Trzeba będzie przeprosić się z grabiami i widłami. Chwała Bogu, nie zanoszą się na deszcz. Jeśli jeszcze chwilę pokręcimy się przy traktorze, ciekawość wywabi Ryana z tego cholernego murka.

Zbliżali się do końca łąki, kiedy nadszedł stary pan Rodden ze swoim owczarkiem. Przeszedł dyskretnie pod drutem kolczastym pomiędzy drzewami na drugim końcu pastwiska. Miał słomkowy kapelusz, flanelowe spodnie i szerokie czerwone szelki na czystej białej koszuli

z zapiętym kołnierzykiem. Mimo upału włożył krawat i szpilkę do krawata. Moran i Rose podeszli do niego, cali w uśmiechach, wyciągając dłonie. Moran poczytywał sobie za zaszczyt gościć sąsiada na swojej łące. Rodden był protestantem. Jego farma graniczyła z gospodarstwem Morana, ale była od niego sześć albo siedem razy większa, i niedawno przekazał ją swojemu synowi. Choć Moran wstąpił do partyzantki jako bardzo młody chłopiec, zawsze powtarzał, że to nie protestanci stanowią problem. Teraz znacznie mocniej identyfikował się z tą dyskryminowaną grupą niż ze swoimi katolickimi sąsiadami. Choćby sytuacja ułożyła się dla niego jak najkorzystniej, zawsze potrafił tak się ustawić, by być przeciwko.

– Przyszedłem pogratulować nowożeńcom – powiedział Rodden. – Słyszałem, że są w domu. No i dlatego, że usłyszałem, że traktor nie chodzi.

– Życzył Sheili i Seanowi wielu lat szczęścia i w imieniu małżonki zaprosił ich, by zanim wyjadą, któregoś dnia o wpadli do nich na herbatę. Pochwaliwszy pracę i pogodę, zapytał:

– Dlaczego nie używa pan zgrabiarki? Oszczędziłoby to wam kilka ładnych godzin.

– Złamałem zęby. Jakoś nigdy nie radzę sobie z tym kawałkiem na stoku.

– Ma pan zapasowe zęby?

– Całe mnóstwo.

Rodden nakłonił Morana, żeby wymienił połamane ostrza, i osobiście poprawił ich ustawienie. Poprosił Morana, by puścił je wolno w ruch i dopiero po dokonaniu kilku dalszych drobnych poprawek uznał wreszcie, że są ustawione jak trzeba.

– Myślę, że teraz pójdzie po każdym gruncie.

Moran z rozmysłem zaczął od najtrudniejszego miejsca, podczas gdy Rodden patrzył, wsparty na lasce. Ku zdumieniu Morana zgrabiarka szła po nierównym gruncie jak po stole. Rodden poprzyglądał się przez chwilę, a potem podniósł laskę na znak, że już sobie idzie. Moran zatrzymał traktor i zgodnie z nakazami miejscowej kurtuazji odprowadził go na skraj łąki. Dziewczęta, Rose i Sean pomachali dłońmi, a Michael złapał pięknego biało-czarnego collie, by go wytarmosić na pożegnanie.

– Jeszcze nigdy tak gładko nie przeszła po tym gruncie. Jak się panu udało tego dokonać? – spytał Moran, gdy doszli do płotu.

– To nic takiego. Po prostu były ustawione nieco za nisko. – Roddena nauczono w dzieciństwie, że chwalenie się jest oznaką poczucia niższości. – Trochę je wyregulowałem, nic więcej.

Rose i Sheila przyniosły z domu kankę

gorącej herbaty i kanapki, które przygotowały rano, z szynką, sałatą i kurczakiem. Usiedli wokół niedokończonej kopki, nabierając kubkami herbatę i częstując się kanapkami z kartonowego pudełka. Byli zbyt zmęczeni, by rozmawiać czy choćby jeść z apetytem. Z nieba lał się nużący żar. Nikt nie wspomniał o Roddenie ani zgrabiарce.

Moran wrócił na traktor i zaczął bardzo szybko kluczyć pomiędzy bukami, jakby chciał przetestować poprawione przez Roddena ustawienie zębów, które jednak wytrzymało. Bez względu na to, co wyczyniał z traktorem, zęby gładko rozgarniały siano w schludne, równe rzędy.

– Henry Ford idzie teraz jak burza – powiedział Michael z przekąsem do pracującej obok niego Rose. Spojrzała na niego z wyrzutem i odwróciła się w drugą stronę. Żadna z dziewcząt nie odezwała się słowem.

W zaledwie godzinę Moran uporał się z resztą siana. Ominął ich koszmar wielogodzinnego machania grabiami. Kiedy zszedł z traktora, nim dołączył do pozostałych, przez dłuższą chwilę oglądał wyregulowane przez Roddena zęby. To, co zobaczył, niewiele mu powiedziało. W głębi duszy wiedział, że nigdy nie uda mu się powtórzyć tego ustawienia, chyba że

przypadkiem.

Jak tylko wziął do ręki widły, zauważył, że nie ma Sheili i Seana.

– Gdzie zakochana para? – spytał ostrym tonem.

– Poszli do domu – padła wymijająca odpowiedź.

– Po co?

– Nie powiedzieli. Po prostu poszli.

Już po godzinie pracy ręce Seana były otarte do krwi. Dziewczętom również porobiły się bąble, ale wiedziały, jak trzymać widły. Od południowego posiłku Sean wstał tak zesztywniały, że ledwo mógł się ruszać. Kiedy powiedział o tym Sheili – w dzieciństwie z trójki dziewcząt to właśnie ona najbardziej nie lubiła tej pracy – zaprowadziła go do osobnego rzędu, gdzie mogli pracować w swoim własnym tempie. Było im dobrze we dwoje. Pochłonięci sobą, zapomnieli o pozostałych, stawiających kopkę za kopką zaledwie parę metrów od nich. Szeptali i śmiali się, pochylając ku sobie głowy, aż wreszcie Sean znienacka przewrócił Sheilę na kupkę zgrabionego siana. Podniosła się, spłoniona i wzburzona, wciąż nie do końca zdając sobie sprawę, że nie są sami, i po chwili znowu śmiali się jak przedtem. Na przekór nowożeńcom pozostali starali się pracować jeszcze szybciej,

choć i tak już ślaniai się na nogach w martwym żarze południa. Zanim ktokolwiek zdążył zauważyć ich nieobecność, Sheila i Sean przeszli przez płot na drugim końcu łąki. Szli, trzymając się za ręce. Sądząc, że czerwony buk zasłania ich przed wzrokiem pozostałych, Sean przyciągnął Sheilę do siebie i wycisnął na jej ustach gorący pocałunek. Wszyscy, oprócz Morana, widzieli, jak się całują pod bukiem, a potem idą ramię w ramię w stronę domu. Milczeli, straszliwie skrepowani, ale i tak byli zmuszeni podążyć za nimi w myślach do domu, gdzie pewnie zrzucają teraz ubrania i padają sobie nadzy w ramiona... gdy tu szeleści nabierane na widły siano. Byli wściekli, że muszą im w ten sposób towarzyszyć. To było jeszcze bardziej zatrwajająco rzeczywiste, niż gdyby działo się na ich oczach. Choć próbowali odpędzić natrętną wizję, nie zdołali jej się pozbyć.

– Mogliby zaczekać – powiedział cicho Michael, wyrażając na głos rozzalenie, które czuł wokół siebie. Młoda para była razem, w egoistycznym pochłonięciu sobą nie zważając na nienaruszalność domu, jego faktyczne dziewictwo.

– Mark ma w Londynie przyjaciół, Creeganów. Byliśmy na ich ślubie – powiedziała Maggie. – Raz, kiedy Marka nie było,

pojechałam ich odwiedzić i uciekł mi ostatni pociąg. Mają tylko jeden pokój i duże łóżko. Chciałam spać na podłodze, ale Rita się uparła, żebym spała obok niej, z brzegu łóżka, a Creggie od ściany. Po dłuższej chwili usłyszałam, jak Creggie pyta: „Zasnęła?”, a Rita mówi: „Nie możesz poczekać?”. Bałam się oddychać. Łóżko okropnie się trzęsło. Dotknęła mnie czyjaś noga i musiałam wsadzić sobie w usta kołdrę, żeby nie krzyczeć. Myślałam, że umrę.

– Biedna Maggie – powiedziała Rose z mieszaniną rozbawienia i współczucia. – Na co człowiek jest narażony, kiedy wyjdzie z rodzinnego domu.

Jak tylko Moran zatrzymał traktor, rozdzielili się na grupki. Rose i Moran pracowali razem. Mona i Maggie rzucały siano Michaelowi, który ustawiał kopki w osobnym rzędzie. Pracowali mniej więcej w tym samym tempie. Michael radził sobie teraz w polu lepiej od Morana. Kopki wyrastały jedna po drugiej, w jeszcze szybszym tempie niż dotąd.

– Zakochana para najwyraźniej zamierza spędzić resztę dnia w domu – parsknął gniewnie Moran.

– Sean miał całe ręce w bąblach. Obawiam się, że na tej łące przeżył szok. – Rose próbowała zbagatelizować ich nieobecność. – I tak niewiele

było z niego pożytku, choć bardzo się starał. Wychowywali biedaka na księżulka.

W końcu młodzi wrócili jednak na łąkę, oboje wykąpani, uczesani i w świeżych ubraniach. Sheila przyniosła kanwę osłodzonej herbaty. Wszyscy pili, starając się nie patrzeć na Sheilę i Seana. Tylko Moran nie unikał ich wzroku.

– Seanowi zrobiły się bąble od wideł. Idziemy na herbatkę do pani Rodden. – Głos Sheili zadrżał, kiedy to mówiła.

– Pani Rodden będzie wam miała do opowiedzenia niejedną historyjkę.

Sheila przyjęła wyzywającą postawę, zdecydowana za wszelką cenę nie dać się tyranizować. Bardzo prosto widziała swoją pozycję w rodzinie. Chciała do niej należeć, ale nie na każdych warunkach. Rozumiała instynktownie, że nie mogłaby bez niej żyć: będzie jej potrzebowała, będzie korzystała z jej pomocy, ale nie da się wykorzystywać, chyba że za swoją zgodą.

– Opowiedziała wam, jak kąpali się nago przy księżycu w Kilronan, kiedy byli młodzi? – spytała Rose, kiedy wrócili z herbatki.

– Owszem – odparła Sheila. – I jak robili wszystkie te rzeczy, co to nam się wydaje, że dopiero je odkrywamy.

Na łące zrobiło się chłodniej. Sheila i Sean próbowali pomagać, ale nikt ich tam nie chciał. Byli już wszyscy zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać. Czasami łapali się na tym, że stoją bez ruchu, wpatrując się jak w transie w równe szeregi kopek siana. Kiedy zaczęło się zmierzchać, a ich ubrania nawilgły od rosy, przerwali z ulgą i spokojem. Niebo wyglądało bezpiecznie. Rano, kiedy wypoczną, wystarczy im kilka godzin, żeby uporać się z resztą siana. Potem pozostanie już tylko powiązać i nakryć kopki; bez trudu zdążą przed wieczorem. Moran i Michael zeszli z łąki ostatni.

– Niech cię Bóg błogosławi, synu. To był wspaniały dzień.

Samochody, które mijaly ich na drodze, miały włączone światła. Gdy wlekli się znużeni przez sad w kierunku oświetlonego domu, gdzieś na terenie majątku po drugiej stronie drogi gruchał ochryple samotny gołąb.

Rano bolały ich wszystkie mięśnie, ale nie zostało już wiele do zrobienia. Około południa, wolno i bez pośpiechu, skończyli ustawiać kopki. Pogoda się utrzymywała. Zgrabili resztę siana, ograbili kopki i powiązali je sznurkiem. W weekend pogoda się załamała. Ciepły deszcz smagał pola i bębnił w szyby, spływając po gładkich bokach kopek siana, które zdążyli w

samą porę zabezpieczyć. Dobra pogoda nie była już im potrzebna. W przyszłym tygodniu, albo jeszcze następnym, w któryś wietrzny dzień pomiędzy ulewami, zwiezie się siano do stodoły. Rose i Moran będą musieli zrobić to sami.

Jak tylko się rozpadało, dom zaczął pustoszeć. Nadszedł telegram wzywający Maggie do powrotu do Londynu. Zachorował jej synek, wyjechała więc natychmiast. Podczas sianokosów prawie zapomniała, że kiedykolwiek opuściła Great Meadow i wyszła za mąż. Razem z nią wyjechali wszyscy z wyjątkiem Michaela. Został prawie tydzień dłużej, przez tę część dnia, kiedy nie spał, pomagając Moranowi w różnych pracach. Dobrze się ze sobą dogadywali. Wieczorem po jego wyjeździe, gdy klękali, by zmówić różaniec, Rose zauważyła w zamyśleniu:

– Pewnie minie wiele czasu, zanim w domu znowu będzie tyle ludzi.

Moran spojrział na nią, jakby to, co powiedziała, było niewłaściwe lub mogło przynieść pecha. Jeszcze tylko jeden raz w domu będzie tyle ludzi.

W Great Meadow nic się nie zmieniało oprócz lat. Czasami deszcz padał kilka dni z rzędu, Rose krzątała się wtedy po domu, bacząc pilnie, by nie zdenerwować Morana. Gdy ostre

wiatry wysuszyły rozmiękłą ziemię, wychodził pracować na dworze, kręcił się niespiesznie po obejściu, a ona znowu miała dość przestrzeni, by swobodnie oddychać.

W weekendy dom ogarniał nastrój radosnego podniecenia, Mona przyjeżdżała teraz z Dublina niemal co tydzień. Najładniejsza z sióstr nigdy nie wyszła za mąż. Miała licznych adoratorów i spotykała się z wieloma mężczyznami, kilku z nich przywiozła na weekend do domu – spokojnych, pełnych szacunku, z reguły starszych od niej mężczyzn, którzy zadowalali się pozostawaniem pod władzą jej urody, nie stawiając poważniejszych żądań; a jeśli je postawili, natychmiast ich odprawiała. Jako że żaden nie stanowił dla Morana zagrożenia, traktował ich uprzejmie, czasem bywał wręcz czarujący; rzadko miewał teraz towarzystwo i najwyraźniej odpowiadały mu takie powierzchowne relacje. Chociaż wizyty Mony wprowadzały najmniej zamieszania i najmniej się o nich mówiło, z czasem całkowicie się od nich uzależnili. Mona stanowiła najpewniejszy łącznik z zewnętrznym światem, w którego gęstniejącym cieniu żyli.

Maggie urodziła w Londynie drugie dziecko. W tym samym czasie Mark O'Donoghue stracił pracę, zjechała więc z dwójką dzieci do Great

Meadow, planując spędzić tam pół roku. Mark został w Londynie, by znaleźć lepszą pracę i odłożyć pieniądze na zaliczkę za dom. Moran nie był zachwycony takim rozwiązaniem. Podczas pobytu Maggie znikał na całe dni w polu albo zaszywał się w szopie. Kiedy przebywał w domu razem z małymi dziećmi, napięcie stawało się nie do wytrzymania. Maggie wyjechała po dwóch miesiącach, zbyt dumna i uzależniona emocjonalnie, by przyznać, że ten wcześniejszy wyjazd ma jakikolwiek związek z Great Meadow. Zamierzała, jak co roku, przyjechać na trzy tygodnie w lecie. Po powrocie do Londynu odkryła, że podczas jej nieobecności Mark przepijał wszystko, co zarobił, ani grosza nie odkładając na dom. Posłała dzieci do przedszkola i wróciła do pracy w pełnym wymiarze godzin jako pielęgniarzka. Od tego momentu będzie już zawsze miała własne pieniądze.

„Maggie powróciła z dziećmi do Londynu. Mogli zostać pod tym dachem, ze mną i Rose, jak długo chcieli – napisał w liście Moran. – Ale bardzo się cieszę, że wróciła do Marka. Miejsce żony jest przy jej mężu”.

Sheila również odwiedzała regularnie Great Meadow, ale jej wizyty były najmniej spontaniczne. Przyjeżdżała na weekend z

Seanem, kiedy była tam Mona albo kiedy z Londynu przyjechała Maggie. W ciągu trzech lat urodziła troje dzieci i miała znakomite wytłumaczenie, gdy Moran narzekał, że odwiedza go rzadziej niż pozostałe siostry. Dawna uraza wybuchała z nową siłą, ilekroć Moran próbował pokazać, kto tu rządzi. Sheila nie mogła znieść, że krzyczał na jej dzieci.

– Można pomyśleć, że chowały się na polu! – ryknął na nią podczas jednej z wizyt, kiedy nieskrępowana wesołość maluchów zaczęła mu działać na nerwy.

– I zaraz tam wrócą – odparła ze złością, zgarnęła dzieciaki i wyjechała.

– Niepotrzebnie robisz tyle szumu o to, że parę razy podniosłem głos – powiedział Moran, ale nigdy więcej nie przywiozła ze sobą dzieci, chyba że na bardzo krótkie wizyty. Dzieci były inteligentne i pewne siebie. Nie chciała, żeby ta pewność siebie została zniszczona tak, jak to się stało w jej wypadku. Zdawała sobie sprawę, że jej lojalność prawdopodobnie jest podzielona, że najgłębszy i najsilniejszy związek łączy ją z siostrami, tym mężczyzną i domem. Tak już musiało być, nie chciała jednak, by stało się to udziałem jej dzieci: drzwi, które zostały zamknięte przed nią, dla nich będą otwarte, ich życie będzie inne.

Michael też przyjeżdżał do domu, choć znacznie rzadziej. Z reguły zjawiał się bez zapowiedzi. Moran zrezygnował z prób nagięcia go do swojej woli i nie wtrącał się w to, co robi, zadowolony, że go w ogóle widuje. Niektóre gesty i manieryzmy syn ewidentnie przejął od niego, ale nie miał ponurego usposobienia. Zdarzało się, że zaraz po przyjeździe z własnej woli brał się do pracy, w ciągu jednego dnia odwalając robotę, na którą bez jego pomocy Moran potrzebowałby tygodnia, a potem znikał równie nagle, jak się zjawiał. „Pomógł mi na torfowisku. Umilił mnie i Rose cały tydzień. Michael był cudowny” – napisał Moran do Maggie po jednej z niespodziewanych wizyt.

Ożenił się w podobnym stylu, w jakim rzucił szkołę i opuścił Great Meadow. Tak jak w Dublinie zwrócił się do swoich sióstr, tak teraz poszedł do Luke'a.

– Czego od ciebie oczekuje? – spytał Luke, kiedy Michael powiedział mu, że poznał Angielkę, nauczycielkę, i że jest ona w ciąży.

– Ze się z nią ożenię, oczywiście.

– I co chcesz zrobić?

– Nie jestem pewien. Ma dwadzieścia osiem lat.

– To bez znaczenia, jeśli jest ci z nią dobrze. Jeśli nie jesteś pewien, możecie żyć razem,

dopóki nie urodzi się dziecko. Wtedy oboje zdecydujecie, co chcecie zrobić.

– Nigdy się na to nie zgodzi. To Angielka, ale jest katoliczką. Ma bardziej surowe zasady niż my.

– Najwyraźniej nie aż tak surowe – zauważył cierpko Luke, ale zmienił ton, widząc zakłopotanie brata. – Co ci się w niej podoba?

– Ona pierwsza sprawiła, że poczułem się ważny – odparł z uczuciem Michael i tym razem to starszy brat poczuł się skrępowany. – Uważasz, że będzie w porządku, jeśli się z nią ożenię? – zapytał Michael.

– Oczywiście, że tak uważam. Jeśli oboje tego chcecie.

– Powiniennem spytać ojca?

– Nie, chyba że chcesz. Na twoim miejscu po prostu bym zrobił swoje. Jak się nazywa?

– Ann Smith. Jedno jest pewne, siostrzyczkom to się nie spodoba. – Zachichotał radośnie.

Ta smagła, urodziwa kobieta o zdecydowanym sposobie bycia była wyraźnie zauroczona Michaelem. Jej angielska rodzina stawiała się zwartym frontem na weselu, dając odczuć Moranom, każdemu w inny sposób, czym w istocie są – imigrantami. Mona i Sheila przyjechały na ślub. Wszystkie trzy siostry z góry

uprzedziły się do Ann. Szukały w niej wad, ale naprawdę chodziło po prostu o to, że uważały ją za intruza, który nigdy nie zostanie dopuszczony do ich kręgu. Była imigrantką wewnątrz rodziny. Prosto z wesela Michael zawiózł ją do Great Meadow.

Ze względu na jego młody wiek, przeszłość i ogólną nieprzewidywalność, wiadomość, że Michael żeni się z angielską nauczycielką, została przyjęta z rozbawieniem i niedowierzaniem.

– Biedny Michael – powiedziała czule Rose.
– Nie wyobrażam go sobie w roli głowy rodziny.

– Tacy jak on często właśnie najlepiej się do tego nadają – stanął w jego obronie Moran. Oboje z Rose od razu polubili Ann, nie dając posłuchu krytycznym uwagom dziewcząt.

– Jest w bardzo rozsądnym wieku. Gdyby Michael znalazł sobie, niech Bóg mi wybaczy, drugą taką latawicę jak on, dopiero by było nieszczęście. Do tej pory uczyła się i zdobywała kwalifikacje. Da radę utrzymać ich oboje, dopóki on nie zrobi dyplomu. Jak tak o tym pomyśleć, to chłopak znowu spadł na cztery łapy. – Rose z humorem i czułością przedstawiła swój punkt widzenia.

– Jeśli odpowiada Michaelowi, to z całą pewnością odpowiada również mnie – oświadczył Moran. – Będę traktował ją jak córkę.

Dziewczęta słuchały w milczeniu słów, których nie były w stanie zaakceptować. Od dziecka wpajano im, że zewnętrzny świat należy trzymać na dystans, a teraz ich własny ojciec otwierał przed nim drzwi.

Moran zrobił się niechlujny, jeśli chodzi o ubranie – on, który do kościoła albo do miasta ubierał się zawsze z taką starannością, jakby szedł zmierzyć się ze światem – i Rose musiała go stale pilnować, żeby wyglądał przyzwoicie. Mieli teraz dwie emerytury, zwykłą i wojskową. Przestało być ważne, czy zdążą zebrać siano, czy zgnije na polu. Większość bydła sprzedali, póki jeszcze była trawa, a te kilka sztuk, które sobie zostawili, mogło się spokojnie wyżywić tym, co znajdują pod żywopłotami albo na polu. Śnieg, który dla sąsiadów oznaczał niepokój o paszę i stodoły, dla nich stanowił przyjemną odmianę. W znieruchomiałym świecie, pod iskrzącym się bielą masywem Wyżyny, ścięli drzewka oplecione powojem i zarumienieni od wysiłku na świeżym powietrzu patrzyli, jak krowy żarłocznie szarpią ciemne liście powoju. Mają teraz mnóstwo pieniędzy, przypominała mu nieustannie Rose, i nie potrzebują już harować jak woły. Mieli więcej pieniędzy, niż potrzebowali, więcej, niż zdołaliby wydać, więcej, niż zostało im życia, ale to nie ukoło lęków

Morana. Często wieczorem godzinami liczył, ile mają, ile zostało wydane, jakie ponieśli straty.

Wrócił do zwyczaju pisania listów. Nie było tygodnia, żeby nie napisał do Londynu, do Maggie albo do Michaela. Nadal osobiście wysyłał i odbierał listy, ale teraz na pocztę zawoziła go Rose. Czekala na niego przed budynkiem w samochodzie. Annie i Lizzie nadal prowadziły urząd, który lśnił czystością jak dawniej. Odraza do brudu zyskała rangę oficjalnego prawa i interesanci w ubłoconych butach albo gumiakach nawet nie próbowali przestąpić progu, lecz załatwiali sprawy z ulicy, podając pieniądze i zamówienia przez drzwi i tą samą drogą odbierając sprawunki, listy i resztę, przekazywane ze środka przez klientów o czystych obcasach. Podłoga była niewiarygodnie zniszczona, ale nieustannie szorowane drewno błyszczało bielą. Twarzą w twarz Annie i Moran zachowywali względem siebie skrupulatną neutralność. Za dobrze się jednak znali i wystarczyło, by wyszedł za próg, i nic go już nie chroniło. Zresztą nie tylko jego.

– Jak się miewa pan Moran? – spytał przebiegłym tonem jakiś klient po wyjściu Morana.

– Kiepsko. Zawsze niedomagał, ale co jak co, umiał się o siebie zatroszczyć, niech Bóg ma go w

swojej opiece. – Annie pochyliła głowę nad karnetem znaczków pocztowych, czekając, aż wybrzmia salwy śmiechu.

– Słyszałam, że kiedy ich zalało w zeszłym tygodniu, nic się nikomu nie stało, ale przez całe dwa dni nie miał czasu, żeby o sobie pomyśleć.

Wybuch śmiechu, zawierający bezbrzeżne pokłady lekceważenia, w jednej chwili stał na proch koncepcję, którą Moran przez całe życie z niezłomną wolą wpajał wszystkim wokół siebie.

Na wypadek gdyby śmiech miał zwrócić się także przeciwko jej autorytetowi, Annie pospiesznie poskromiła wesołość.

– A może i nie miewa się już tak dobrze jak dawniej. Obawiam się, że zmierza tam, gdzie my wszyscy, niech Bóg ma nas w swojej opiece.

– Pamiętasz, jak się poznaliśmy u Annie? – spytała rozczulona wspomnieniem Rose, ruszając spod poczty pewnego dżdżystego wieczoru.

Nie odpowiedział. Niezgrabnie zmieniła bieg, zwalniając przed wjechaniem na most.

– Boże. O Boże. Kobieto, nie możesz przez chwilę skupić się na tym, co robisz? Tysiąc razy mówiłem ci, że jeśli nie chcesz wypruć flaków z nieszczęsnej skrzyni biegów, masz wciskać pedał do oporu. – Jego niechęć do przeszłości nie zelżała z wiekiem, a początek ich wspólnego

życia był teraz przeszłością.

– Przepraszam. Nie pomyślałam.

– To zacznij wreszcie myśleć. Ciekaw jestem, czy ty w ogóle kiedykolwiek myślisz. Błogosławiony będzie dzień, kiedy zaczniesz myśleć. – Rozdrażnienie Morana napędzało się własnym impetem, a ona nawet nie próbowała dyskutować. Powoli prowadziła w strugach deszczu, modląc się, żeby nigdy nie dojechali do Cox's Hill, gdzie znowu trzeba będzie zmienić biegi.

Pewnego słotnego dnia to ona zaproponowała, żeby wybrali się do Strandhill. Miała nadzieję, że wycieczka ukoji jego nerwowość. Najpierw wykpił ten pomysł, ale potem niespodziewanie się zgodził. Zabrali butelkę z herbatą i kanapki. Poszli na przechadzkę po polu golfowym. Obejrzeni wystawy sklepów. Posiedzieli w samochodzie, pijąc herbatę, jedząc kanapki i patrząc na wzburzony ocean. Przed wyruszeniem w powrotną drogę uparł się figlarnie, by zeszli nad linię wody. Pochylił się, by dotknąć dłonią uciekającej fali, i przyłożył palce do ust, smakując sól, a potem dał je polizać Rose.

– Bardzo miła wycieczka – stwierdziła Rose z ulgą, kiedy znaleźli się z powrotem w domu.

– Przynajmniej nie tkwiliśmy bez sensu cały

dzień w czterech ścianach.

Następnym razem wybrali się na północ, do Enniskillen po drugiej stronie granicy. Stopniowo uzależnili się od tych wypraw, pozwalających uciec od klaustrofobii ciągnących się bez końca dni. Stopniowo odwiedzili wszystkie miejsca, w których przed laty Neli Morahan i Michael pędzili leniwie czas.

Niezmienny wizerunek, przy którym tak zawzięcie trwał dom, od czasu do czasu wystawiała na próbę odmienna rzeczywistość nieprzyuczonego i nieczułego zewnętrznego świata. Zamiast spędzić dzień w Strandhill albo Enniskillen, Moran postanowił udać się do banku, poradzić się dyrektora w sprawie pewnych rządowych obligacji, które kiedyś nabył.

Kiedy Rose i Moran podeszli do okienka i poprosili o rozmowę z dyrektorem, nikt z kasjerów nie miał pojęcia, co to za jedni. Poproszono ich, żeby poczekali na krzesłach przed gabinetem.

– Można by pomyśleć, że chcemy dostać się do spowiednika w Wigilię Bożego Narodzenia – zauważył z przekąsem Moran po upływie dłuższej chwili. – Chyba zaraz nas przyjmie. Coś go musiało zająć.

W końcu w drzwiach pojawił się dyrektor,

pograżony w miłej rozmowie z klientem, którego uprzejmie odprowadził do głównego wyjścia. Jeden z kasjerów wskazał mu starszych państwa czekających pod gabinetem. Kiedy wrócił, zaprosił ich do środka. Był wysoki i siwowłosy i nie znał ich. Gdy szukał teczki Morana, rozległo się pukanie i do gabinetu weszła dziewczyna, niosąc filiżankę na spodeczku. Zapachniała kawa. Na brzegu spodeczka balansowały dwa figowe sucharki. Następnie zadzwonił telefon. Ledwo dyrektor usłyszał, kim jest jego rozmówca, zarzucił poszukiwanie teczki Morana i przysunął fotel do biurka. Wywiązała się długa rozmowa na temat wyborów w klubie golfowym, w czasie której dyrektor zjadł oba sucharki i wypił kawę. Rose raz po raz zerknęła z niepokojem na Morana. W czasach kiedy się poznali, dawno już wypadłby z gabinetu, trzaskając drzwiami. Tymczasem siedział, przygnębiony i jakby znużony, nie rozglądając się na boki. Wciąż jeszcze tam był, kiedy dyrektor skończył rozmawiać i przeprosił. Z jakiegoś powodu najwyraźniej uznał, że załatwił już sprawę, z którą przyszli, i teraz łaskawie odprowadził ich do drzwi. Wyszli bez słowa. Rose nie posiadała się ze złości.

– W życiu nie spotkałam tak źle wychowanego człowieka.

– A kogo to obchodzi? – spytał Moran. – Nikogo.

– Mnie to obchodzi – odparła wzburzona.

– Ty się nie liczysz. Nikt nie będzie zawracał sobie tobą głowy.

W czasie weekendu Rose tyle razy wracała do tego zajścia, żaląc się Monie, że wreszcie i ona wpadła w gniew. Uparła się, że w poniedziałek weźmie wolne i pójdzie do banku zrobić awanturę dyrektorowi.

– Mówię ci, dawniej nie ośmieliliby się tak potraktować tatusia. Powiem mu parę słów do słuchu. I złożę na niego skargę.

– Szkoda na niego twojego czasu. – Teraz to Rose próbowała załagodzić. – Daj spokój. Jeśli jest aż tak głupi, dlaczego to ty masz go wychowywać – zażartowała po swojemu.

– Dawniej tatuś szybko nauczyłby go manier. Złożę na niego skargę – powiedziała Mona. Ale nie zrobiła tego.

W długie wieczory, kiedy Moran po raz kolejny podliczał posiadane fundusze albo pisał do Michaela, jego żony lub którejś z dziewcząt, wielokrotnie powtarzał Rose, że tylko raz w życiu naprawdę mu nie wyszło, z jednym z jego własnych dzieci, i że ta świadomość nie daje mu spokoju.

– Czuję, że myśli, iż wyrzuciłem mu jakąś

krzywdę.

– Wiesz, że to nieprawda. Luke zawsze brał takie sprawy nazbyt osobiście. W każdej rodzinie zdarzają się różnice zdań i nikt inny nie robi z tego problemu – powiedziała Rose.

– Chciałbym go zobaczyć, ale wiem, że nie przyjedzie. Nie żywię do niego urazy. Ja wszystko mu wybaczyłem. Jeśli mu to napiszę, przynajmniej będę wiedział, że wina nie leży po mojej stronie. Będę miał czyste sumienie.

Przez kilka kolejnych wieczorów pisał list do Luke'a. W trakcie pisania wróciła część dawnej zaciekłości. Ukończony list był krótki. Nie pokazał go Rose. „Są w moim życiu takie chwile, kiedy zastanawiam się, czy jestem przy zdrowych zmysłach – zaczynał się list. – Wszyscy powariowali oprócz mnie i ciebie, zresztą co do siebie też mam wątpliwości. Rose uważa, że nie jesteśmy ani gorsi, ani lepsi od innych, a pozostało mi już zbyt niewiele życia, by chować urazę, prawdziwą czy wyimaginowaną. Jestem już całkiem na nic. Nie chciałem ciebie skrzywdzić w przeszłości i nie chcę cię skrzywdzić w przyszłości, a jeśli to uczyniłem myślą, mową lub uczynkiem, przepraszam. Zaraz zakwitną żonkile, a także krzewy, kwiaty, drzewa owocowe etc. Wkrótce zaczniemy sadzić. Zmęczyło mnie to myślenie, kogo to zresztą

obchodzi? Tatuś".

Musi być umierający, pomyślał Luke po przeczytaniu listu. W pierwszym odruchu odłożył go na bok, ale kiedy przeczytał go jeszcze raz, poczuł do Morana to samo, co czułby do każdego śmiertelnika, odpisał mu więc w podobnym tonie. Nie żywił do niego złości ani urazy. Nie miał mu nic do wybaczenia. Było mu przykro i przepraszał za cierpienie, którego przysporzył. Nie tego od niego chciał, ale tym będzie musiał się zadowolić.

Zadzwoiła Maggie. Powiedziała, że jedzie do domu i chce, by Luke pojechał razem z nią. Zjeżdżają wszyscy do Great Meadow, wskrzesić Dzień Świętego Manchana.

– Tatuś jest w złej formie. Pamiętasz, jak dawno temu w Dzień Świętego Manchana odwiedzał nas McQuaid? Uważamy, że nasz przyjazd może poprawić tatusiowi samopoczucie. Rose mówi, że po naszej wizycie w święta poczuł się lepiej.

– Nic tam po mnie – powiedział Luke. – Nie mogę z tobą pojechać.

– Chce cię widzieć.

– Napisał do mnie.

– Wiem.

– Odpisałem.

– Twój list jeszcze do niego nie dotarł.

– Napisałem mu to samo, co on mnie. Nie czuję do niego złości. Nie czuję nic.

– To dlaczego nie możesz pojechać do domu razem z nami?

– Nic tam po mnie. Nie potrafię się z nim dogadać.

– Nigdy się nie starałeś.

– Teraz jest już za późno.

– Nie pomagasz mi. Nikomu nie pomagasz.

Moran nie narzekał na brak uwagi. Dziewczęta stawiały się w komplecie, wtedy i jeszcze kilka razy potem. Zaplanowały całe lato tak, żeby Rose jak najmniej była sama. W sierpniu przyjechał Michael z żoną i dwójką dzieci. Gdy skończyło się lato, z Dublina co weekend przyjeżdżała Mona. Sheila dołączała do niej, gdy tylko mogła. Moran opadał z sił. Przeszedł kilka drobnych udarów. Poczuli, że ten niegdyś potężny mężczyzna, który był integralną częścią ich życia, w każdej chwili może im się wymknąć. Przyjechały razem na Boże Narodzenie i postanowiły przyjechać znowu pod koniec lutego, wskrzesić Dzień Świętego Manchana. Wyjaśniły Rose, że co roku tego dnia przyjeżdżał na wystawną kolację McQuaid; wspominały nerwówkę, radosne podniecenie, opowieści o dniach chwały, whiskey, którą wypijał McQuaid.

Rose od początku miała wątpliwości co do tego pomysłu. Nie rozumiała, w jaki sposób zwykle wskrzeszenie dnia, o którym do tej pory nawet nie słyszała, miałoby dokonać cudu, ale dziewczęta uczepliły się tego pomysłu, uznała więc, że nie może im wchodzić w paradę. Chciały, żeby to była niespodzianka. Wbrew rozsądkowi wierzyły, że za jednym zamachem cofną proces powolnego opadania z sił i przywrócą Moranowi dawną siłę ducha.

Przyjechały na Dzień Świętego Manchana. Przywiozły w prezencie rękawiczki na jego marznące dłonie. Doceniając, że zrobiły dla niego taki kawał drogi, Moran złamał własne embargo na przeszłość i zaczął mówić o wojnie, McQuaidzie i utraconych Dniach Świętego Manchana. Na koniec różańca, który zamykał dzień, pomodlił się za duszę Jamesa McQuaida; ale próba tchnięcia w niego nowego życia za pomocą Dnia Świętego Manchana spaliła na panewce.

Zawód, że nie udało im się doprowadzić do zmiany, tylko wzmocnił ich determinację, by nie pozwolić mu odejść. Odtąd więcej czasu spędzały w Great Meadow niż we własnych domach. Musiały stawić czoło słabym zarzutom, że zaniedbują dzieci, że podróże lotnicze Maggie coraz więcej kosztują; ale wszystko, co

kolidowało z ich troską o Morana, tak silnie wytrącało je z równowagi, że zarzuty natychmiast upadały, bowiem zdroworozsądkowe obiekcje nie wytrzymały konfrontacji ze stanem głębokiego wzburzenia. Choroba ojca tak mocno związała je ze sobą, że czuły, iż razem mogą niemal wszystko. Potęga instynktu kazała im wierzyć, że potrafią zmusić najdroższego im człowieka do życia, o ile tylko uda im się razem nagiąć jego wolę. Posiadały moc dawania życia, dlatego więc nie miałyby wyrwać tego życia śmierci. Po raz pierwszy w życiu Moran zaczął się ich bać.

– Będzie tatuś musiał wrócić do formy. Będzie tatuś musiał wziąć się w garść i wyzdrowieć.

– Kogo to obchodzi? Kogo to w ogóle obchodzi?

Uważały, że wystarczy, by złożył swoje życie w ich ręce, a one siłą swojego pragnienia zmuszą go, by wyzdrowiał. Stało to w całkowitej sprzeczności z jego własnym sposobem na życie. Nigdy dotąd nikomu w niczym nie ustąpił. Zapragnął uciec, uciec z tego domu, z sypialni, od ich nalegań, że ma wyzdrowieć, od swojej choroby. Jego pierwsze zniknięcie wywołało panikę. Przeszukały łazienkę, pozostałe pokoje, a kiedy doszły do kamiennej sieni, zobaczyły, że

drzwi na dwór są otwarte.

Znalazły go, jak wyczerpany opierał się o drewniany słupek za domem, wpatrując się w pustkę łąki. Milczał, kiedy prowadziły go z powrotem do domu. Uznały to za krnąbrny wybryk mający na celu wypróbowanie ich czujności. Od tej pory nie spuszczały go z oka, ale i tak od czasu do czasu udawało mu się wymknąć na pola, zawsze w tym samym kierunku. Mimo starej gruszy, okrytej cudownym białym kwieciem, mimo zwiędłych zeszłorocznych pokrzyw sterczących z porzuconej pod drzewem kosiarki, mimo krytej blachą falistą przybudówki, którą postawił, żeby mieć gdzie pracować w deszczowe dni, ku łące. Nie była już pusta, okryła ją niebieskawa, soczysta zieleń młodej trawy. Umrzeć oznaczało nigdy więcej tego wszystkiego nie widzieć. Będzie żyło w oczach innych, ale nie jego. W latach siły i pewności siebie nie zdawał sobie sprawy, że jest częścią oszałamiającego przepychu. Słyszał, jak gorączkowo nawołują jego imię. A potem dostał burę i zaprowadzono go z powrotem do domu. Zaparł się przed progiem.

– Nie miałem pojęcia, że umieranie jest takie trudne – powiedział prosto.

Następnego dnia przyjechał ksiądz, żeby go wyspowiadać i udzielić mu ostatniego

namaszczenia.

– Nigdy nie spotkałem księdza, co by się nie bał śmierci. Jak myślisz, co to oznacza? – powiedział do Rose.

– Może dlatego właśnie zostają księżmi.

– I co im to pomaga?

– W ten sposób zapewniają sobie miejsce w niebie.

– Jeśli wierzą w to, co głoszą, nie powinni się bać.

A zresztą kto może wiedzieć? I kogo to obchodzi?

Któregoś wieczoru, kiedy Mona siedziała przy jego łóżku, myśląc, że śpi, zaskoczył ją pytaniem:

– Mona, uważasz, że już po mnie?

– Oczywiście, że nie – ofuknęła go, zaskoczona. – Ale będzie tatuś musiał się trochę postarać, jeśli mamy doprowadzić tatusia do zdrowia. Wymykanie się na łąkę wcale nie pomaga.

Innego wieczoru, o późnej godzinie, Mona powiedziała do Rose:

– Ciekawa jestem, dlaczego tatusia tak ciągnie na tę łąkę. Zawsze patrzy w to samo miejsce. Musi coś tam widzieć. – I nagle, zupełnie nie mając takiego zamiaru, obie kobiety zaczęły płakać.

Dziewczęta wróciły do swoich domów. Moranowi się pogorszyło. Brązowy habit został kupiony, przemycony do domu i głęboko ukryty. Kiedy dziewczęta przyjechały znowu i zobaczyły, w jakim ojciec jest stanie, porzuciły wszelką myśl o opuszczeniu domu, dopóki żyje. Wezwały Michaela, który przyjechał razem z synem.

Są tacy, co szamocą się i walczą ze śmiercią, i tacy, co umierają z mozołem, jakby to był ciężki poród, ale Moran odchodził spokojnie. Po prostu nikł w oczach. Zgromadziły się wszystkie przy jego łóżku.

– Czemu się nie modlicie? – zapytał, jakby wiedział, że gaśnie.

Natychmiast rzuciły się na kolana.

– „Panie, otworzysz wargi moje” – zaczęła Rose.

Łzy płynęły po ich twarzach, gdy odmawiały kolejne *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Mario*. Rozpoczynając swoją Tajemnicę, Maggie zorientowała się nagle, że Moran próbuje coś powiedzieć. Urwała i w pokoju zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Cichy szept zabrzmiał zupełnie wyraźnie: Zamknijcie się! Popatrzyły po sobie, przerażone i zmieszane, ale Rose skinęła energicznie głową, dając Maggie znak, by zignorowała wyszeptany rozkaz i kontynuowała modlitwę. Ledwie udało jej się

uchwycić na nowo rytm, Mona wykrzyknęła:

– Tatuś umarł!

Zerwały się z kolan i stanęły przy łóżku. Maggie i Sheila przytuliły się do siebie z głośnym płaczem, Mona wybiegła z pokoju, z wściekłością trzaskając drzwiami i krzycząc:

– Ten cały lekarz niepotrzebnie zrobił mi rano zastrzyk!

– Bądź tak dobra, Maggie – poprosiła Rose – pobiegnij za Moną i zobacz, czy wszystko w porządku. Zdaje się, że słyszę przy bramie samochód Michaela.

Część złości na śmierć skierowała się przeciwko Michaelowi, jak tylko wszedł do sieni. Pozostawiony na marginesie wydarzeń, zaczął się nudzić i zabrał syna do miasta.

– Co z ciebie za człowiek? Nie możesz być w domu nawet wtedy, kiedy umiera tatuś.

W pierwszej chwili nie zorientował się, co się stało, i uniósł dłonie w geście żartobliwej kapitulacji przed tymi niemożliwymi rozjuszonymi kobietami, ale jak tylko zrozumiał, że umarł jego ojciec, pobladł i ucichł. Rose cicho otworzyła drzwi, a on kiwnął głową i wszedł do środka. Wzięła za rękę jego synka. Dziecko i kobieta obeszli we dwoje cały dom, zatrzymując wszystkie zegary i zasłaniając lustra.

Całe szczęście, że było tyle praktycznych

spraw, które nie mogły czekać. Trzeba było posłać po Woodsa, żeby ubrał nieboszczyka do trumny. Należało kupić whiskey, sherry i piwo dla żałobników, przygotować kanapki, zawiadomić lekarza i księdza. Rose uparła się, że sama pojedzie do zakładu pogrzebowego. Obejrzała wszystkie trumny w salonie wystawowym i wybrała najdroższą, piękną dębową. Trzeba było wykopać grób. Dziewczęta zaczęły się spierać, czy zawiadomić Luke'a, czy nie.

W końcu wysłały do niego telegram, ale ani nie odpowiedział, ani nie przyjechał.

Kiedy przyszedł Woods, wydobyto z ukrycia brązowy habit franciszkanina. Drzwi do sypialni pozostały zamknięte, dopóki nie ubrał zwłok. Różaniec Morana, wyjęty z czarnego woreczka, owinięto wokół palców splecionych na okrytej brązowym habitem piersi.

Przez cały wieczór, pojedynczo i dwójkami, schodzili się żałobnicy. Ściskali dłonie Rose, Michaelowi i dziewczętom, bąkając wyrazy współczucia, na progu sypialni robili znak krzyża, klękali w nogach łóżka, by zmówić modlitwę, a podniósłszy się z klęczek, dotykali ręki albo czoła zmarłego w geście pożegnania. Następnie siadali na krzesłach przy łóżku i częstowano ich whiskey, piwem, winem albo

herbatą. Niewielu z nich było kiedykolwiek w tym domu, rozglądali się więc z nietajoną ciekawością.

Czuwanie przy zwłokach trwało całą noc. Czas powinien był stanąć w miejscu wraz z zegarami, płynął jednak dalej w szklistym śnie z utrudzenia, bez ich uporczywego tykania. Na pola spłynął poranek. Żałobnicy przychodzili przez cały następny dzień. O szóstej wieczorem zwłoki zostaną zabrane do kościoła. Im bliżej szóstej, tym prędzej pędziły minuty.

W drewnianą bramę wjechał karawan. Wzdłuż drogi stał sznur samochodów. Wniesiono do środka pustą trumnę i dom został zamknięty.

Musieli wszyscy wejść do sypialni, spojrzeć na niego ostatni raz. Nie zobaczą go więcej na tym świecie, ale już wcześniej od nich odszedł. Trumna została wniesiona do pokoju i ustawiona na krzesłach przy łóżku. Zamknięto drzwi. Ktoś zaczął recytować dziesiątek różańca. Modlitwę podchwycili ludzie stojący pomiędzy rabatkami na trawniczku przed domem. Gdy dźwignięto ciężką, zamkniętą trumnę, by wynieść ją z pokoju, z wnętrza domu dobiegł krzyk. Otworzyły się drzwi. Trumnę wstawiono do karawanu. Karawan wypełził powoli przez żelazną bramę i skręcił w prawo przy cisie. Przez

całą noc trumna będzie stała pod głównym ołtarzem, zaledwie parę stóp od miejsca, gdzie Moran tak niecierpliwie czekał na družbę w dniu swojego ślubu z Rose.

Trwał rozdzierająco piękny majowy wieczór, kiedy wrócili z kościoła, ale spacer pomiędzy drzewami w dogasającym świetle dnia był ponad ich siły. Obeszli dom, podnosząc rolety, a potem zaparzyli herbatę.

– Czuję się, jakbym włożyła rękę w wyzmaczkę – poskarżyła się Mona.

– Ja tak samo. Myślałam, że ta kolejka nigdy się nie skończy. Niektórzy mieli dłonie jak obcegi – powiedziała Sheila.

– Starali się, żeby to był prawdziwie serdeczny uścisk.

– Rose była najbardziej opanowana z nich wszystkich, nawet teraz potrafiła wydobyć z siebie ten swój cichy, wesoły śmiech. – Bali się, że inaczej możecie pomyśleć, że nie robią tego szczerze.

– Biedacy chcieli jak najlepiej – wtrącił wojowniczo Michael, ale puściły jego uwagę mimo uszu.

Było więcej spraw, którymi trzeba było się zająć. Rano przyjedzie na pogrzeb Sean z dziećmi. Wywiązała się dyskusja, gdzie będą spali, jeśli postanowią zostać na noc. Zanim

cokolwiek ustalono, Sheila oznajmiła stanowczo, że zaraz po pogrzebie wracają wszyscy do domu. Byli nieprzytomni ze zmęczenia, ale nikt nie miał ochoty iść spać. Rozmawiali, parząc kolejne dzbanki herbaty, jakby się bali, że coś ich ominie.

Pochowali go po porannej sumie w nowej kwaterze, pod cisem. Ptaki śpiewały w swoich rewirach, wysoko w gałęziach dębów, jesionów i choin, nad niskim murem cmentarza swawoliły strzyżyki i rudziki. Wyżyna pławiła się w słońcu, na przegrodzonych murkami pastwiskach wypuszczone z obór krowy łapczywie jadły młodą trawę.

Przez całą mszę i ceremonię pogrzebową trumnę okrywała wypłowiała trójkolorowa flaga; gdy trumna stanęła na skraju grobu, z tłumu wystąpił człowieczek w brązowym filcowym kapeluszu, tak stary i sztywny, że z powodzeniem mógł walczyć u boku Fionna i Oisina. [Fionn i jego syn Oisín – legendarni bohaterowie mitologii celtyckiej.] Zdjął z szacunkiem kapelusz i dopiero wtedy zwinął podniszczoną flagę i wycofał się z powrotem w tłum. Nie było salwy honorowej.

Kiedy ozdobną trumnę ze lśniącego dębu spuszczano na linach do grobu, z ciżby żałobników dobiegł szept, dostatecznie głośny, by wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę:

„Facet by umarł, gdyby wiedział, ile pieniędzy idzie wraz z nim do ziemi”.

Dwaj lokalni politycy, którzy przez całą ceremonię starali się przepchnąć jeden przez drugiego, wymknęli się z tłumu, jak tylko zaczęła się modlitwa. Oparci o mur cmentarza, spiskowali w najlepszej komitywie, od czasu do czasu zerkając z nieskrywaną pogardą na zgromadzonych przy grobie ludzi.

Rose opuściła cmentarz otoczona wianuszkami dziewcząt. Michael stał nieco dalej, ze swoim synem, obok Seana Flynn i Marka O'Donoghue, który przyjechał na pogrzeb z samego Londynu. Z wiekiem Mark utracił podobieństwo do Elvise i gdyby nie ogorzała twarz, mógłby uchodzić za urzędnika administracji państwowej, tak jak Sean. Mężczyźni ruszyli w ślad za pogrążonymi w smutku kobietami, zachowując pełen szacunku dystans, niepewni swojego miejsca w żałobie.

Ale znalazłszy się za bramą cmentarza, oplakujące Morana kobiety z każdym krokiem wyraźnie odzyskiwały siłę. Jakby swą pierwszą miłość i wierność ślubowały na wieki temu domowi i temu mężczyźnie i jakby wiedziały, że zawsze był w centrum wszystkich etapów ich życia. Nie tylko nigdy nie złamały tej przysięgi, lecz teraz odnowiły ją wobec kobiety, która

weszła pomiędzy nie, poślubiając ich ojca. Ciągłe powroty do domu stanowiły potwierdzenie złożonych ślubów, a teraz, kiedy pochowały go pod cisem, wszystkie trzy, każda na swój sposób, stawały się tatusiem.

– Nie szkodzi, że odszedł do Pana, zawsze pozostanie z nami. – Maggie wyraziła to, co czuły wszystkie. – Teraz już nigdy nas nie opuści.

– Biedny tatuś – mruknęła w roztargnieniu Rose, pogrążona we własnych myślach, otrząsnęła się jednak szybko i uśmiechnęła promiennie do dziewcząt.

Zatrzymały się przy bramie, żeby zaczekać na mężczyzn, którzy wlekli się z tyłu, rozgadani i roześmiani, w otoczeniu gromadki dzieci.

– Spójrzcie tylko na nich. Zachowują się jak baby – skomentowała ich frywolny nastrój Sheila. – Widząc, jak Sean i Mark śmieją się z żartów tego pajaca, Michaela, można by pomyśleć, że wracają z tańców.

** Zawartego z Anglikami 11 lipca 1921 roku.